

Anna Klara Majewska

POWRÓT NA MAJORCĘ



Anna Klara Majewska

POWRÓT
NA
MAJORKĘ



MARZEC

WIELKANOC

Stałam w oknie i nie wypatrywałam pierwszej gwiazdki, choć wszystko mogłoby na to wskazywać. Salon pachniał świętami, niebo było szare, a w ogródku topniały ostatnie łachy czarnego od warszawskiej sadzy śniegu. Pod płotem ujadał Docent, a na mokrym tarasie, zupełnie tym nieporuszone, siedziały trzy dachowce bezpłatnie uratowane przez moją matkę, doktor weterynarii Krystynę Dziubak-Kalińską. Były chore, stare i brzydkie, więc nikt ich nie chciał, ale matka urządziła im azyl w domu. „Ciekawe, kto się tak mną zaopiekuje na starość?” – pytała retorycznie z wyrzutem i coraz bardziej oddalała się do dobrego i bezpiecznego świata bezwarunkowo kochających ją psów i kotów. Pomału zaczynała wierzyć w wyższość zwierząt nad rodzajem ludzkim, czego wyrazem było odwoływanie się do odzwierzęcych mądrości, którymi na swój sposób komentowała świat. Gdy odnosiłam do kuchni prawie nietknięte potrawy ze świątecznego stołu, syczała: „Nosił wilk razy kilka!” – a Ewę, córkę sąsiadów, nazywała „podrzuconym do kukułczego gniazda szarym łabądkiem” mimo jej czterdziestu lat z dużym hakiem.

Psy szczekały, rzucały się na siatkę, szczyrzyły zęby, jakby chciały się pozagryzać. Od lat ze sobą walczyły i żaden znany z telewizji zaklinacz zwierząt ani przeprowadzona przez matkę kastracja nie pomagały. Ucichły jak zwykle dopiero wtedy, gdy za płotem pojawiła się Ewa. Była ubrana w gruby, góralski sweter, ciemną spódnicę na gumę i pocierała zmarznięte

ręce. Nie chciałam być grubą Ewą w grubym swetrze, nie chciałam marznąć, nie chciałam być tu i teraz. Nie chciałam takiej „wiosny”.

Wpuściłam Docenta do ciepłego salonu, gdzie pachniało nadziewanym indykiem, wodą kolońską Eau Sauvage i spalonym karmelem cukrowej owieczki, którą Michaś ukradkiem dołożył do świątecznej pieczeni, a ostatnie pół godziny klęczał przed piekarnikiem i obserwował, jak zmienia się ona w skwiercząca, brązową grudę cukru.

– Czy to normalne, żeby chłopak tak się kuchnią interesował? Ma już przecież piętnaście lat! Ja w jego wieku... – zaniepokoił się ojciec, inżynier Kaliński, emerytowany specjalista od budowy dróg i mostów, szczelnie osłonięty od kuchennych zapachów chmurą francuskich perfum. Jak zwykle przesadnie elegancki, w szarym garniturze z kamizelką, pod którą ukrywał brzuch, i w idealnie wypastowanych butach z miękkiej skóry – w domu nigdy nie nosił kapci, prędzej by umarł.

– Tylko zjarał baranka! – uspokoił go syn Piotr, lat czterdzieści i cztery, strzepując niewidzialny pyłek z aksamitnej marynarki w kolorze purpury, i szybko dopisał jeszcze jedno serduszko w SMS-ie do Adriana, w którym kochał się na zabój od Niedzieli Palmowej, czyli już cały tydzień.

Nikt oprócz mnie nie zwracał uwagi na jego miłostki, a matka już dawno straciła wszelką nadzieję na dorodną synową i mądre wnuki albo odwrotnie. Za to wciąż marzyła, bym chociaż ja „porządnie poukładała sobie życie”, ułożone jak dotąd w coś, co nosiło bolesną dla niej nazwę „konkubinat”, więc nazywała go „narzeczeństwem”. Nie przeszkadzał jej w tym brak pierścionka zaręczynowego, daty ślubu, dania na zapowiedzi czy chociażby oświadczyn Marka Hamptona, wymodlonego zięcia *in spe*. Co chwila pytała, czy coś z tego będzie, przy tym uroczyście wymawiane „coś” oznaczało małżeństwo, a pogardliwe „to” – nasze wspólne życie pod jego dachem, w sensie zresztą dosłownym, gdyż zajmowaliśmy całe ostatnie piętro eleganckiego apartamentowca z panoramicznym widokiem na miasto.

Zadowolony pudel przebiegł przez salon, zaraz za nim sunął ojciec

łyżwiarskim krokiem na dwóch szmatkach, którymi ścierał ciemne ślady psich łap z dębowej posadzki, aż dotarł w ten sposób do nakrytego białym obrusem stołu. Pies zainteresował się ostatnim kawałkiem kabanosa w olbrzymiej świeconce królującej na stole, a ojciec wielkanocnymi jajami, ugotowanymi w łupinach cebuli na rudy kolor. Tylko jedno z nich było czarne i z jednej strony zgniecione. Ojciec chwycił je w dwa palce i zdziwiony pokazał zebranym.

– A cóż to jest? Pidan?

– Pi... co? – Michaś, od niedawna zainteresowany kobietami, wyrósł przy nim jak spod ziemi.

– Pidan. Jajo tysiącletnie. Przysmak chiński.

– Twoje dzieło ten pipidan, co Michaś? – Piotr zaśmiał się serdecznie, aż zatrzęsął się jego wyželowany czub z przyciemnianych włosów.

Zapalczywie walczył z pierwszą siwizną, aż jego włosy przybrały jednolity kolor kasztanowej pasty do butów.

– Babcia mi kazała! A ty co, wujek? Nie farbowałeś nigdy jajek?

– Nie! Ja nie muszę! – Rechotał, na ile pozwalały mu spięte botoksem policzki.

– Jedni farbują, inni depilują! – Posłałam bratu szeroki uśmiech, fałszywy jak jego nowe jedyńki.

Braciszek zmiażdżył mnie wzrokiem w odcieniu *pacific blue*, jednodniowych soczewek.

– Zazdrosna jesteś! – Zamachał telefonem, jakby chciał mnie rozżłóścić buziakami od Adriana. – Trzeba sobie było życie lepiej zorganizować, to może charakter by ci się poprawił...

– Dzieci, proszę was! Są święta! I proszę, żebyście dziś nie denerwowali matki! Indyka chyba zjecie? – jęknął ojciec, przez co od razu poczułam się bezpiecznie jak w domu.

Święta w naszej rodzinie zawsze kończyły się tragedią. Wielkanoc – banalnym zasłabnięciem, co tylko czasem wymagało interwencji doktora

Biernata, który mieszkał po sąsiedzku, ledwie trzy segmenty dalej. Od lat leczył matkę wyłącznie gruzińskim koniakiem i ciepłym spojrzeniem zza grubych jak denko butelki po mleku okularów.

Pogotowie przyjeżdżało do nas raczej w Wigilię (co stanowiło o jej wyższości nad Wielkanocą), zwykle między pierogami a smażonym karpem, będącym bezpośrednią przyczyną jej niedomagań, bo przecież „przez trzy dni nie wychodziła z kuchni” (szybką wizytę u osiedlowego fryzjera wyłączając).

Nie pomagały nasze czy nawet doktorskie perswazje, by ograniczyła rozmach przedsięwzięcia, „które ją zabijało”, albo co może ważniejsze, zrezygnowała z przygotowywania potraw, które, delikatnie mówiąc, nie znajdowały wielu entuzjastów przy ulicy Truskawieckiej 68. Matczyny dramat nietkniętego śledzia, karpia z panierką, lądującego w psiej misce, i smażonych grzybów wypełniających kubek na śmieci, stał się świątecznym imperatywem i żaden zawał nie był w stanie tego zmienić. Na nic też były pogadanki ojca, apelujące, a to do jej rozsądku, by nie gotowała, a to do naszych sumień, byśmy jednak coś zjedli, najlepiej z udawanym apetytem. Toksykologia rodzinnych świąt pączkowała jak wielka trująca grzybnia, wybuchająca dwa razy w roku, zawsze punktualnie z pierwszą i ostatnią pluchą sezonu.

Na schodach rozległ się tupot czółenek na półsłupku. Matka odświeżona po porannym gotowaniu i przebrana w garsonkę z szantungu w kolorze treści jelitowej stanęła w rozsuwanych drzwiach do salonu. W ogóle nie wyglądała, jakby za godzinę miała zemdleć.

– O, babcia jest! – ożywił się Michaś. – Jaka dziś zupa, bo i tak nie zjem?

– Pyszny barszczyk na wędzonce! No to możemy siadać! A gdzie Mareczek? – zaszcebiotała, pełna wiary w cudowną moc wielkanocnego stołu.

W romansach, którymi zaczytywała się po pracy, to zwykle w okresie świątecznym następowały uroczyste oświadczenia bohatera, najlepiej

w obecności całej rodziny i lokalnego proboszcza. Kandydat winien zjawić się z bukietem dla „pani matki”, a ojca poprosić o rękę wybranki. Z uwagi na mój dramatyczny wiek sprawa była pilna – zbliżałam się milowymi krokami na czerwonych podszwach wyjściowych louboutinów do czterdziestki, a po niej, wiadomo, nie ma już nic.

– Maaaareeeek! Wychodźże z tej lisiej nooory! – zaśpiewała pełną piersią. – No, gdzież on się podziewa?

– Jest w samochodzie.

– W samochodzie? Michaś, natychmiast po niego biegnij! Jak mogłaś na to pozwolić? W Wielkanoc! W niedzielę?

– Rozmawia z kontrahentem z Dubaju. Dla nich niedziela to jakby wtorek. Zaraz przyjdzie.

– Wtorek w niedzielę? Wielkanocną? Ach, te Arabusy! Niczego nie uszanują! – zasyczała. – A jak tam Michasiu na katechezie?

– Mamy teraz zajęcia z pantomimy i szamaństwa! Patrz! – Zamachał babci przed nosem dłonią złożoną w satanistyczne rogi: – *Co, kurde blaszka, grzeje się czaszka? Bo ja to bestia, to nie jest kwestia!* – zarapował nad święconką.

– Michaś! – Złapałam go za rękę i wykręciłam ją do tyłu, choć prawdę mówiąc, nie mogłam się nie zgodzić z wymową tego poematu. Nie ulegało żadnej kwestii, że mój syn był bestią, a mnie z tego powodu już dawno dymiała czaszka. – Święta są, potworze ty jeden!

– Przecież babcia wie, że nie chodzę na religię, to po co mnie prowokuje? *Jestem ateistą oraz satanistą! Sikam pod kościołem, Luc jest mym aniołem!*

– Dosyć tego! Uspokój się i przeproś babcię! Zaraz tu Marek będzie! – palnęłam bez sensu.

No i co z tego, że tu będzie? NIC! Nie Michasiowi się dostanie, tylko mnie, za „brak dyscypliny i konsekwencji w wychowaniu”. Bo to moja wina, gdyż rekompensowałam mu cały ten dopust boży (na przykład rozwód i plejadę dwudziestoletnich Żenadek Roberta) totalnym odpustem

wszelkich dziecięcych przewinień. A Michaś doskonale to wszystko rozumiał i patrzył na mnie z przylepionym na stałe ironicznym uśmiezkiem nieustającego triumfu.

– Ciśnienie mi rośnie! – Zdenerwowana matka opadła na krzesło. – Tak to jest, jak się wyrasta bez przewodnika stada! Owieczki idą samopas, wprost do przepaści!

Spojrzała na mnie z wyrzutem, bo dekadę temu na stałe usunęłam z grafiku mojego życia Roberta, ojca Michasia, według niej, brakujące w stadzie ogniwo, według mnie, wręcz przeciwnie. Uspokoila się trochę po pięciu połówkach ugotowanych na twardo przepiórczych jajeczek, którymi zagryzła kieliszek koniaku, ale na dobre rozchmurzyła dopiero na widok Marka: „O wilku mowa, chodź do nas, Mareczku!”. Spóźnienie wybaczyła mu uśmiechem startych od zaciskania zębów, jak zwykle w uroczystych chwilach pomazanych karminową szminką. Potencjalny zięć miał wiele zalet, z których najważniejsze były dla niej trzy: nie był kobieciarzem, nie był pijakiem i nie posiadał dzieci. A zresztą „nieważne, jaki kot jest, byle łapał myszy” – powtarzała – dwie firmy, bogaty, bez przeszłości, za to przyszłość z nim maluje się różowa, jak na razie na dwustu eleganckich metrach plus taras, ale kiedyś być może i w prawdziwej willi. Kiedyś, czyli po ślubie, najlepiej kościelnym, i po scementowaniu związku przez wspólne dziecko, choć „nie urodzi sikorka słowika”.

Od razu usiedliśmy do stołu, bo tradycyjna ceremonia składania sobie życzeń została odwołana ze względu na zjedzenie przez matkę większości przygotowanych w tym celu eleganckich przepiórczych jajeczek. I dobrze, bo dzięki temu uniknęłam słuchania, jak to mi z całego serca winszują, żebym ułożyła sobie życie i dała im jeszcze jednego wnuka, bo zaraz może być za późno.

Po barszczyku, przypominającym oryginał jedynie z nazwy, wjechało piecyste, niezawodna kulminacja rodzinnego dramatu.

– Pyszny indyk! Taki soczysty! – kłamał Marek, a pozostali w milczeniu

udawali, że jedzą. Poza ojcem, któremu, jak i Docentowi, zawsze wszystko smakowało.

Popatrzyłam na wyschniętego na wiór ptaka. Leżał na półmisku bez nóg i lewej piersi, otoczony wianuszkiem wyjętych z puszki plastrów ananasa i brzoskwiń, które złośliwie ześlizgiwały się z niego na cepeliowski obrus. Matka od niepamiętnych PRL-owskich czasów uważała tę osobliwą dekorację owocową za szczyt dobrego, świątecznego smaku. Do tego chrzan wymieszany z żurawiną, eleganckie miniaturowe kartofelki, wycinane ręcznie z pospolitych ziemniaków, i zielona sałata, światowa, bo z winegretem. A jako kropka nad i – jej odświętnie natapirowany kok, wyjątkowo sztywny i wysoki, ostatnio w kolorze oberżyny, bo wyczytała, że czarny postarza. Dodawał jej jakieś trzydzieści centymetrów i świetnie sprawdziłby się jako gniazdo dla ptaków. Albo do chowania w nim wielkanocnych jajek.

– No, na tej twojej Majorce to byś takich świąt nie miała! – wyrwała mnie z zadumy nad wszechstronnością tapiru.

– Pewnie, że nie! Ciepło by było i zielono... Indyka byśmy nie jedli, tylko pewnie rybę...

Malwina za to je teraz rozgotowane według Pięciu Przemian proso na plaży w Kerali, połączona z kosmosem. Boże, jak ja jej zazdroszczę! Sama, bez rodziny, przez całe pół roku! A ja?

– Świeta to nie wakacje, Magdusiu! To tradycja, rodzinny obowiązek. Jak się wjedzie między wrony...

– Wejdzie! No właśnie! Dobrze to ujęłaś. Obowiązek! Szaro, buro, zimno, a wszyscy się męczą, nudzą, obżerają, zamiast leżeć na plaży w Indiach, jak Malwina, albo choćby w Egipcie, i mieć wszystko gdzieś... Czy nie jest tak? Wcale nie musi być Majorca, skoro jej nie lubisz... Nie wolałabyś teraz pić drinka nad basenem z widokiem na Morze Czerwone?

– I Egipcjan by cię masował, babciu! Widziałem kiedyś program, jak takie stare babcie pojechały do Hurghady i się z Egipcjanami... – Nie dokończył, bo kopnęłam go pod stołem. – Auć! No co? Też oglądałaś!

Przy stole zapadła cisza, nie licząc stukania sztućców i siorbania Michasia, który zamiast barszczu czy wina popijał red bulla. Matka siedziała obrażona, Piotruś triumfalnie się uśmiechał, bo jego akcje na mym tle akurat wzrosły, a Marek udawał, że niczego nie słyszy.

Nie wdawał się w „niepotrzebne konflikty” i dlatego, w przeciwieństwie do mnie, był powszechnie szanowany i lubiany. „Troszkę dyplomacji, panno Magdaleno!” – upominał mnie, gdy zbyt jasno komunikowałam swoje zdanie, a wtedy zwykle odechciewało mi się już tego zdania i grzecznie przełykałam kolejną kropelkę zółci. Ten sam Marek, dla którego zostawiłam za sobą względnie beztroską przeszłość i majorkańskie życie z trzystoma pięćdziesięcioma słonecznymi dniami w roku oraz całkiem niezłe idącą kawiarnią w Costa de Blanes. Marek, za którym cztery lata temu zjechałam wyspę wzdłuż i wszerz, bo zakochałam się w fantomie, który mignął mi na dyskotecce Tito’s w Palma de Mallorca, i to tylko przez krótką chwilę. Klon George’a Clooneya, z bonusem turkusowych oczu, za którym tęskniłam, jeszcze zanim go poznałam. Mężczyzna idealny, który pewnego dnia zupełnym przypadkiem stanął pod drzwiami mojej kawiarni, gdy malowałam na jej fasadzie maki, i krzywy napis „Amapola”, czyli Mak. *El hombre de mis sueños*. Mężczyzna moich marzeń. Mądry. Piękny. Przystojny. Może już nie tak zabójczo jak kiedyś, czas robi swoje, ale wciąż mi się podobał, choć ostatnio bardziej moim koleżankom. „Takie ciacho to skarb! Trzeba go dobrze pilnować!” – radziły życzliwie, po czym mizdrzyły się do niego bez najmniejszego skrępowania moją obecnością. Niska podaż przystojnych facetów w nadwiślańskim kraju dawała się we znaki – w Hiszpanii nie oglądał się za nim pies z kulawą nogą. Tam to ja byłam królową – sto osiemdziesiąt centymetrów plus szpilki, włosy blond, ładna słowiańska buzia i oczy niebieskie. Klasyka westchnień Latynosa. A tu? Ech...

– Podaj mi, córeczko... salaterkę! – Ojciec postanowił sprytnie przełamać lód milczenia, sięgając po dokładkę sałaty, której zresztą programowo nie jadał ze względu na niebycie królikiem.

– Od kiedy jesz sałatę, tato?

– A co w tym dziwnego?

Właściwie nic. Nawet w siedemdziesiątej trzeciej wiosnie życia można zmienić nawyki żywieniowe pod wpływem ambitnej doktorantki spod Ełku, Eweliny Kiszki, lat dwadzieścia osiem. Nieporadnie skrywana fascynacja emeryta, której matka dojrzeć nie chciała, dla mnie stawała się z każdym zielonym liściem coraz bardziej oczywista. Ojciec chrupał endywię i młodniał w oczach.

– To kiedyż ta twoja Malwina wraca? – zainteresowała się matka, zamiast pochwalić ojca.

– Mówiłam ci już sto razy – jak się odnajdzie! To się w końcu nazywa „journey of self-discovery”... Też by mi się coś takiego przydało...

– Przecież JA cię już odnalazłem! – Marek chwycił mnie za rękę, co miało być romantycznym gestem, ale tylko matka popatrzyła rozanielona na tego męskiego szowinistę. – I trochę się nie dziwię, że jej nikt nie szuka...

Malwina – moja najlepsza przyjaciółka, feministka i bezdzietna singielka, była solą w oku całej rodziny, bo świeciła złym przykładem, na dodatek przez ostatnie miesiące namawiała mnie na wspólny wyjazd do Indii, co w jej przypadku oznaczało bezpłatny urlop w korporacji, w moim oczywiście Armagedon, koniec związku z Markiem, mężczyzną idealnym, oraz ewentualne odebranie mi praw rodzicielskich za porzucenie nieletniego na czas nieokreślony. Odkrywanie swojego prawdziwego „ja”, znajdowanie sensu w życiu, ćwiczenie ciała jogą, a ducha postem, medytacje o zachodzie słońca i lanie oleju na trzecie oko zupełnie nie mieściły się w głowach mych najbliższych i powinowatych ani w definicji: Magdalena Kalińska – matka, córka, partnerka. Dodałabym jeszcze – niewolnica.

– Babcia, nie mogłaś po prostu zrobić nuggetsów? Tej kury nie da się jeść! O, proszę! – Michaś zaprezentował triumfalnie kawałek indyckiej nogi,

która przeszła precyzyjną operację chirurgiczną na jego talerzu. Długo oglądał pod światło nabity na widelec kawałek mięsa. – Same flaki. Nie będę tego jadł.

– To indyk, nie żadna kura! Całą noc piekłam...

– Sorki, ale nie zjem!

– Jak ci nie wstyd, babcię serce boli!

– Szantażujesz mnie emocjonalnie, wiesz? Będę potem potrzebował psychologa, a stary będzie musiał za to bulić...

Nie potrafiłam się zdecydować, po czyjej stronie stanąć, bo obydwójce zachowywali się jak dzieci, czyli beznadziejnie, choć wydaje mi się, że matka mimo wszystko gorzej. Szantaż emocjonalny uprawiała już na kolejnym pokoleniu, z tym, że ja, jako piętnastolatka, nie potrafiłam tak tego precyzyjnie nazwać jak mój wykształcony w Internecie syn.

Tymczasem matka zbladła, wypiła duszkiem cały kieliszek wina, demonstracyjnie odwróciła się od Michasia i zmieniła temat wielkanocnej konwersacji, zanim zdążyłam sobie odpowiedzieć na pytanie, czy już czas dzwonić po Biernata.

– Mareczku, a na grób matki to kiedy pojedziecie? Niedługo już rok minie od pogrzebu. Pamiętaj, największa jest miłość matki, potem psa, a potem kota!

– Chyba miało być kochanki, nie kota! – wystrzelił dziadek i oblał się pąsem.

Już mnie korciło, żeby powrócić do wdzięcznego tematu sałaty, ale jednak sprawa grobu wydała mi się ważniejsza, bo bardzo już tęskniłam za Majorką, a Marek zaś od dawna nie chciał o niej słyszeć. Odkąd Teresa Hampton, hiszpańskim zwyczajem, spoczęła w murowanej ścianie na Cementerio Comunal, jakby wymazał ją z pamięci, niestety, wraz z moją ukochaną wyspą.

– No właśnie, kiedy pojedziemy? Obiecywałeś... Pod takim warunkiem wyprowadziłam się z Majorki... Mieliśmy tam spędzać wakacje... Wyremontować Sant Elm... Zrobiłam projekt, i co?

– Nie przypominam sobie żadnych warunków... A ty sama podjęłaś decyzję, że przeniesiesz się do Warszawy... Wiedziałaś, że tu mieszkam i tu PRACUJĘ – wycedził starannie słowo klucz. – Ktoś przecież musi zarabiać!

– Złote gołąbki nie lecą same do gąbki! – wtórowała mu zachwycona doktor Dziubak.

– Moglibyśmy żyć skromniej i odbudować Sant Elm... Nie muszę mieszkać w penthousie z basenem... Można by za niego mieć dwa takie segmenty jak ten!

Matka nastroszyła uszy, a ojciec rozejrzał zdziwiony po salonie.

– Albo i trzy! – dorzucił Piotruś, a ojciec z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Pewnie i trzy! – skwitował Marek. – Dlatego nie stać nas na Sant Elm. Ciesz się tym, co masz. Poza tym jest jeszcze dom w Międzyzdrojach...

– Dokładnie! Wczasy dla proletariatu! Deptak i chińska tandeta! A moje uczucia? Moje tęsknoty? A moi przyjaciele, a Ivanka, a Altos, Rosa? Nawet ich nie odwiedzamy!

– Madziu! Jak się wjedzie między wrony... – skarciła mnie matka przeraźliwym skrzekiem.

– WEEEJDZIE!... A poza tym nie byłaś tam nigdy! – Westchnęłam i nie miałam już siły po raz kolejny tłumaczyć, że odziedziczona po wuju eklektyczna bryła w kolorze malinowej pianki, ze styropianową sztukaterią wokół plastikowych okien, wciśnięta między wybudowane w późnym PRL-u blokowisko a budynek sanatorium Hutnik, nie mogła być najżałośniejszą nawet namiastką Sant Elm i Majorki. Mojej Majorki!

– Lepsze dziś jajko niż jutro kokota!

– Ko-ko-SZa! Mamo, ko-ko-SZa!

– Przestańcie się tak kłócić o te zwierzęta! – ocknął się Michaś. – Możemy już iść czy babcia jeszcze zemdleje?

CZESKO-HISZPAŃSKIE PROBLEMY DAMSKO-MĘSKIE

Wielkanocny stół posiadał jednak magiczną moc. Nie objawiła się ona tym razem oświadczeniami, lecz czymś znacznie atrakcyjniejszym. Mój wniosek wyjazdowy został przez Opatrzność rozpatrzony pozytywnie, i to w trybie pilnym, bo już dwanaście godzin po magicznym śniadaniu. Opłacało się zjeść wióry z indyka!

W środku nocy zadzwonił telefon. Gdy w słuchawce ustał histeryczny szloch, usłyszałam zasmarkany głos Ivanki, mojej czeskiej współpracownicy w kawiarnianych interesach i wieloletniej towarzyszkę damsko-męskiej niedoli.

– Ja se chyba zabiju!

– A nie mogłabyś z tym poczekać do rana? Jest trzecia w nocy!

– Wiesz, co on udielał? W naszej posteli znalazłam! Kurevnik jeden!

– Paco?

– No, a kto? Pewnie, że on! Znowu mnie zdradził! To je koniec! –

wrzasnęła nieszczęśliwie zakochana seksbomba z Ołomuńca, a następnie zanosła się takim szlochem, że nie musiałabym dawać na głośnomówiący, by obudzić nieboszczyka. Obiecałam, że zaraz oddzwonię i wysunęłam się ostrożnie z łóżka.

– Co się dzieje? – spytał Marek, jednak wyrwany ze snu. Przyklepione do spoconego czoła loki świadczyły o tym, że śniły mu się spadki na giełdzie

i inne demony. Kiedyś tak w nocy nie wyglądał...

– Nic, Ivanka znowu się rozstaje. Tym razem przyłapała go z jakąś divką w posteli. Czyli z dziewczyną, nie z dziwką, i w łóżku, to po czesku.

Brzmiała w każdym razie strasznie...

– Skoro tak z nią źle, to może powinnaś tam pojechać? W końcu to też twoja kawiarnia! – zawołał za mną, gdy szłam do kuchni.

– W końcu to moja przyjaciółka! – odkrzyknęłam, ale chyba nie usłyszał albo usłyszeć nie chciał. Zero empatii, lecz czego spodziewać się po jedynaku sierocie, który posiada „prawdziwych” przyjaciół w liczbie dwóch, a widuje ich maksymalnie raz w roku na klasowym zjeździe? Zezłościła mnie ta myśl. Co to za cyborg? Wróciłam do sypialni, przytuliłam się do niego i spróbowałam poskromić Frankensteina. – Mareczku, kochanie, może ze mną polecisz? No, proszę cię... Tak dawno nie byliśmy nigdzie razem... – zaskomlałam słodziutko.

– A ja tam po co? Zajmij się tą wariatką, ja mam co robić w biurze!

Trafiony zatopiony! Innej odpowiedzi się nie spodziewałam.

Resztę nocy spędziłam na niewygodnym, ale bardzo designerskim krześle Starcka w naszej jeszcze bardziej designerskiej kuchni, w której połowy urządzeń wciąż nie potrafiłam obsłużyć, ale za to przyjemnie na nie było popatrzeć. Marek to (patrzenie) uwielbiał i w sumie cieszył się, że sprzęty pozostają dziewiczo błyszczące i nienaruszone. Na przykład hiperskomputeryzowany ekspres do kawy. Nie używałam go, bo (jeśli w ogóle udało mi się nacisnąć odpowiedni guzik) wydawał odgłosy startującego statku kosmicznego. Więc żeby nie obudzić domowników, co godzina gotowałam wodę w garnuszku do jajek i zalewałam wrzątkiem rozpuszczalną kawę.

A przecież można bez tego wszystkiego żyć! Malwina żyje od miesiąca bez telefonu, Internetu, a nawet, podobno, bez paszportu (pewnie, żeby nie uciekła z tego Kerala Center of Self Discovery czy jak mu tam). I jest to coraz bardziej wkurzające. Co ja bym dała, żeby móc teraz do niej

zadzwoić...

Nad ranem, czyli cztery neski i kilkaset impulsów telefonicznych później, musiałam przyznać się do porażki jako telefon zaufania i całodobowe wsparcie psychologiczne. Moja czeska przyjaciółka, będąca po szacowanej butelce whisky i kilku xanaksach, nadal nie widziała sensu w życiu ani światełka w tunelu. Nic. Czarna dziura. Sytuację pogarszał fakt, że jej synowie przebywali właśnie na feriach u tatusia i nowej miłości jego życia. Być może gdyby nie te dramatyczne okoliczności, divka znaleziona w pościeli wraz z rozpalonym jak piec hutniczy Paco nie okazałaby się gwoździem do trumny ich burzliwego związku.

- Przylecisz? Ja bez ciebie nie dam radę! – zachlipała na koniec.
- Ano! Najbliższym letadlem, kochana!

Tę trasę znałam na pamięć. Najpierw nudne równiny, potem ogromne, białe o każdej porze roku, góry. „Ladies and gentlemen, przelatujemy właśnie nad Mont Blanc” – wszyscy patrzą w lewo, lekkie turbulencje, bo zmieniają się masy powietrza i pojawia się ciemnoniebieska tafla, która później staje się karbowanym morzem. Widać fale rozbijające się o skały Formentoru i wody spokojnie wpływające do zatoki Alcudii, za chwilę góry Tramuntana, zielone pola, dwa, trzy miasteczka, ciągnące się kilometrami kamienne murki, samotne domostwa i wiatraki. Dużo wiatraków. Im bliżej lotniska, tym ich więcej. „Bo samoloty robią wiatr!” – uparcie twierdził Michaś, nim stał się zblazowanym nastolatkiem.

W połowie marca na lotnisku w Palma de Mallorca niewiele się dzieje. Niemieccy emeryci po zimie spędzonej na Arenalu wracają do Heimatu, zadowoleni, że znowu uniknęli połamania sztucznych bioder na oblodzonych ulicach Kolonii czy Padebornu. Na ich miejsce przyjeżdżają nieco młodszy, objuczeni rowerami, by ścigać się po krętych drogach Majorki, oraz znacznie bogatsi z ciężkimi torbami golfowymi, bo trwa najlepszy sezon na osiemnaście dołków.

W wypożyczalni samochodów jestem jedyną klientką. Czeka na mnie

Śpiąca Królowna, wyraźnie zadowolona, że może wydać mi kluczyki, a także zaoferować bezpłatny *upgrade*. W drodze na parking mijam kolorowe kwiatki, wylewające się z donic, i soczyście zielone palmy. Palmy w Palmie! Wrzucam do srebrnej toyoty, znacznie dla mnie za dużej, przemoczone w warszawskim błocie buciory i grubą kurtkę, zdejmuję skarpetki i oglądam swoje bosc stopy w ciepłym świetle zachodzącego słońca. W Warszawie jest już ciemno, słońce dawno zniknęłoby, gdyby w ogóle się pojawiło w tych długich miesiącach szarugi, pluchy, mrozu, deszczu i lodowatego wiatru, ciemnej zimy i burego przedwiośnia. W ponurych tygodniach odśnieżania auta, ścierania śladów soli z butów, spierzchniętych ust i szorstkich dłoni.

Zaciągam się świeżym, wilgotnym powietrzem i czuję, że nareszcie żyję!

Nie jadę autostradą, tylko dłuższą drogą, przez miasto, nad samą zatoką, żeby po raz setny upoić się morzem, plażą, palmami. Koronkową sylwetką katedry, zarysem starego miasta, portem... Nigdy nie będę miała dosyć tego widoku. Kocham go! Jest taki mój! Ileż kilometrów przeszliśmy tu z Altosem, ileż kaw wypiliśmy w Darsenie!... Patrzę zachłannie na białe jachty, na ludzi na plaży, na kolorowe kwiaty. Na Titos, gdzie pierwszy raz zobaczyłam Marka, i na Yacht Club, wciąż gorzko odbijający mi się Vincenzem.

Na rondzie w pierwszej miejscowości za Palmą skręcam w prawo. Pierwsza w górę, prosto, dalej w lewo... Dojechałabym z zamkniętymi oczami. Jest. Calle Llaut. Ulica Kutrowa. Moja ulica, mój domek. Już nie mój, ktoś w nim mieszka. Zwalniam trochę, ale nie mam odwagi wysiąść. Musiałabym się zastanawiać, czy byłam tu szczęśliwa, czy żałuję, czy chciałabym wrócić. Nie wiem. Nie chcę wiedzieć. Ale tęsknię. Cholernie tęsknię. I zawsze najpierw jeżdżę na calle Llaut.

Przywołałam się do porządku, przypomniałam sobie, po co tu jestem, i pojechałam do Blanes. Tam był mój drugi majorkański dom. Właściwie był to dom Ivanki, który z trudem odzyskała po krwawym rozwodzie, i jednocześnie adres naszej firmy, bo od czterech lat na parterze

i w ogrodzie od frontu prowadziłyśmy kawiarnię. Budynek był brzydki, zbudowany w latach siedemdziesiątych systemem gospodarczym, bez widocznego udziału architekta i zdrowego rozsądku. Jego twórca miał niewiele serca dla lokalnej tradycji budowania prostych domów z kamienia i jasnej dachówki, ale za to naoglądał się migawek z Beverly Hills, i to, co z nich zapamiętał, starał się w tym dziele zawrzeć. Fasada w jajecznym kolorze, niezgrabne tralki na tarasach i basen w kształcie nerki miały mu nadać hollywoodzki *flair*. Dlatego gdy cztery lata temu spontanicznie zamalowałam jego boczne skrzydło czerwonymi i fioletowymi makami oraz nie do końca udanym napisem „Amapola”, dom, wbrew obawom, tylko na tym zyskał. Już nie był zwyczajnym paskudztwem, lecz paskudnym oryginałem.

Bez problemu zaparkowałam pod samą furtką, co w lecie graniczy z cudem. Na tym polega luksus zimowego sezonu, że temperatury ledwo dobijające do dwudziestu stopni tylko koneserzy uważają za atrakcyjne, a tych na szczęście wciąż jest na świecie mało. Choć był dopiero marzec, w ogrodzie już prawie wszystko kwitło. Nad furtką uginał się wielki krzak fioletowych pędów bugenwilli, przycięte na zimę oleandry wystrzeliły wysoko, liście figowców pęczniały od soków, i nawet nasze dwie palmy wciąż dzielnie broniły się przed palmową stonką, którą podobno razem z masą tandetnych podróbek sprowadzili tu Chińczycy.

Przekręciłam klucz w zamku i poszłam szukać Ivanki.

Zbudził mnie tupot białych mew w mojej własnej, bardzo ciężkiej głowie. No tak, mewy. Faktycznie. Zdecydowanie byłam nad morzem, Morzem Śródziemnym, morzem wypitego wczoraj wina i morzem wylanych przez Ivankę łez. Nawet jej wodoodporny tusz dla zawodowych pływaczek nie wytrzymał wzruszeń, jakie wywołał w niej najpierw mój widok, a potem całonocna opowieść o nieszczęściu zwanym Paco. Połączenie ogromnej rodzinnej fortuny, nadmiaru testosteronu, uwięzionego w przeraźliwie owłosionym ciele, i wiosennego słońca, niebezpiecznie podgrzewającego

hormony do punktu wrzenia, zrobiły swoje. Paco, po zimie względnej wierności, wpadł wraz z otaczającą go przyrodą w kolejny etap cyklu biologicznego. Przebudził się do życia, a ściślej rzecz biorąc, do życia seksualnego, niestety, nie tylko tego z Ivanką. Zapomniawszy, że ta znajdowała się w posiadaniu kluczy do kuchennego wejścia jego magnackiej posesji, spokojnie udał się do łóżka z osiemnastoletnią Słowaczką, a potem, zdziwiony pojawieniem się Ivanki na progu sypialni, wyjrzał spod kołdry i wyjaśnił: „To jest Katinka, twoja rodaczka!”. Tej „rodaczki” dumna Czeszka spod Ołomuńca nie mogła mu wybaczyć najbardziej.

Bardzo jej współczułam. Tak bardzo, że straciłam wątek pomiędzy ostatnim kieliszkiem wina a porankiem, który okazał się wczesnym popołudniem, gdyż krótsza wskazówka zegara w postaci naturalnej wielkości tekturowej Pameli Anderson połączyła właśnie pępek z jej lewą piersią. Dochodziła więc na oko druga. Za lat dziesięć o tej porze biust prawdziwej Pameli wskaże pewnie szesnastą, ale wtedy synek Ivanki zakocha się w nie aż tak cycatej i wiekowej piękności. Na razie korzystałam z jego nieobecności i uroków chłopięcego pokoju. Od mojej ostatniej wizyty plakat z Super Mario zastąpiła Pamela, szafkę nocną sterta „Playboyów”, a zbiory matchboksów kolekcja maści na pryszczę i pomad do włosów. Dojrzywał tak jak mój Michaś, choć być może ciut bardziej bezpośrednio. Trudno się dziwić przy porażającej seksapilem matce o idealnej figurze klepsydry, podkreślonej silikonowym biustem i ulubionym gorsetem. Nie mówiąc już o dotychczas dochodzącym kandydacie na ojczyrna, wzorze seksizmu i seksoholizmu, z czym się bynajmniej nie krył.

Wygrzebałam się z czarnej, śliskiej pościeli z różowym króliczkiem, owinęłam w poliestrowy, bokserski szlafrok i zesłam na dół.

Ivanka leżała na kanapie z oszronioną butelką wódki na czole.

– Led se skonczył! – burknęła, nie otwierając oczu.

– A nie masz groszku? Lepiej się przykłada...
– Co ty mluwisz? Co jest „groszku”?
– Nieważne... Leż sobie z wódką. Nie otwieramy dziś?
– Nie mam na to hlavy... Nemohou pracovat! – jęczała. – Magda, ona jest slovenska! Rozumisz?

– A tam! Co z tego, że Słowaczka? Paco lubi blondynki i już. A te wszystkie Szwedki, Niemki i cholera wie, co jeszcze, ci nie przeszkadzały? Czy to nie wszystko jedno, z kim cię zdradza? Też cię duma narodowa poniosła!

Około czwartej Ivanka zapadła w sen, co wyrażało się poalkoholowym pochrapywaniem, trochę niepasującym do seksbomby i jej kusego, różowego szlafrocza. Nakryłam ją kocem i po cichu wycofałam się do kuchni. Tam nałożyłam sobie duży kawałek nieco podwiędłego makowego tortu, który pewnie pamiętał Wielki Tydzień, ale nic tak dobrze nie robi na kaca jak solidna porcja węglowodanów prostych. Do tego podwójne espresso, wygodny leżak na tarasie... i wreszcie mogłam cieszyć się ciepłem marcowego popołudnia i świętym spokojem. I ogrodem, który teraz, późną wiosną, rozkwitł we wszystkich odcieniach różu i fioletu. O tej porze roku zieleń była najbardziej soczysta, pinie pachniały najmocniej, a drzewka pomarańczowe uginały się pod ostatnimi słodkimi pomarańczami. To właśnie ta płodna, obfita wiosna budziła co roku w Paco zwierzęcą chuć i to właśnie dlatego teraz i w tak głupi sposób wpadł na gorącym uczynku z atrakcyjną Słowaczką. I może właśnie brak takiej wiosny na polskiej Północy usypiał nam zmysły i zerował libido. Bo jak tu rozkwitnąć w zimnie, błocie i szarudze?

Wystawiłam do słońca podbiegunowe blade ciało, upiłam łyk kawy i sięgnęłam po talerzyk z tortem. Bosko! Nic więcej nie było mi do szczęścia potrzebne.

– *Perdón!* – Usłyszałam kobiecy głos zza furtki. – Macie dziś otwarte?
– Niestety nie! – odkrzyknęłam z kawałkiem tortu w ustach i z nadzieją, że głos sam zniknie.

- Wczoraj też było zamknięte! I przedwczoraj... Co się dzieje?
- Otwieramy w przyszłym tygodniu! Zapraszamy!
- A Ivana jest? Mogę z nią rozmawiać? Jestem znajomą.

No trudno. Wstałam z leżaka, włożyłam bokserski szlafrok i podeszłam do płotu. Przed furtką stała atrakcyjna kobieta w nieokreślonym wieku. Połowę jej twarzy kryły ciemne okulary, ale reszta wyglądała, jakby ktoś ją szybko i niechlujnie sfastrygował. Nierówne policzki, rozciągnięte usta i szwy przy uszach zdradzały liczne eksperymenty z dziedziny chirurgii plastycznej. Kiedyś pewnie zjawiskowo piękna, dziś przypominała już tylko stary, połatany ponton. Była przy tym bardzo zgrabna i dobrze ubrana, w rzeczy może nie pierwszej młodości, ale na pewno przedniej jakości.

Na podwójnej skórzanej smyczy prowadziła dwa małe yorki, o tej samej, miodowej barwie włosów, co ich właścicielka, a w drugiej ręce ścisnęła najprawdziwszy birkin ze stylowo zawiązaną jedwabną chusteczką, także od Hermès'a.

- Ivanka dzisiaj się źle czuje. Mogę pani jakoś pomóc?
- Jesteśmy na długim spacerze, a tu w okolicy nie ma nic innego...

Chętnie byśmy się czegoś napiły... Zrobi pani dla nas wyjątek?

Otworzyłam furtkę i zaprosiłam ją, czyli je, jak mówiła o sobie (i psach) na taras.

- Zawsze siadamy tam... pod palmą.
- Nie ma sprawy! To co, woda dla psów, a dla pani lemoniada?
- Vino blanco. I dwie kostki lodu, poproszę. Dziewczynki liżą lód.

I przynieś mi, proszę, popielniczkę.

Poszłam do kuchni szukać schłodzonej butelki. W lodówce stały jeszcze dwie flaszki.

- Weź tańsze! – zawyła Ivanka z salonu.
- Nie śpisz? Jakaś taka Pofastrygowana przyszła...
- Tak, to Lena. Szwedka. Zanieś jej butelkę w kubek. I lód osobno.

Potem ci wytłumaczę... Głowa mi pęka!

Pofastrygowana potrzebowała trzy kwadransy na 750 mililitrów wytrawnego Blanc de Blancs i siedem sztuk papierosów. Co jakiś czas dolewałam jej wina i pytałam, czy coś jeszcze podać, może oliwki albo makowca, ale odmawiała. W ogóle nie była zbyt rozmowna, ale to wcale nie pozwoliło mi na dalsze zrelaksowane opalanie na tarasie. Obserwowała mnie bacznie. Dopiero gdy dopiła ostatnią kropelkę, wstała i bez słowa, za to lekko chwiejnym krokiem, ruszyła do wejścia. Podbiegłam do niej z paragonem i głupią miną, która miała wyrażać przypomnienie o zapłacie, ale ona, nie odwracając się nawet, burknęła:

– Mam tu otwarty rachunek, kochanie!

Ivanka tylko machnęła na to ręką i znowu zapadła w drzemkę.

Wieczorem wybierałam się do Altosa, obiecałam mu to osobiście na Skypie przed wylotem z Warszawy. Po drodze mogłabym odwiedzić Rosę, ale Ivanka, jeszcze w stanie trzeźwości, odradzała mi to gorąco. Brzmiała przy tym prawie jak Marek, który konsekwentnie unikał spotkań z „tą ezoteryczną nimfą”, dając tym wyraz zerowej tolerancji dla wszystkiego, co irracjonalne, niepotrzebne i metafizyczne. Chyba trochę bał się tej lewitującej metr nad ziemią ekologicznie zorientowanej joginki, ostoi kosmicznego spokoju, odzianej zwykle w pomarańczowy sarong, słodko pachnącej marihuaną westalki alternatywnego ogniska.

– Lepiej tam nie jedź, ona se bardzo zmeniła! To nie jest już stara Rosa! – uprzedzała Ivanka.

Powodem przemiany miał być, jak to zwykle bywa, facet, z zamiłowania jej aktualny narzeczony, z zawodu muzyk, albo odwrotnie.

Oczywiście w drodze do Palmy podjechałam pod ukryty na piniowym wzgórzu dom.

Przed furtką stał czarny bus. Wymalowany w dość realistyczne trupie czaszki i srebrne błyskawice nie pasował ani do sielskiej scenerii, ani do samotnej matki trójki dzieci, ale pasował jak ulał do muzyka i nawet określał gatunek jego twórczości. Nie, na to zdecydowanie nie miałam

ochoty! Już zamierzałam odjechać, gdy z drzwi wychyliła się Rosa i zawołała: „To ty, Magda?!”. Nie dało już się ukryć, że w rzeczy samej, to byłam ja. Ja we własnej osobie, taka sama jak zawsze. Ona natomiast, zamiast pomarańczowego sarongu, miała na sobie bure, jakby ręcznie dziergane szmaty, a ciemne loki, których tak jej zazdrościłam, nosiła wyprostowane na blachę. Wsiadłam z auta i poszłam się przywitać, a wtedy obok niej wyrosło coś w czarnej skórce, czarnych glanach, z irokezem na głowie i z czarną szminką na ustach. Androgeniczna hybryda.

– Poznajcie się! To jest Escarabajito – Żuczek, mój chłopak! Magda jest z Polski, ale mieszkała tu kiedyś...

Żuczek popatrzył bez zrozumienia, niewątpliwie o Polsce nigdy nie słyszał, bo i skąd, ale podał mi dłoń o długich paznokciach i srebrnych pierścieniach.

– Żuczuś, wracaj do domu i zagraj nam mój ulubiony kawałek!

Chłopiec karnie odmaszerował, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć.

– On jest bardzo zdolny! – wyjaśniła, a grubo dziergany sweter zsunął się jej przy tym z ramienia, odsłaniając wytatuowanego chrabąszcza. Miałam nadzieję, że to kalkomania. – A jak się rucha!

– „Rucha”? Co za słownik! Nie poznaję cię...

– Jak to? Zawsze lubiłam seks. Wiesz, jak taki młody pachnie... miodem...

– Pfuj! Ile on ma lat? Siedemnaście?

– Dwadzieścia dwa! – oburzyła się. – Mieszka u mnie od tygodnia i jest nam fantastycznie. Nie można patrzeć na pozory! W każdym człowieku trzeba zobaczyć to, co boskie! A to, co boskie nie zna wieku.

Nie musiałam, a nawet nie mogłam tego skomentować, bo w tej sekundzie akustyczny atak na moje bębenki odebrał mi zmysły. Wszystkie naraz. Żuczek przedstawiał etiudę o tytule *Blaaaack Bloood Grove*, jak to wykrzyczała za mną Rosa, gdy rzuciłam się do ucieczki.

Nie opowiem o tym Markowi. Ani o nocnym pijaństwie z Ivanką.

„Gdybym cię nie zabrał z tej wyspy, byłabyś taką samą wariatką jak one” – skomentowałby, a ja bym go za to nienawidziła.

Miasto było o tej porze roku ciągle jeszcze dość puste, ale na Paseo Maritimo życie nigdy nie zamierało. Trzypasmową jezdnią sunął niekończący się sznur samochodów, a na nadmorskim deptaku nawet w zimie, jeśli tylko dzień był cieplejszy, bywało tłoczno. Tu wyjątkowo lubili spacerować tubylcy, często całymi rodzinami, z odświętnie ubranymi brzydkimi dziećmi, z psami, po których nigdy nie sprząтали, z dziadkami na wózkach i wnuczkami na wrotkach. W południe przesiadywali w kawiarniach, oglądali należące do Niemców łódki, a nocami, ci młodszy, stali w kolejkach do dyskotek, które pstrokatymi neonami zamieniały Paseo w wesołe miasteczko. Wczesny marcowy wieczór czy – według lokalnych standardów – późne popołudnie, wygonił już znad morza spacerowiczów, a i tak z trudem znalazłam wolne miejsce dla kobylastej toyoty.

Stał w oknie, jakby od zawsze tam na mnie czekał. Szczupły, o niemal kociej figurze dawnego baletmistrza, pomachał do mnie i zaraz gdzieś zniknął. Pchnęłam niemodne, ale solidne wrota, wykończone miodowym fornirem, i weszłam na drugie piętro po wyłożonych lastrykiem schodach. Pachniało kwaśno smażonymi marisco, owocami morza, i środkiem na karaluchy.

Drzwi do mieszkania zostawił uchylone. W środku panował półmrok, na stole płonęły wysokie świece, dymiły kadzidełka i mirra. Okiennice były pozamykane, zasłony zaciągnięte, panowała kompletna cisza.

Wpadłam w jego szeroko otwarte ramiona jak mała dziewczynka, z ufnością i niemal fizycznym stęsknieniem. Wtuliłam się w silne, żylaste ciało, jak zawsze pachnące dobrze wyprawioną skórą i cynamonem. Brakowało mi go. Zanim Marek zjawił się w moim życiu, to właśnie Altos był dla mnie najważniejszy. Był moim przyjacielem i przyjaciółką, powiernikiem i tancerzem, wsparciem i wentylem. Kibicował moim

romansom, pocieszał w kryzysach, wysłuchiwał po nocach. Brakowało mi go w Warszawie.

– Al... – nie zdążyłam wykrzyczeć mojej radości, gdy przyłożył palec do moich ust.

– Ciiiiii! Obudzisz Wasana. Właśnie zasnął. Cieszę się, że jesteś, *Prinzessin!* Przybywasz w samą porę, Wasan od nas odchodzi... Nim przyszedł, modliłem się za niego. Bardzo ostatnio niedomaga. Ma raka. Wszyscy mamy albo będziemy mieć raka. Codziennie powstają w nas komórki rakowe i jeśli jesteśmy silni i czysti, odchodzą, nie robiąc nam krzywdy. Dlatego musimy medytować, żeby oczyszczać duszę i ciało. Ty też!

– Nic mi nie jest...

– Wysokie Moce wiedzą o nas wszystko, wiedzą więcej niż my. Ludzie nie wiedzą nic. Nie mają świadomości, nie mają kontaktu z kosmosem. Robię codziennie *chanelling*, łączę się z nimi i proszę o zdrowie dla Wasana.

– A z tobą wszystko w porządku?

– Oddałem mu całą energię, nie wiem, czy go przeżyję... Chodź, pójdziemy do niego, ale go nie budź. Niech śpi, to go wzmocni. Nic nie mów!

Nic nie powiedziałam, bo odebrało mi mowę. A myślałam, że Altos już niczym mnie nie jest w stanie zaskoczyć.

Rozsunął przeszklone żółtą karbowaną szybą drzwi do sąsiedniego pokoju. Tam, na łóżku Altosa, leżał Wasan przykryty jakimś zielskiem, jakby dopiero co wyszedł z ruskiej bani. Innego powodu do okrywania psa gałęziami, szczerze mówiąc, nie mogłam sobie wyobrazić. Był jeszcze chudszy niż zwykle, żebra, ostre jak tarka, unosiły się w szybkim oddechu, oczy miał mętne, a język wywalony na wierzch. Zupełnie nie zareagował na nasze wejście. Według mnie był bardziej zdechły niż żywy – jako córka doktor weterynarii Dziubak-Kalińskiej znałam się nieco na umierających psach.

– Jest nieprzytomny. Dałem mu morfinę.

– Morfinę? Nawet nie chcę wiedzieć, skąd ją miałaś. A te gałęzie, to po co? – Zerwałam jeden listek i roztarłam go w palcach. – Dziwnie pachnie... To chyba nie brzoźowe witki, co?

– To nauclea, afrykański krzew. Też uśmierza ból.

– Afrykański krzak, bo afrykański chart? Bernardyna byś śniegiem obkładała? Czy rumem?

– To nie ma nic do rzeczy. Wasan jest psem królewskim, afrykańskim, i owszem. Ale ten krzak pomaga wszystkim, ludziom też. Każdy czarnoksiężnik w Kamerunie go zna! Może dam ci kilka gałązek. A może nie dam. A teraz siadaj, pomodlimy się!

Altos, choć dawno przekroczył pięćdziesiątkę, w przeciwieństwie do mnie, bez najmniejszego problemu przyjął pozycję lotosu na bambusowej macie. Usiadłam trochę sztywno naprzeciwko niego i podglądałam, jak jego twarz, z zamkniętymi oczami i uchylonymi ustami, coraz bardziej się wygładza, a z gardła wydobywa się głęboki świst. W takich chwilach zawsze walczyłam z atakiem histerycznego chichotu.

– Otwórz się na Wysokie Moce i nuć ze mną. *Ommmm Namah Shivaya... Oommmm Namah Shvivaya... Ommmm...*

Boże, chyba nam zrobię słit focię. Ateistka i emerytowany tancerz modlą się o zdrowie zdychającego psa. W duchowej ekstazie i siadzie skrzyżnym na słomianej makatce! I ja to robię?! Ja, matka dziecku, dobiegająca rubikonu czterdziestki. Ja, dyplomowana architekt wnętrz. Ja, *businesswoman (small business, ale jednak)*. Ja, narzeczona Poważnego Faceta. Ja, córka profesorostwa (i siostra niewyoutowanej cioty, której nawet nie można nazwać gejem). Ja, po nocy przepitej z załamana czeską seksbombą i po spotkaniu z byłą buddyjką, sypiającą z (relatywnie) nieletnim punkiem. Ja, w moim dawnym majorkańskim świecie. *Ommmm...*

KOŃSKIE ZALOTY

Paco umówił się ze mną na dwudziestą pierwszą, czyli na swoje popołudnie, a mój wieczór, czyli porę jego aperitif, a mojego digestifu. A mimo to jedynym napojem, jaki piliśmy w ponurym barze przy deptaku w Santa Ponsa, była woda bez gazu. Może dlatego „poważna rozmowa” nam się nie kleiła. Paco nie dawał się złapać ani na wyrzuty sumienia, ani poczucie przyzwoitości, których zresztą na co dzień nie posiadał. Być może alkohol zmiękczyłby jego serce, ale on, trzeźwy jak prymus klubu AA, wysłuchał mnie grzecznie, następnie dość logicznie wytłumaczył, że z jego wiernością w sumie nie jest źle, jak mi się wydaje. Zawsze bowiem pozostaje wierny jednemu typowi kobiet, a pojęcie to mieści w sobie ciut więcej niż tylko Ivankę.

– FoRR example you, my fRRiend! – Wstał, by podkreślić wagę swych słów (wtrąconych po angielsku, którego znajomością lubił się popisywać) i powiedzieć mi je prosto w oczy. Niestety wciąż przemawiał do mojego obojczyka, choć nosił sztyblety na ukrytych obcasach.

– Ale Ivanka cię kocha, cierpi, płacze! – Z góry dojrzałam nawet jego przerzedzoną potylicę. – Nie możesz tak okrutnie z nią postępować!

– To co, uważasz, mam zrobić? Zabrać jej klucz?

– Ożeń się z nią! Chyba na to zasługuje po czterech latach!

– ARRe you cRRazy? – jego hiszpańskie, twarde R zaświdrowało z podwójną mocą. – Z Ivanką? Ona nawet nie jeździ konno. Ba, ona się

koni boi! Moja żona musi być amazonką, dam jej najlepszego konia!
Andaluza, najczystsze!

– No to faktycznie piękny gest!

– Tak uważasz? *Gracias!* – Rozpromienił się. – I come TomoRRow with you to Poland and find a blond giRRl who loves hoRRses. OK? Na pewno masz koleżanki, byle były do ciebie podobne. Lecisz przez Barcelonę? Polecę z tobą!

Dla Paco Bandala de Correat nie było przeszkody nie do pokonania, szczególnie gdy pomagał mu w tym jego ulubiony ogier rasy andaluzyjskiej, Maestro de Cama. Świadczyły o tym liczne puchary i dyplomy, które zdobiły mroczne wnętrza jego zabytkowej posiadłości, pamiętającej czasy pradziadka albo i dalsze. Pradziad, sprytny listonosz z głębi wyspy, zaczął od pożyczania kolegom pieniędzy na procent, a skończył na poważnym lokalnym banku. Jako jego właściciel *naturalmente*. Bank przeszedł później w ręce akcjonariuszy, ale Paco i cała jego rodzina dwa pokolenia wstecz i kilka *in spe* nigdy nie musieli się martwić o nic, poza własnymi przyjemnościami, do których ojciec zaliczał konie, matka – kobiety, a Paco konie i kobiety. Junior, pokłócony z matką o byłą narzeczoną (która wybrała jednak miłość niedoszłej teściowej), prowadził dość regularny tryb życia. Rano dosiadał koni, wieczorem kobiet, a w ciągu dnia wpadał na kilka godzin do rodzinnej firmy, gdzie zajmował się sprzedażą odziedziczonych po pradziadku działek. Bajecznie bogaty w trzecim pokoleniu i zawodowo spełniający własne kaprysy, po nowe konie latał do Andaluzji, a po nowe kobiety – wszędzie.

Dlatego nie zdziwiło mnie specjalnie, gdy przeciskając się następnego ranka z wielką torbą oraz lodówką turystyczną, wypełnioną lodem i wilkiem morskim, czyli świeżo złowioną lubiną, przez rzędy klasy biznes samolotu linii Spanair do Barcelony, usłyszałam znajomy tenoRR.

– Hello, my giRRl, you can seat heRRre! – Pogłaskał puste siedzenie 2B obok siebie.

– Jednak lecisz do Polski? Niestety, siedzę z tyłu, w ekonomiku...

– Daj spokój! Już to załatwiłem ze stewardesą. Musisz mi opowiedzieć wszystko o Polish giRRls! Mogę zatrzymać się u ciebie?

Marek będzie zachwycony! Na pewno ucieszy go słodki souvenir z Majorki w postaci niedużego samca o jasno sprecyzowanych preferencjach i życiowych celach. Pościeli mu tapczan w gabinecie i cierpliwie wytłumaczy, że nasze plemię jednak nie ma w zwyczaju udzielania gościom swych kobiet, nawet jeśli chodzi o wizytę zamorskiego (małego) rycerza i konkubinę samego szefa wioski. Boże święty, nie będę przecież denerwować Marka tą włochatą małpą!

Lot do Barcelony trwał niecałe pół godziny, które pracowicie spędziłam na obmyślaniu planu B, czyli ratowaniu mojego związku przed słodziakiem na kanapie. W grę wchodziło oddanie delikwenta do hotelu, przytułku lub w czyjeś dobre ręce. Stać go było na apartament prezydencki w Bristolu, ale tyle mu naopowiadałam o polskiej gościnności, że nijak się tego nie dało odkręcić. Sarmacka tradycja „Zastaw się, a postaw się” wzbudziła kiedyś jego niekłamany zachwyt, a o dodatkowym talerzu na wigilijnym stole słuchał ze łzami w oczach. Miałam niejasne podejrzenia, że może z ukrytego skąpstwa. Co innego wydać równowartość mercedesa na rasowego konia, a co innego trzysta euro na nocleg, i to bez blondynki. Gorączkowo rozmyślałam, co z nim zrobić, a Paco uczył się na pamięć podstawowych polskich zwrotów grzecznościowych typu „Hścieś buzi?” i „Podobaś misie”, które zapisał fonetycznie w swoim telefonie. W czasie przesiadki natychmiast zadzwoniłam do Ewy, bo znała jego przypadek z moich opowieści i zawsze podejmowała, inaczej niż ja, rozsądne życiowe decyzje.

– Oszalałaś? W żadnym wypadku go do siebie nie zapraszaj i nie mów o nim Markowi! Nigdy nie wiadomo, co zazdrosny chłop sobie wymyśli. Sceduj go na Agnieszkę, może jej się przyda w stajni – zażartowała, w swoim odczuciu bardzo błyskotliwie.

Udałam, że uśmieiałam się z żartu jak, nomen omen, koń, bo mimo

wszystko ceniłam jej rady, które nie wiadomo dlaczego często były trafne. Ale i tak wolałabym pogadać o tym z Malwiną... Wróćże już, do cholery!

Agnieszka. Ładna i samotna miłośniczka koni i, co za tym idzie, pewnie amatorka pozycji na jeźdźca, według Ivanki jego ulubionej. „Galopuj na mnie, galopuj!” – rżał w takich momentach Paco i cmokał na kochankę.

Bezproblemowa i bezpośrednia amazonka od razu zgodziła się na spotkanie z hodowcą andaluzów, ale pod warunkiem że wyślę go do niej taksówką. Temat noclegu dyskretnie przemilczałam, wychodząc z założenia, że jakoś to będzie, a pokoje gościnne nad stajnią są i tak znacznie mniej kontrowersyjną opcją niż nasza warszawska wersalka.

Na Okęciu mój hiszpański druh uznał, że jednak woli przejechać się wypożyczonym jaguarem, w końcu Warszawa to metropolia, a nie jakaś tam wiejska wyspa, pikapem już się w życiu najeździł. Wybąkałam coś o stanie mazowieckich dróg, szczególnie po ciężkiej zimie, i o niskim zawieszeniu luksusowego gadżetu z dzikim kotem na masce, ale nie chciał słuchać, narysował na mapie duże A, jak Agnieszka, tam, gdzie wskazałam, czyli między Mińskiem Mazowieckim a Cegłowem.

– Gdybyś się jednak namyśliła, pamiętaj, że jestem niedaleko! NapRRawdę możemy mieć razem a lot of fun! You aRRe blond, no?!

Pomachałam mu z ulgą na pożegnanie i odjechałam taksówką do domu.

„Kochanie, jestem! Proszę, bądź dzisiaj punktualnie o ósmej, wiozę dla ciebie lubinę, zrobię w soli!”, wysłałam SMS-a do Marka, szczęśliwa, że Paco nie będzie nam towarzyszył w powitalnej kolacji.

Zaledwie trzy dni mojej nieobecności we wspólnym mieszkaniu, zwanym apartamentem, wystarczyły, by lodówka całkowicie opustoszała, a moje dwa ulubione kaszmirowe sweterki zmieniły rozmiar na dziecięcy i wylądowały na samym szczycie kuchennych śmieci. To było w każdym razie pierwsze, co zauważyłam po wejściu do domu, bo Michaś pojawił się dopiero na specjalne żądanie, wywołany ze swojego ciemnego i dusznego

pokoju.

– Nie patrz tak na mnie, to Marek prał! Razem z ręcznikami. – Mój bladozielony syn miał na sobie mniej więcej to samo, co w dniu mojego wyjazdu, pachniał starą salą gimnastyczną, a jego przekrwione oczy wyraźnie wskazywały na przesiadywanie długimi godzinami przed komputerem. – Chciał ci zrobić niespodziankę!

– Przecież ma zakaz prania! Sviety nie było? No chodź, przywitaj się ze mną! Nie stęskniłeś się ani trochę? – Otworzyłam ramiona, ale tylko klepnął mnie łaskawie po plecach, jakby zabijał komara. – Co ty, chory jesteś? Siadaj, pogadamy!

– Gardło mnie boli, Marek pozwolił mi zostać w domu. A... jest u mnie ziom, więc nie wchodź. I nie stój pod drzwiami! Dobra? To ja spadam!

Wcale nie musiałam podsłuchiwać pod drzwiami, by usłyszeć wirtualne wybuchy bomb, serie z karabinów maszynowych i okrzyki z dwóch gardeł przechodzących mutację. Trwało to całe popołudnie i wieczór, z krótką przerwą o siódmej, spowodowaną pojawieniem się pizzy na telefon. Michaś odebrał ją w drzwiach, podał wcześniej odliczoną z drobniaków sumę i spytał, czemu „tak się na niego gapię”. Przygotowane przeze mnie kanapki wylądowały w koszu jako niewystarczająco *cool*, a ja w Internecie, gdzie szukałam odpowiedzi na nurtujące mnie od kilku lat pytania: „Ile trwa wiek dojrzewania?”, „krynąbrny piętnastolatek postępowanie”, „chamskie odzywki do matki”, googlowałam i niewiele z tego wynikało. Rady i odpowiedzi były niejednoznaczne i nieoptymistyczne, jasne i pewne było tylko to, że jeszcze długo nie zaznam spokoju.

Tymczasem ryba dochodziła w piekarniku, a w kuchni pięknie pachniało morzem, tymiankiem i cytryną. Nakryłam do stołu, zapaliłam świece i otworzyłam białe wino. Był kwadrans po ósmej, Marka jeszcze nie było. Potem, wpół do dziewiątej, Marek nie odbierał. O dziewiątej przysłał wiadomość, że *sorry*, ale nie zdąży. Chwilę potem zapieczona na śmierć ryba wylądowała w koszu obok kanapek. „Przecież wiesz, że on zawsze się spóźnia, czemu nie robisz potraw jednogarnkowych, które można

odgrzewać, zamiast bez sensu się denerwować?” – radziła matka, gdy kiedyś nieopatrznie się jej poskarżyłam. Bigos mam joginowi gotować?!

O dwudziestej drugiej moja frustracja sięgnęła zenitu, a tolerancja zera, więc postanowiłam pokazać, kto tu, mimo wszystko, jeszcze rządzi. Zdecydowanym szarpnięciem otworzyłam drzwi do pokoju Michasia. Od progu zaatakował mnie zapach przepoconych skarpetek, zimnej pizzy i wczorajszego tytoniu truskawkowego z brudnej sziszy. Kolejny dowód na to, że komputerowa wojna hormonautów trwała już trzecią dobę.

– Rano trzeba wstać do szkoły! Pożegnaj kolegę, bo jest już późno... – nie zdążyłam dokończyć, gdyż przede mną wyrósł wielki potwór o nienaturalnie jasnych włosach, różowej bezmyślnej twarzy i sporej nadwadze. Wymamrotał coś na mój widok, poczłapał do holu i sapiąc, założył brudne adidasy.

– Nienawidzę cię! – oznajmił Michaś, gdy tylko grubas zniknął za drzwiami.

– Trudno! Wywietrz pokój i spać! Dostyc tego grania! Chcesz być taki jak on?

– Jesteś rasistką! Nienawidzę cię! – wrzasnął i zamknął się w pokoju.

Rasistką? Dżizas! Wszystko jest teraz niepoprawne politycznie? Nic już nie można powiedzieć, nic! A przecież grubas był przaśno-pszenicznym blondynem, a nie czarnoskórym uchodźcą!

Mnie stawiano Ewę za dobry wzór. „Idealna Ewa to, siamto, owamto, a ty?!”... Wolałabym usłyszeć: „Nie bądź taka jak ta gruba kujonka, bądź sobą!”, ale nie, matka wyniosła ją na piedestał, a mnie na śmietnik historii. Trochę przesadziłam, ale tak wtedy się czułam.

Tymczasem mogłam co najwyżej ukoić nerwy pomarańczowym likierem, który przywiozłam z Majorki. Angel d’Or. Nic tak nie leczy z poczucia wychowawczej klęski jak Złoty Anioł, który wchodził we mnie niczym nóż w masło i smakował jak cała pomarańczowa dolina w Soller. Z każdym kieliszeczkiem mój duch przenosił się coraz bliżej Balearów, szybował nad lazurowym morzem, dachami w kolorze ochry, gajami oliwnymi, palmami,

fikusami, plażą... Zatopiłam się w marzeniach i w miękkiej kanapie.

– Załatwiłaś sprawę? – spytał na powitanie mój Partner Życiowy i zabrał się do zamiany ręcznie szytego garnituru na odblaskowe Hi Tec gacie do joggingu, jak to zwykł robić zaraz po pracy, czyli mocno po dziesiątej. Trzy dni mojej nieobecności to za krótko, żeby się stęsknił, a zwłaszcza to wyraził.

– Tak, spaliłam lubinę, której i tak byś już nie zjadł o tej godzinie... – Wstałam z kanapy, by wymienić z nim automatycznego buziaka, a przy okazji odruchowo wsunęłam rękę do jego bokserek.

– Po co ją w ogóle targałaś? Rybę można zjeść u Michela... Wydawało mi się, że jedziesz ratować swoją kawiarnię przed bankructwem... – Wyciągnął moją dłoń ze swoich majtek. – Miałem ciężki dzień...

– Czyli dzień jak co dzień. Myślałam, że zrobię ci przyjemność prawdziwym jedzeniem... A poza tym ratowałam Iwankę... przed samą sobą... i chyba się udało. To najważniejsze.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, gdyż właśnie dostarczyłam mu kolejny dowód na to, że mój kawiarniany biznes jest po prostu śmieszny, moje podejście nieprofesjonalne, a całość jedynie niegroźną zabawą znudzonej kobiety, która bez niego, samca alfa, przedsiębiorcy pełną gębą, zginęłaby z kretesem w niemodnym segmencie na Sadybie, zadziobana matczyną troską doktor Dziubak.

– Przecież wiesz, że moje udziały są czysto teoretyczne... Odkąd mieszkam z tobą, Ivanka sama prowadzi interes i ma też z tego wszystkie zyski...

– Udziały też mogą być coś warte... Nie żał ci pracy, którą włożyłaś w Amapolę? To był chyba twój pomysł, projekt... twoje torty...

– Musiałabym tam być cały czas, żeby się tym zająć... Mam wyjechać na stałe? Tak? Chętnie!

Nie odpowiedział, bo skupił się na ustawieniu pulsomierza, który wiedział o jego sercu więcej niż ja. Przed wieczornym biegiem wprowadzał

jakieś parametry, a po joggingu aparacik już sam aktualizował dane na twardym dysku i metalicznym głosem kadził najpiękniejsze komplementy. „Well done!” – skrzeczał i uśmiechnięty Marek zaczynał sesję jogi oddechowej pranayama. Gdy ją kończył, ja już spałam, gdy się budziłam, on siedział od trzech kwadransów w biurze. Pięć godzin snu całkowicie mu wystarczało, a pojawianie się na posterunku pracy przed sprzątaczkami uważał za punkt honoru.

– Kurier przyniósł kontrakt, na który czekałaś... Podpisany! Duże zlecenie, będziesz miała co robić. Zadowolona? – zapytał i wybiegł w lodowatą noc na swoje pięć kilometrów.

„Będziesz miała co robić”. Bo inaczej nie robiłabym nic? A czy powielanie „snu Polaka o hiszpańskiej posiadłości” jest Czymś? Terakota na podłodze, przecierki na ścianach... „Projektantka od śródziemnomorskich wnętrz”. Mieszkała w Hiszpanii, na Majorce! Czuje ten klimat, wie, o co chodzi. Zrobi dokładnie tak, jak widzieliście na urlopie na Costa Brava albo w latynoskich sitcomach, a teraz chcecie mieć to samo w Piasecznie czy Łomiankach. Podwarszawska hacjenda, glazura i juka.

W związku z powyższym moja pracownia od dawna przypominała miniaturę marketu budowlanego spod Alicante. Pod ścianą stały pokazowe kawałki marmurów: jasnego *crema marfil*, preferowanego w łazienkach, i ciemnobrązowego emperadora, ulubionego w przedpokojach, bo drogo wyglądał. Na półkach kilkanaście wzorów terakoty, najchętniej postarzonej na „antique”, którą moi inwestorzy lubili łączyć z plastikowymi oknami, białymi, bo dobrze się myją. Dalej wzory kutych poręczy, inspirowane balkonami z Sevilli, i najnowszy krzyk iberyjskiej mody – shuttersy, okiennice wewnętrzne, skutecznie chroniące przed promieniami polskiego, listopadowego słońca. I na nic było przekonywanie do umiaru w kopiowaniu obcych tradycji, na nic propozycje mariażu klasycznych materiałów i nowoczesnych form, na nic wszelkie próby kompromisów. Ma być po hiszpańsku i basta! Roztarta nierówno ochra na

ścianach, upinane, jedwabne zasłony i frędzle przy poduszkach. Dworek dla Don Polaka.

Z osób bliżej mi znanych tylko Ewie podobał się ten kiczowaty styl, ba, wręcz marzyła, bym pomogła przemienić jej segment na Truskawieckiej w „andaluzyjski sen”. Nie zgadłabym nigdy, że śni o Andaluzji, typowałam raczej Rzym albo Jasną Górę, a to dlatego że kiedyś wzbudzała mój szczerzy podziw jako zaangażowana w podziemno-kościelny ruch oporu licealistka. Wtedy, w siódmej klasie, chciałam być taka jak ona, patrzyłam na nią jak na święty obrazek i nabyłam nawet różaniec na poczet ideologicznej transformacji, ale rok później wolałam już grę w butelkę i wolną chatę po szkole.

BURAK

Następnego ranka Michaś źle się poczuł. Jęczał i pokasływał, a na dowód ciężkiej choroby zademonstrował intensywnie czerwony język. Szkarlatyna jak nic! Otuliłam kołderką, napiłam herbatą z sokiem malinowym i pozwoliłam się wyspać do południa.

– Pośpij sobie jeszcze, syneczku! Sen to najlepsze lekarstwo. – Ucałowałam jego wyjątkowo zaróżowiony policzek. Nawet się nie bronił, tylko lekko skrzywił w grymasie obrzydzenia, a ja i tak byłam szczęśliwa, że mogę utulić mojego bezbronnego, małego dzidziusia.

Gdy kilka godzin później, opatulony w Marka szlafrok, jadł w salonie duże śniadanie przy ulubionym filmie, ja sprzątałam, a dokładniej mówiąc, odgruzowywałam jego pokój, który wyglądał jak melina rodziny patologicznej po wesołej libacji. Zebrałam leżącą na środku stertę brudnych ubrań, zresztą dokładnie wymieszanych z czystymi, wyrzuciłam lepkie papierowe kubki, pudła po pizzy, butelki po coli i schowałam rozkręconą na drobne części drukarkę. Odkurzyłam, przewietrzyłam i zabrałam się do ścielenia łóżka. I wtedy czar choroby prysł! Pod poduszką leżał kawałek surowego buraka.

Myślałam, że go zabiję! Syna mego własnego, rodzzonego, nieodrodnego,

bo jednak kreatywnego jak ja, muszę stwierdzić (z odrobiną matczynej dumy).

Przyznał się z pewną dozą nieukrywanej satysfakcji na pryszczatej buzi. Znowu się głupia matka dała nabrać. Jak już raz na plastikową kupę na dywanie albo sztuczną krew na „pociętych” przegubach.

Kazałam natychmiast się ubierać, pędzić do szkoły na ostatnią lekcję, a po drodze wynieść śmieci. Podbiłam jeszcze deklaracją „zero tolerancji dla syfu w pokoju” i dorzuciłam szlaban na Internet do końca tygodnia.

Na to Michaś wstał, spokojnie się umył i ubrał, a następnie oznajmił, że wyprowadza się do taty, gdyż jestem beznadziejna i nie da się ze mną mieszkać.

– Ojciec taki nie jest! – warknął. – Ma swoje życie, więc nie musi się wtrącać w życie innych ludzi! Jak ty!

Szybko spakował sportową torbę, zeszyty, komputer, play station i trzasnął drzwiami. A ja zostałam sama na kanapie i czułam, że świat mi się wali. A potem resztkami sił wybiegłam na korytarz i wrzasnęłam do odjeżdżającej windy.

– WRACAJ!!!! Ale to już!

„Jedźmy, nikt nie woła!” – powiedziała by Michaś do windy, gdyby czytał lektury szkolne.

Wróciłam na kanapę i pograżyłam się w jej puchowych, włoskich poduchach oraz niewyobrażalnym smutku opuszczonej przez dziecko matki. Serce mi pękało, a w uszach szumiały ostatnie słowa ukochanego syneczka: „Ojciec ma SWOJE życie!”. No właśnie, a ja? Ja nie mam, bo podporządkowałam je temu niewdzięcznikowi, na dodatek bez sensu, bo wszystko zrobiłam źle. Jestem beznadziejna i się wtrącam. Wściekam się z powodu głupiego buraka. Zamiast na przykład przeprowadzić poważną rozmowę i dotknąć głębiej leżących problemów niż burak pod poduszką. Tylko jak, skoro od jakichś dwóch lat praktycznie ze mną nie rozmawia, ograniczając się do pyskówek i monosylab, z których najbardziej

uniwersalne są „Eęęę?” oraz „Noooo”, a w wersji pełnego zdania „No iii?”.
Porażka! Pełna porażka.

– Nie przejmuj się! Krzywda mu się nie dzieje, pomieszka trochę z ojcem, a do nas przyjdzie na weekend. Dzieckiem już nie jest. – Marek wydzwoniony z jakiejś konferencji ocenił sytuację trzeźwo i po męsku, czyli całkowicie bez zrozumienia.

– Na weekend? Tak myślisz? – Uczepiłam się jak tonący brzytwy. – No, oby! Bo, wiesz, jak boli syndrom „pustego gniazda”?!
– Przecież nie ma go dopiero pół dnia...

– A jak nie wróci? – tu głos mi się załamał, znak, że czas kończyć

konwersację. Marek niczego bardziej nie bał się na świecie niż rozhisteryzowanych bab.

– Magda, muszę kończyć, pogadamy wieczorem. Późno dziś będę. Pa!

– Jutro sobota! Weekend. Może do nas przyjdzie... – rzuciłam jeszcze, ale Marek już się rozłączył.

Nie przyszedł i nie zadzwonił. Ani w sobotę, ani w niedzielę. Cierpiałam, tęskniłam, plułam sobie w brodę. Taplałam się w swojej emocjonalnej mizerii. Sama, opuszczona przez syna, dobre duchy, wszystkich. I jak zwykle bez Marka, którego tydzień pracy kończył i zaczynał się w niedzielę.

W KAŁUSZYNIE

Paco nie odzywał się od dnia przylotu, kiedy to trzy razy przysłał tego samego SMS-a: „It’s a joke!”, a następnie zapadł się pod ziemię. Zadzwoniłam więc do Agnieszki. Długo nie odbierała, nim rzuciła do słuchawki niechętnie, jakby obrażone, „Halo”.

– Jest w Kałuszynie! I, proszę, nie przysyłaj mi już takich gości! – powiedziała chłodno.

Zanim jednak znalazł się w Kałuszynie, zdążył wpaść jaguarem w dziurę na drodze krajowej E30, wezwać Agnieszkę na pomoc, zażądać gorącej kąpieli, gdyż przemarzł w „syberyjskim klimacie”, oraz wyjść z wanny pod

osłoną jedynie własnej sierści, wprost do salonu ze szczerym pytaniem: „Cisi podoba?”. Gospodyni, zwyczajna różnych wiejskich kudłaczy, uprzejmie uśmiechnęła się, zatroskana, że gość goły, bo może nie naszykowała ręczników. Poprosiła, by chwilę poczekał, ale odparł, że jest już „RReady” i spytał, czy ona też. Tu się nieco zdziwiła, ale Paco dalej napierał, tym razem osobiście, włochatym torsem. I wtedy Opatrzność zesłała interruptum w postaci wystąpienia ataku kolki u jej ukochanej klaczy, dzięki czemu Agnieszka elegancko wyszła z opresji i z salonu, by zrobić zwierzęciu lewatywę z letniej wody i szarego mydła. Niestety, ta dla postronnych mało romantyczna sceneria płukania końskich jelit nie odebrała Hiszpanowi wigoru i gdyby nie objawienie się blond anioła z Kałuszyna, asystentki weterynaryjnej Bidon Jolanty, Agnieszka musiałaby użyć gazu pieprzowego w celu samoobrony. Na chwilę zostawiła Paco i asystentkę samych, a gdy wróciła, żeby zapłacić, para najwyraźniej dogadała się także w temacie pozajelitowym. Paco pożegnał się chłodno i odjechał jaguarem do Kałuszyna śladami fiata pandy Jolanty.

Koń przeżył.

– Czy oni wszyscy tacy są na tej Majorce? – spytała na koniec rozmowy Agnieszka.

Nie, to był chyba wyjątkowy przypadek. Chyba, bo nie znałam bliżej innych Majorkańczyków podobnej płci i proveniencji. Podejrzewam też, że takie dymiące testosteronem okazy zamieszkiwały całą kulę ziemską, sama znałam jeszcze dwa podobne egzemplarze, jeden amerykański, z włosami przeszczepionymi równo jak plastikowy trawnik, a drugi w Warszawie, jednakże tak pełen wdzięku, że potrafił sobie zjednać nawet mężów swoich kochanek.

Do Paco dodzwoniłam się dopiero trzy dni później. Był już na Majorce.

– DaRRling, telefon mi się RRozładował, a w Kałuszynie nie mieli ładowaRRki do blackbeRRy.

– A co ci chodziło w tym SMS-ie? „It’s a joke”? Że niby jaki miał być żart?

– Jak to, jaki? Niemiły! Anieśka wcale nie jest blondynką! NabRRałaś
mnie!

KWIECIEŃ

MULATY

IPO. To dziwne słowo na dobre zawładnęło naszym spokojnym konkubinatem ponad rok temu, gdy Marek po raz pierwszy (bo potem odświeżał mi pamięć co wieczór) oznajmił, że nie będzie miał przez najbliższe miesiące czasu na życie towarzyskie, kino i tym podobne luksusy (później okazało się, że seks też jest dobrem luksusowym), gdyż ma „ajpi-oł”. Pomyliłam je wtedy w dobrej wierze z „ajpi-elem”, laserem IPL, którym po zeszłych wakacjach usuwałam z policzków plamy po opalaniu i włosy na łydkach. Nawet szczerze się ucieszyłam, że mam w domu nowoczesnego, lekko metroseksualnego mężczyznę, który robi dla siebie (i dla mnie) coś więcej niż comiesięczny pedikiur u najlepszej manikiurzystki w stolicy, pani Sandacz. Z niecierpliwością oczekiwałam rezultatów laserowej metamorfozy.

Niestety, szybko okazało się, że jedna mała literka robiła dużą różnicę. Marek zamiast upiększać się IPL-em u kosmetologa, brzydł w swoim biurze, gdzie wraz z enigmatycznymi „konsultantami”, pisanymi przez „c” i opłacanymi w twardej walucie, myślał nad IPO, niemającym z laserem nic wspólnego. „IPO” – wygooglowałam tajemnicze literki – „Initial Public Offer”, co, przetłumaczone na język ludzki, oznaczało, że firma Marka wchodzi na giełdę. To podobno najważniejsze wydarzenie w życiu mężczyzny, a przedsiębiorcy w szczególności. Ważniejsze niż spółdzenie syna, posadzenie drzewa czy wybudowanie domu. Marek nie miał

osiągnąć na żadnym z trzech pól, więc z tym większą powagą traktował swojego „ajpi-oła”, usprawiedliwiał nim wieczną nieobecność, nieprzespane noce i zmarnowane bilety na romantyczne weekendy. Mój wyluzowany empatyczny jogin sprzed czterech lat zmutował do postaci miejskiego pracoholika na skraju totalnego wypalenia. Stał się obiektem trosk mojej matki i kpin mojego brata. Tak jak ona bała się o Marka nadwyreżone „ajpi-olem” zdrowie („To już TEN wiek – zawałowy! A jak tam trójglicerydy? Mierzyliście?”), tak Piotruś szydził z jego niedziel w pracy i podkrążonych oczu, choć, muszę przyznać, że czasem wykazywał się swoistą empatią („Nawet go rozumiem, że wszystko jest bardziej pociągające od kobiety, ale dlaczego akurat praca?”).

A Marek im bliżej był magicznej Giełdy, tym bardziej oddalał się od naszego życia. Pomału przyzwyczaiałam się, że wieczory spędzam sama, w domu mówi do mnie wyłącznie telewizor (na Michasia też nie mogłam w tej kwestii zbyt liczyć), że ciągle go nie ma i w weekendy też jest rzadkim gościem, a seks niedługo będziemy uprawiać na Skype w czasie przerwy obiadowej, choć nie wykluczam, że Marek i to, jak już prawie wszystko, wolałby zlecić swojej sekretarce. Przestał nawet dzwonić, zapadał się pod ziemię, jakby wyrabiał nadgodziny na przodku, a jak już się w końcu pojawiał, sił starczało mu co najwyżej na telewizyjne wiadomości albo małą rundkę joggingu po parku. Oczywiście solo. Wyniki testów, które znajdowałam w prasie kobiecej, konsultacje z koleżankami oraz własna intuicja spójnym głosem krzyczały: MAREK MA KOCHANKE!

„Giełda? Jesteś pewna? A może Gouda? Piękne żydowskie imię! Coś długo na nią wchodzi... – zartowała Malwina, gdy jeszcze żyła w naszej hemisferze. – Ale może lepiej sprawdź jego komórkę, jak pójdzie biegać? Będziesz miała pewność...”.

Ale nie kontrolowałam komórki, kieszeni, laptopa i wyciągów z karty kredytowej, nie obwąchiwałam jego koszuli, nie szukałam śladów szminki na kołnierzyku. Naiwnie mu ufałam, aż pewnej środy zadzwonił do mnie

w samym środku świętego dnia pracy. „To źle wróży” – pomyślałam. I nie pomyliłam się.

– Właśnie rozmawiałem z moją żoną...

Zamarłam. Jest nawet gorzej, niż myślałam. Z żoną?

– Z żoną? – Poczułam gorącą falę adrenaliny w całym ciele. – To ty nie jesteś rozwiedziony?

– Z Beatą! Moją BYŁĄ żoną... dzwoniła, bo rozstała się z Charles'em i ma kłopot. Musi wrócić do Polski, prosiła mnie o pomoc. Więc zaproponowałam...

– ...że rozłóżysz przed nią czerwony dywan, tak? Najlepiej na lotnisku! Pod samolotem! Gwiazda się znalazła!

– Spokojnie! Najpierw przysyła same dzieci... obiecałam, że się nimi trochę zajmiemy. Wytlumaczę ci wieczorem. Gdybyś tylko mogła w szkole spytać o miejsca, Bill ma trzynaście lat, a Milly dziesięć...

ZajmieMY? Czyli ja też? I to w sytuacji, kiedy WŁASNEGO dziecka w domu nie mam, bo być może życie z Markiem wywołało u niego traumę? A teraz OBCE dzieci byłej żony obecnego konkubenta mam niańczyć??? I co? Michaś dopiero poczuje się niechciany! I już nigdy do nas nie wróci! Po moim trupie!

– Nie mamy przecież dla nich pokoju... W ogóle ich nie znam... Jak ty sobie to wyobrażasz? Zajmiesz się nimi?

– Razem się nimi zajmiemy! Przecież masz dużo czasu, pracujesz w domu... Porozmawiamy wieczorem, a ty spytaj tymczasem o tę szkołę. Pa!

Och, gdyby telefon zabijał!

Trzęsłam się jak meduza w galarecie i całe przyszłe życie z Markiem przeleciało mi przed oczami jako skok z dziurawym spadochronem. Moja Wielka Romantyczna Miłość miała się skończyć nie tylko Giełdą, ale i dwoma podrzutkami od byłej żony? A co powie Michaś, gdy któregoś dnia wróci do domu, a tam zamiast niego bawią się dwa Mulaty? Nie! Nie

mogłam na to pozwolić.

Malwina!!! Gdzie jesteś???

Zadzwoiłam więc do Ewy, która w takich, i tylko w takich, sytuacjach potrafiła się odnaleźć, ale lepiła akurat pierogi dla swych anorektycznych córek. „Nie mam teraz rąk!” – tłumaczyła, jakby ręce potrzebne były do słuchania, przekonana, że nic nie może być ważniejsze niż wyżywienie rodziny na czas. Zrobiła sobie z tego życiową misję, cel, uświęcający wszystko, a nawet (*ex aequo* z coniedzielną komunią świętą) rodzaj duchowego spełnienia. Szukałam więc pomocy gdzie indziej, ale reszta dyżurnych konsultantów też wcale się nie spisała. Ivanka nie widziała problemu, bo „to tylko diecka”, Altos obiecał pomedytować w mojej intencji, a Rosa, mimo wpływów Żuczka, radziła otworzyć czakrę serca. Nie skorzystałam.

Wieczorem problem dalej istniał, a nawet zaczął narastać wraz z pęczniejącą dumą rycerza mulatskiej krucjaty Marka Szlachetne Serce, który, upojony swą wielkodusznością, prężył się, uśmiechał, chodził po mieszkaniu, robił szkice i zdejmował pomiary. W moim starannie zaprojektowanym gabinecie, gdzie symetria nadawała sens przemyślanej kompozycji duńskich klasyków i plakatów wczesnego Fangora, miało stanąć piętrowe łóżko z Ikei! W brzozonej okleinie!

– Nie mogą spać na kanapie?... Gdzie ja będę pracować? – pytałam zrezygnowana. – Długo zostaną?

– Tyle, ile będzie to konieczne!

– A u babci nie mogą zamieszkać?

– W Kórniku? A gdzie do szkoły pójda? Pod Poznaniem? Nie znają nawet polskiego! U Michasia jest przecież program angielski, prawda?

– Bardzo jesteś spostrzegawczy! Tak, uczy się głównie po angielsku...

– Idealnie! Zaraz zadzwonię do Beaty! – ucieszył się jak głupi.

Do rana nie mogłam zasnąć. Czułam, jak maceruję się we własnym sosie niepokodzenia, rozczarowań i koszmarnych perspektyw. I to akurat teraz,

gdy dobiegałam tej przeklętej czterdziestki. Wszystko było nie tak, a za moimi plecami chrapał w najlepsze zadowolony z siebie idiota i pantoflarz. Uległy, spantoflony pantoflarz! A najgorsze było to, że to wcale nie był MÓJ pantofel! Tylko Beatki!

Ciekawe, co by Malwina na to powiedziała. Jako specjalistka od sprzedaży w amerykańskiej korporacji na pewno wiedziałaby, jak się tych Mulatów pozbyć. „Nie ma towarów niesprzedawalnych, mój job to sprzedać każde gówno” – mówiła i wciąż awansowała na wysokiej drabinie globalnej firmy. Aż do dnia, gdy skończyła trzydzieści dziewięć lat i sześć miesięcy, kiedy to wpadła w niewytłumaczalną panikę, że czterdziestkę będzie świętować sama, ewentualnie z kolegami z pracy i laptopem.

Ja będę świętować z Markiem i wcale mnie to nie pociesza, bo zawsze umawialiśmy się, że przejdziemy ten rubikon razem, trzymając się za ręce, ewentualnie trzymając w rękach szampana magnum i guzik przy rozporku wynajętego chippendalesa. A tu taki numer z tą Keralą!

Gdy zapiał kur (idiotyczny, piejący budzik był oczywiście prezentem od Piotrusia), zaświtała mi w głowie genialna myśl. Skoro nie prawdziwa babcia w Kórniku, to może nieprawdziwa babcia na Truskawieckiej? Niewyspanie i desperacja jako powód oraz ratowanie miru domowego i mojego systemu nerwowego jako cel uświęcało wszelkie znane mi środki, łącznie z wizytą w prywatnym gabinecie doktor weterynarii Krystyny Dziubak-Kalińskiej na Ursynowie.

LECZNICA

Od dziecka organicznie nie znosiłam tego miejsca. Śmierdziało chorymi zwierzętami, środkami dezynfekującymi i dyndającymi wszędzie zielonymi choinkami, które wydzielały leśno-klozetowy aromat, mający przykryć poprzednie dwa. Odkąd pamiętam, czyli od ponad trzydziestu lat, nie zmieniło się tu nic. Matka nie zauważyła jakoś przebudowy systemu i dalej urzędowała w swoim mocno spatynowanym przyczółku PRL-owskiego

dizajnu. Laminowane szafki w kolorze brudnego oranżu, obtłuczone blaty i bure linoleum miałyby pewien oldschoolowy urok, gdyby nie współczesne plakaty reklamujące przeciwkleszczowe obroże, karmy i szampony dla psów. Wieszala je „w czysto dekoracyjnym celu”, bo jakkolwiek handel na terenie przychodni uważała za niegodny jej habilitacji. Niedbale przyklejone plastrem do ściany nie dodawały wnętrzem szlachetności. Wielokrotnie proponowałam jej remont, darmowy projekt, przebudowę, ba, z „rewitalizacji” tego przybytku uczyniłam nawet temat mojej pracy dyplomowej. Nic z tego, skończyło się na teorii. Matka uparcie tkwiła w estetyce lat swojej świetności, czyli późnych siedemdziesiątych, i zupełnie nie zważała na to, że jej klienteli nie stanowiły już biedne staruszki z kundelkami, tylko elegantki z pretensjami i chihuahuaami w specjalnych torbach od Louisa Vuittona. Fakt, nie przychodziły tu dla przyjemności ani na wybielanie zębów pupila – te sprawy załatwiały w drogich klinikach na Mokotowie.

Do mojej matki trafiały już tylko przypadki beznadziejne, niedołączne, trawione rakiem w ostatnim stadium. Dr wet. hab. Krystyna Dziubak-Kalińska była ich ostatnią nadzieją, dla której gotowe były przechodzić na szpilach przez osiedlowe kałuże i czekać godzinami na niewygodnych zydelkach, obciążniętych popękany brązowym skajem. Matka czerpała z tego niesłychaną satysfakcję i raczej skłonna była wydłużać kolejki, niż podwyższać ceny.

Wyjęłam z kieszeni papierową chusteczkę i przez nią nacisnęłam na klamkę. W twarz buchnął mi znajomy smród.

– A zapisana pani była? – syknęła wypindrzona pinda z rozdygotanym papillonem na podołku. Na jego miejscu też bym miała nerwicę.

– Ja tylko po receptę! – Posłałam jej fałszywy uśmiech i szybko wślizgnęłam się przez uchylone drzwi gabinetu, które energicznie zatrzasnęłam za sobą. Krzywe, od lat niemalowane, z wulgarną plastikową klamką, nigdy porządnie się nie domykały.

Przez korytarz przeszedł szum niezadowolenia, idealnie słyszalny przez

cienkie ściany. Będę musiała szeptać, bo suki na pewno podsłuchują.

– Co ty tu robisz? – przywitała mnie zdziwiona matka z za zawalonego papierami biurka. Prędzej spodziewałaby się mojej wizyty w leprozorium, a nawet w kościele.

Usiadłam na zimnym, metalowym stołku i wyłuszczyłam sprawę. Słuchała mnie niby nieuważnie, niby niecierpliwie, bazgrząc odruchowo w dużym kalendarzu, ale wiedziałam, że intensywnie myśli. Zawsze gdy się nad czymś zastanawiała, odruchowo rysowała schematyczne koty bez łap; tylko dwa koła, dwa trójkąci uszu, ogon i wąsy. Kocie bałwany.

– Głupiego wilka i cielęta liżą! A ty jesteś pewna, że to nie są jego dzieci? – spytała w końcu, świdrując mnie ostrym jak skalpel spojrzeniem.

– Przecież nie chodzi o te dzieci, tylko o Michasia! I o mnie!

– No właśnie! Bo coś mi to wygląda na jego dzieci... Lisek kłamczuszek!

– Chytrusek! Lisek był chytruskim! A zresztą to i tak wykluczone! Billy urodził się dwa lata po ich rozwodzie. Poza tym są Mulatami, po ojcu... Marek raczej nie jest Murzynem...

– Jezusmaryjajózef! On ma czarne dzieci?! Dlaczego mi tego wcześniej nie powiedziałaś? – Zdenerwowana domalowała kotu drugi ogon.

– To nie on, mam, to Beata ma dzieci! Z tym swoim afroamerykańskim mężem, Bobem White'em. Nie są zresztą takie bardzo czarne... kawa z mlekiem... – Przepraszam cię, to ze szkoły dzwonią! – Sięgnęłam po komórkę. – Nie, źle się pani dodzwoniła. Michasiem opiekuje się teraz jego ojciec. Proszę do niego dzwonić, ja chwilowo nie jestem odpowiedzialna za to, co robi, bardzo mi przykro!

– Co nabroił? Niedaleko wypada jajko z kurnika...

– Nic. Fałszywy alarm. Znowu ich nabrał, że bomba jest w szkole. Nie mam już siły!

– Nigdy nie ma gwarancji, kto jest ojcem! I z ogiera muł się urodzi! – Zamyśliła się. – Muł... Mulat... To nie może być przypadek!... Dziwne... – Pokręciła głową. – A geny można co drugie pokolenie dziedziczyć. Na przykład taki Puszkini! Był Mulatem po białych rodzicach, a ciemne geny

miał po babci... – W jej oczach, które przez grube szkła okularów wydawały się ogromne, pojawił się błysk samozachwytu.

– Po dziadku raczej! Hannibalu z Afryki! Ale rodzice Marka byli na sto procent biali! Przecież widziałaś zdjęcia!

– Powiem ci, że jak na mój gust, to on się coś się za bardzo angażuje w te dzieci... Taaak, mogą być jego! A mówiłam, trzeba było za mąż wychodzić... dzieci robić... A tak, będziecie mieć w domu obce... A mówiłam, mówiłam! Nie miałybyś teraz tego problemu. Marek zająłby się prawowitym dziedzicem, a nie jakimiś podrzutkami!

– Nie wychodzi nam jakoś z tymi dziećmi... – palnęłam i zaraz pożałowałam tych słów.

– Jak to? – Matka aż zdjęła okulary i przestała rysować czwartego kota.
– To wy się staracie? Dlaczego nic nie powiedziałaś? Kwas foliowy bym ci przepisała! W twoim wieku już ma prawo nie wychodzić... Trzeba się przebadać! Zaplanować, a nie hop siup! Porządnie do tego zabrać!

Przyjrzała mi się uważnie, jakby mnie badała. Już zresztą w pierwszym odruchu chwyciła za dyndające na jej szyi słuchawki.

– Czyli według ciebie, jak porządnie? Wymodlić mam tę ciążę?

– Pozaustrojowo, córeczko! Pozaustrojowo! Już dzwonię do profesora Robaka, on jest w tym najlepszy. Znamy się jeszcze ze studiów... – Popękane naczynka na policzkach zlały się w nierówny rumieniec zawstydzenia.

– Daj spokój! Sprawa chwilowo nieaktualna. Nie chcę teraz żadnych dodatkowych dzieci, trójka, w tym dwa nie moje Mulaty, całkowicie mi wystarczy. *À propos...* Chciałabym cię o coś poprosić. Mam taki pomysł, może to zresztą będzie dobre rozwiązanie i dla was... trochę życia w dużym domu... miłe, opalone istotki biegające po ogrodzie...

Ale ona już grzebała w swoim grubym notesie, szukała numeru Robaka: „Gdzież to ja go mam... Kto by pomyślał, że nam się przyda, ten stary zboreźnik”, mamrotała pod nosem, zadaniowa jak zwykle i obłąkana ideą matrymonialną do tego stopnia, że wszystkie jej ideologiczne przekonania

w obliczu klęski progenerationalnej stały się nieistotne.

– Mamo! Może mogłabyś mi trochę z tymi dziećmi pomóc? Może na przykład...

– To na pewno może poczekać, a twój organizm nie! Masz prawie czterdzieści lat. Dzwon do doktora, każdy dzień się liczy. Tik-tak, tik-tak! – zaskrzeczała jak zardzewiały mechanizm jakiegoś potwornego zegara. – I nie przejmuj się tak tymi Murzynami. Coś czuję, że jednak nie są jego! Wy róbcie swoje!

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Teraz dla niej liczył się tylko doktor Robak oraz przepędzenie widma ciemnoskórych pasierbów za pomocą *in vitro*. Zresztą pinda z papillonem już pukała do drzwi. Pożegnałam się z poczuciem niespełnienia i klęski.

Trudno, będę miała własne dziecko u byłego męża, obce dzieci we własnym domu i wspólny zarodek w próbówce. Malwa, wracaj i ratuj!

OSIEŁ

Mijał prawie tydzień bez Michasia. Może nie pierwszy tydzień bez niego w moim życiu, ale na pewno pierwszy w tak dramatycznych okolicznościach. Robert, tradycyjnie oszczędny w słowach, nie zdawał mi szczegółowych relacji z jego pobytu, Marek jakby nawet z ulgą odetchnął, zajęty planowaniem przyjazdu Mulatów, a Svieta radośnie podśpiewywała przy sprzątanii, zadowolona, że ubyło jej „mnoga raboty”.

A ja tęskniłam, znikałam w oczach i trochę w biodrach, żarta wyrzutami sumienia, przygnębiona czasowym osieroceniem, zbliżającą się czterdziestką i planowanym przyjazdem Mulatów. Matka pilnowała, żeby humor przypadkiem mi się nie poprawił, dzwoniąc do mnie codziennie i wysyłając sprzeczne komunikaty, a to że jestem zbyt porywczą i lekkomyślną matką, która wypuściła z rąk to, co najcenniejsze (dziecko), a to że powinnam starać się jednak o kolejnego potomka, zaczynając od wizyty u doktora Robaka.

Tymczasem jeszcze tego samego wieczora rozległ się chrobot klucza w drzwiach. Michaś wrócił! Nareszcie! Po pięciu długich dniach. Uczucie bezgranicznego szczęścia wypełniło moje serce, prawie jak w dniu jego narodzin przed piętnastu laty, gdy, wciąż połączonego pępowiną, położono mi go na brzuchu.

– Wróciłeś! Jak się cieszę! O, i wszystkie rzeczy od razu przyniosłeś!
Super!

- Nie będę już więcej mieszkał u ojca! – wycedził przez zaciśnięte usta.
- Co się stało??
- Ojciec się bardzo zmienił! I Roksana też! Traktowali mnie jak psa!

Dałaś ciała, że się zgodziłaś, bym u nich zamieszkał!

Serce podeszło mi do gardła. Matka miała rację, to musiało się źle skończyć. Moja wina, że na to pozwoliłam. Zresztą nikt się mnie nie pytał. Eksperyment wychowawczy, któremu Marek tak wiernie kibicował, zakończył się widać tragicznie. Konkubent, jak wiadomo, zawsze psuje relacje między matką a (nie swoim) dzieckiem. „A do tego ta dwudziestotrzyletnia Roksana z Wilkołasek!” – usłyszałam w głowie krakanie doktor Dziubak-Kalińskiej. Chyba wyjątkowo miała rację. Natychmiast zadzwoniłam do Roberta.

– Co mu zrobiliście? Ty i ta twoja panna? Mów!

– Nic! Nic się nie stało! Przysięgam ci. Po prostu kazaliśmy mu po pięciu dniach posprzątać pokój. W końcu, jeśli chce z nami mieszkać, to chyba powinien ogarnąć swój bałagan. Wtedy się obraził i pojechał do ciebie. Co miałem zrobić?

Następne trzy dni przejdą jako czas glorii i chwały do historii mojego macierzyństwa. Michaś wstawał rano wyłącznie za pomocą budzika, którego do tej pory jakoś nie słyszał, wygładzał swoje łóżko, by mogło przy odrobinie dobrej woli uchodzić za pościelone, a śniadanie zjadał bez komentarzy i rozkładania kanapek na części pierwsze. Ze szkoły wracał prosto do domu, z pominięciem galerii handlowych, raz nawet odpowiedział na moje pytanie o lekcje oraz wydawał się je odrabiać, a wieczorem, już o jedenastej, leżał w łóżku i czytał (co prawda, komiksy, ale dobre i to). Nocami próbowałam omówić z Markiem te niespodziewane, ale jakże radosne przemiany, na które czekałam od pojawienia się pierwszego pryszcza na Michasiowej brodzie. Ale Marek kończył dyskusję suchym stwierdzeniem, że „młody wreszcie zachowuje się po prostu przyzwoicie” i że to wcale nic nadzwyczajnego nie jest, tylko ja mam

zaburzoną percepcję. Matka też nie podzielała mojego entuzjazmu i mówiła, że „jedna przepiórka wiosny nie czyni”. Ja jednak patrzyłam w mego syna jak w obrazek, zachwycona wszystkim, co robił i mówił. Zastanawiałam się już nad podwyżką kieszonkowego albo prezentem, o którym od dawna marzyłam. W nocy zakradałam się do jego pokoju i patrzyłam, jak słodko mój aniołek śpi. Byłam przeszczęśliwa. Do czasu.

Czwartego dnia zadzwonili ze szkoły, że mam po niego natychmiast przyjechać, i w tym momencie wszystko wróciło do normy. Michasiowi znudziło się bycie grzecznym chłopcem, więc położył się plackiem na ulicy i udawał martwego. Dyrektor z wuefistą musieli go wtargać do szatni, bo do końca i uparcie twierdził, że nieboszczyk sam nie chodzi. Zadzwoniłam natychmiast do Marka, ale tylko spytał, czy znów ma im zasponsorować rzutnik, a matka syknęła: „Mówiłam! Musisz coś z NIM zrobić!”. Tylko co? Oddać do poprawczaka? Kieszonkowego i tak już właściwie nie dostawał i jedynie regulacja dostępu do Internetu służyła mi za narzędzie dyscyplinujące. Ale i na to znalazł sposób, bo nastawiał budzik na trzecią rano i grał do szóstej w najlepsze. Wszystkie wizyty u psychologów, w tym jedna u szkolnego, skończyły się fiaskiem, bo Michaś potrafił konsekwentnie nie powiedzieć ani słowa przez całe sześćdziesiąt minut, za które ja jednak musiałam zapłacić. „Nie będę psycholowi mówił o własnym życiu, to moja prywatna sprawa”. Wzruszał ramionami i wybiegał z kolejnego gabinetu. Kurczę, co z nim było nie tak? Za dużo wina piłam w ciąży? Horrorzy oglądałam? *Rosemary's baby*? Niedotlenienie w czasie porodu miał? Z wózka wypadł? Co z nim, do diabła, jest?

– Martwy jestem, nie widzisz! Po co tak krzyczysz? – zapytał spokojnie spod sterty worków z butami i zrzuconych na pokrytą szarym linoleum podłogę kurtek.

DEPRESJA

Tymczasem przemarzłe klepisko pod naszymi oknami, zwane przez

administrację budynku „ogrodem”, nieśmiało zazieleniło się trawką rzadką i cienką jak zarost licealisty. Ukraińskie nianie wystawiały wózki i swoje jaskrawo umalowane twarze na kwietniowe słońce, a te mniej leniwe pokazywały dzieciom wiosnę, czyli wątle listeczki na zdrewniałych krzakach. Babcie już chyba przestały istnieć na świecie, bo nigdy tu żadnej nie widziałam, a przecież widok z ostatniego piętra był wystarczająco panoramiczny, by dojrzeć wszystko. Wychodziłam na taras tylko na chwilę, okutana w gruby wełniany szal, i zaraz marzły mi dłonie, a zimny wiatr wdzierał się pod ubranie. Puste donice czekały na zimną Zośkę i nowe pelargonie, a jedyny bukszpan, który cudem przetrwał zimę, jak koślawy karzeł był marną parodią nowej pory roku.

Meteorologicznie rzecz biorąc, dalej żyłam w dwu światach, które nieustannie porównywałam i wartościowałam w niewidzialnych tabelkach. Patrzyłam na szaroburość za oknem i myślałam o palmach, klapkach i bikini na Majorce. Codziennie sprawdzałam prognozę pogody. Warszawa – dwa stopnie, Palma – dwadzieścia, Warszawa – deszcz, Palma – słońce, Warszawa – gołoledź, Palma – wiaterek od morza. Majorka zawsze wygrywała. Na spacerach, bo tęskniłam za morską bryzą, na targu, bo tamten był bardziej kolorowy, w restauracji, bo co to za ryby w tej Polsce, letnimi wieczorami, bo tam komary nie gryzły. Nawet podczas zmiany opon na zimowe, bo tam było to zbędne. Nocami przeglądałam oferty lotnicze, wybierałam wakacyjne mieszkania z katalogu, robiłam rezerwacje hoteli, by na drugi dzień je odwołać. Rozmawiałam godzinami z Altosem, wymieniałam SMS-y z Ivanką i zdjęcia dzieci z Rosą.

Moje majorkańskie tęsknoty denerwowały wszystkich. Marka zżerała zazdrość, Michaś wolałby zapomnieć o czasach, gdy jeszcze był zenująco mały, a matka bała się o moją świetlaną przyszłość. A ja przecież *volens volens* już prowadziłam wymodlone przez nią, stateczne życie. Stateczne? Powiedziałabym raczej „siadeczne”. Rano siadałam z Michasiem przy kuchennym stole, potem w samochodzie, na kawie z klientem, w biurze przy komputerze i z Markiem przed telewizorem. Mój środek ciężkości

obniżał się coraz bardziej, już prawie szorowałam tyłkiem po ziemi, aż zrobiłam się umyślowo przysadzista, nieruchawa i zastygła w spokojnej rutynie. Dusiałam się.

„Docień, co masz!” – upominała matka. Miałam przecież wszystko, a nawet więcej. Na dowód przytaczała liczne przykłady nieszczęśliwych, bo samotnych kobiet, o zgrozo, bezdzietnych lub ledwo wiążących koniec z końcem. Gdy i to nie działało, przechodziła do arsenału z cięższą artylerią – dramaty życiowe, śmiertelne choroby, upośledzenia i tragiczne wypadki. Schodziła przy tym, jak bombowiec, nisko, aż do poziomu magła, brukowców i moherowego kółeczka. Radary miała czułe, nastawione na nas 24h i gdy tylko odebrała najśłabszy sygnał mojej rebelii, nadlatywała z groźnym warkotem stróża mieszczańskiego porządku. Zrzucała kilka bomb, precyzyjnie wycelowanych we mnie, oszczędzając Marka, jakby miał wymalowany na czole znak Czerwonego Krzyża. Czasem dostało się i Michasiowi, jeśli wyczuła w nim jakąś dywersję, niebezpieczną dla Szczęścia Nadrzędnego. „Mareczek może tego nie wytrzymać! Pamiętaj, że to nie jego syn, a mężczyźni tak chętnie sobie cudzych dzieci na głowę nie biorą! Niech się Michaś miarkuje! A może u nas zamieszka? Lepiej, żeby ci związku nie niszczył”... – krakała, a ja rozdziawiałam usta jak zdziwiony pisklak, bo Mulaty to przecież chciał przygarnąć. „*À propos*, zdajesz sobie sprawę, że to OSTATNI moment? Dzwoniłaś do doktora Robaka? Teraz albo nigdy! Na co ty czekasz? I z Markiem też nie przeciągaj struny! Chce się teraz zenić, to kuj żelazo! Kto cię będzie chciał po CZTERDZIEŚTCE? Zobacz, ile naokoło młodych, chętnych panien, wystarczy kiwnąć palcem, a one od razu w ciążę zachodzą. A ty za chwilę zrobisz się za STARA. Przemyśl to sobie dobrze!”. Zmobilizowała też moje koleżanki, które nagle zaczęły mi mówić wprost to, co podobno dawno już myślały. Że to dziwne i podejrzanе, że taki fajny i przystojny czterdziestoparolatek zadaje się z tak starą i marudną trzydziestodzieściolatką, która za chwilę będzie ryczącą czterdziestką. TAKI facet mógłby przecież spokojnie wyrwać dwudziestoletnią Miss Czegokolwiek z licencjatem Przyklejania Tipsów

i nogami do nieba, a ja oferowałam w najlepszym razie niemodny dyplom ASP oraz nogi z początkującym haluksem. No, a mój rogaty charakter! To dopiero krzyż pański. Młoda laska jest zawsze miła, zadowolona, zgadza się na wszystko i mało mówi, bo usta ma ciągle pełne, wiadomo czego. W końcu zaczęłam im wierzyć i zrozumiałam, że koniec prosperity może być całkiem blisko.

Wszystko to, czyli zbliżająca się starość, niekończąca się zima, nierokujący syn, wyalienowany narzeczony, praca niedająca przyjemności i laurów oraz toksyczne środowisko (w tym pojęciu mieściła się też matka) mogły spowodować tylko jedno. Depresję! I nie wykluczam, że od razu dwubiegunową.

Tak przynajmniej wynikało ze znalezionej w Internecie listy objawów. Zgadzało się co do joty.

1. Nagłe spadki energii – tak, ręce opadały mi już przy budzeniu Michasia.
2. Zaburzenia snu – tak, szczególnie gdy Marek chrapał.
3. Szybka, niezrozumiała mowa – tak, ojciec skarżył się, że trudno mnie zrozumieć (dopiero później okazało się, że lekarz przepisał mu aparat słuchowy, którego wstydził się zakładać).
4. Złudzenia i omamy – tak, myliłam matkę z kraczącą wroną i ciągle słyszałam jej głos.
5. Niekontrolowane impulsy – tak, w sklepach obuwniczych (od zawsze).
6. Lekkomysłne działania – tak, kłótnie z Markiem, facetem idealnym.
7. Wybujale mniemanie na temat swoich kompetencji – tak, Michaś to chętnie przy każdej okazji potwierdzał.
8. Gonitwa myśli – tak, wciąż uciekały na Majorkę.
9. Wspaniałe wizje życiowe – tak, tam, dokąd uciekły myśli (jak wyżej).
10. Zaburzenia prawidłowego osądu sytuacji – tak, co ja tu w ogóle robię?

Wyczytałam też, że terapia farmakologiczna jest tylko leczeniem objawów, a dodatkowo zmienia osobowość i zabija libido. Tego by jeszcze brakowało! Nasze życie seksualne i bez antydepresantów przypominało

leguminę dla wrzodowca. Gładko, szybko i łatwostrawnie. I niedużo! Rutynowe numerki o letniej temperaturze, z częstotliwością poniżej średniej krajowej. W tej sytuacji inhibitory MAO zupełnie odpadały.

„Ja nic nie chcę mówić, ale ci powiem, że mnie na depresję dobrze robi msza święta... uspokaja... wycisza... Możesz też upiec murzynka” – nieśmiało proponowała Ewa, gdy zwierzyłam się jej z autodiagnozy. Murzynka akurat nie lubię, ale mulata usmażyłabym chętnie. A Malwina? Może powiedziałyby, że zgubiłam własne „ja” i stąd ta depresja.

Nie miałam czasu, by szukać go w Kerali. Musiałam zadowolić się polecaną na forum czarnotowidze.pl metodą Małych Kroków, czyli wyznaczaniem sobie konkretnych zadań i odczuwaniem budującej satysfakcji po wykonaniu każdego, nawet najmniejszego z nich. Zaczęłam samoleczenie systematycznie, punkt po punkcie, zaczynając od „świadomego przeżywania głębokiej radości”, na początek podczas smażenia jaj na śniadanie.

– Michasiu, zobacz, jaka piękna jajeczniczka! Równiutka, elegancka jak u Ritza... Pomidorki czerwoniutkie takie, malutkie, daktylowe...

– Nie jem z pomidorami! Zapomniałaś?

– No to usmażymy na bekonie... Co ja mówię, na prawdziwej pancetcie dla koneserów, takich jak ty! Mmmm... jak pachnie! Czujesz? Jak cudownie skwierczy! Słyszysz? A teraz jajka, od szczęśliwych kur, zerówki. Żółciutki, kukurydzą bez GMO karmione. Mieszamy... Jak ślicznie się ścinają, zobacz! Ach, zjemy sobie z przyjemnością! Prawda?

– Matka, co ci jest? Najarałaś się czegoś? Idiotę ze mnie robisz, czy co? – warknął synecek i z niechęcią podziubał widelcem w wypieszczonym daniu.

Gdy wyszedł, łyknęłam deprim, popiłam latte na podwójnym espresso i postanowiłam walczyć dalej. Zadzwoiłam do Marka.

– Masz coś pilnego, bo akurat jestem zajęty? – zapytał zdziwiony, że śmiałam zadzwonić do pracy przed dwudziestą pierwszą.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś się nie martwił, bo myślę, że jakoś

damy radę z tymi dziećmi Beaty... – Duma i poczucie własnej wartości z powodu wzniesienia się nad własne lęki i egoizm rozpierały mnie przy tym, że hej. Od razu poczułam, że zdrowieję („Healthy self esteem may cure depression” – zapewniali na amerykańskiej stronie!).

– Przecież jeszcze nie wiadomo, czy w ogóle przyjadą... Po co to w ogóle teraz mówisz?

– Żebyś wiedział, że naprawdę nie widzę problemu! Może nawet fajnie będzie z nimi? A wiesz, że dziś w nocy prawie nie chrapałeś, całkiem dobrze spałam. Kocham cię! Życie jest piękne!

– Przecież ja nigdy nie chrapię! Ty za to pochrapujesz, moja starowinko kochana...

STAROWINKO! Jak ja tego nienawidzę! I jeszcze pochrapuję?! Świnia! Jak facet, kochanek, ewentualnie przyszły mąż, może TAK się odzywać do kochanki, ewentualnie Kobiety Swojego Życia?! Ze STAROWINKĄ to sobie można o hemoroidach rozmawiać, a nie o upojnych nocach i planach na przyszłość! Wezmę jeszcze jedną tabletkę. Albo dwie.

Nie zdążyłam się dobrze rozłączyć, gdy w słuchawce odezwała się matka, jakby na mnie tylko czyhała na łączach. Na wszelki wypadek nie odkładałam fiołki z tabletkami.

– Twoje urodziny się zbliżają, córeńko. Postanowiłam, że dostaniesz futro po babci. To prawdziwe sobole! Przywiozła je z orbisowskiej wycieczki do Związku Radzieckiego, są warte majątek!

– Po co mi futro w lecie, i w ogóle? – Omal nie zadławiłam się deprimem.

– To jest klasyk, starczy ci do końca życia. W twoim wieku powinnaś zacząć ubierać się poważniej, a nie nosić te młodzieżowe puchówki jak licealistka! Pewnych rzeczy JUŻ ci po prostu nie wypada...

Już? Czyli kiedy? Po czterdziestce? Za trzy tygodnie życie się skończy, a zaczniesz jakiś nieokreślony byt w radzieckim futrze śmierdzącym naftaliną? Łyknęłam jeszcze dwie dawki, aż poczułam się na tyle otępiała, że przejściowo względnie szczęśliwa. Dopóki nie przypomniałam sobie tych

wszystkich kobiet, które ból nadchodzącej starości leczyły środkami odurzającymi, nasennymi i wódką. Większość z nich nawet wcześniej ode mnie, na przykład Marilyn Monroe miała tylko trzydzieści sześć lat (o, jakbym chciała mieć teraz trzydzieści sześć lat!). MM! To są referencje! Znajdą mnie piękną i gołą (w łóżku będę nosić jedynie Chanel nr 5, choć wolę mojego Gucciego), no i oczywiście martwą. Nie, tego nie mogę zrobić Michasiowi! Precz z deprimem!

Ostatnim gwoździem do trumny młodości okazał się jakiś bezczelny pismak z błyszczącego magazynu o dizajnerskich wnętrzach. Przysłał mi do autoryzacji wywiad, jaki poczynił ze specjalistką od iberyjskiego trendu w architekturze, czyli ze mną. Już pierwsze zdanie tych plugawych wynurzeń doprowadziło mnie to hiperwentylacji i natychmiastowej interwencji w redakcji „Dom & Design”. Artykuł zaczynał się bowiem od ostrych jak brzytwa i raniących jak maczeta słów: „Magdalena Kalińska-Blum, przedstawicielka średniego pokolenia projektantów...”. Dalej nie zdążyłam przeczytać, bo zamarłam. ŚREDNIEGO pokolenia? Że niby ja? Ja??? Na co ten niewypierzony dupek sobie pozwala?

– Średnie pokolenie to chyba są ludzie w średnim wieku, prawda, panie Tomku? Jakoś się w tym... nie odnajduję.... – Nie potrafiłam ukryć zdenerwowania, co denerwowało mnie jeszcze bardziej. Mam się prosić tego szczeniaka o przyzwoite traktowanie? O nierobienie ze mnie staruszki?

– Przepraszam, ale znalazłem w necie informację, że w tym roku kończy pani czterdzieści lat...

– I dlatego mam być średnim pokoleniem? Tak pan uważa? To chyba przesada! Bo według mnie średnie pokolenie to pięćdziesiąt plus! – krzyczałam (faza maniakalna depresji dwubiegunowej?).

– Skoro pani tak zależy, to zmienię... ale co mam w takim razie napisać? Nie wiem! Pisz pan, co chcesz, ale nie, u licha, że jestem kobietą w ŚREDNIM wieku. Nie! Byle nie to! Tylko co? Zostawiłam gryziopórka

z problemem, dając jeszcze trochę wyrazu mojemu niezadowoleniu, napomknęłam o znajomości z naczelną i postanowiłam na wszelki wypadek nie kupować w przyszłości tego pisma, a może i w ogóle żadnego, skoro praktykują tam szykanowanie kobiet starsz... hm... kobiet. Tak, po prostu kobiet.

Następnego dnia czym prędzej pobiegłam na botoks.

MAJ

BOTOKS

Czterdzieści osiem godzin później jad kielbasiany, niczym czarodziejska różdżka, wygładził moje oblicze. Dziesięć tysięcy kilometrów dalej Beata zarzuciła pomysł rozwodu (i co tym idzie, przysyłania nam Murzyniątek), a nad Polską przeszedł ciepły front atmosferyczny, przynosząc w końcu prawdziwie wiosenną pogodę. Bez widma zmarszczek i Mulatów, świat, szczególnie ten ostatnio zazieleniony i kolorowo kwitnący, wydał mi się znacznie ładniejszy. Depresja jakby nieco odpuściła, popołudnia na słonecznym tarasie w centrum miasta stały się namiastką Majorki, a przyniesione z piwnicy sandały i klapki zapowiadały rychłe nadejście mojej ulubionej pory roku – możliwie gorącego lata. Dni stały się dłuższe, dzięki czemu Michaś z mniejszym oporem wstawał do szkoły, a Markowi zdarzało się pojawiać w domu przed zmierzchem. No i w pracy zabłysło światełko w tunelu w postaci inwestora z dużymi pieniędzmi i jeszcze większym zaufaniem do moich pomysłów. W związku z tym mogłam ograniczyć konsumpcję deprimu (co, z pewnym rozczarowaniem, zauważyła pani w aptece) i wszystko byłoby cudownie, gdyby nie wiszący nade mną jak miecz Damoklesa, nieubłagalnie nadchodzący, D-Day, czyli po polsku Dzień Urodzin.

Staralam się o nim nie myśleć, chować go do szafy, zamiatać pod dywan, udawać, że taka data nie istnieje, a jeśli już, to wcale mnie nie dotyczy, i pewnie udałoby mi się to całkiem nieźle, gdyby nie moja rodzina, jak

zwykle w sytuacjach kryzysowych niezawodna.

Piotruś, który rzadko wysuwał nos ze swego homogenderowego świata, teraz nękał mnie częstymi odwiedzinami, niemile podekscytowany wypatrywał pierwszych siwych włosów wśród moich blond pasemek i fachowo doradzał najlepsze kremy liftingujące. Na lekko opadające powieki patrzył ze wstrętem i namawiał do zrobienia sobie nowych cycków lub chociaż podciągnięcia starych. Kobiece ciało nigdy mu się specjalnie nie podobało, a takie czterdziestoletnie tym bardziej.

Michaś z kolei co chwila upewniał się, czy to prawda, że niedługo skończę AŻ TYLE lat, jakby lekko zdziwiony, że ludzie tak długo żyją. „Będiesz strasznie stara! Ojciec uważa, że kobiety po trzydziestce są do niczego. Roxy ma dwadzieścia trzy!”. Biedaczka, nic, tylko współczuć takiego wieku! Za kilka lat zostanie zutylizowana lub przejdzie w mniej zamożne ręce.

Matka wzdychała tembrem męczennika, że nie wie, jakim cudem na torcie zmieści się TYLE świeczek, chyba będzie musiała zamówić w cukierni jakiś większy rozmiar. A przecież już dawno z nimi ustaliłam, że definitywnie nie życzę sobie ani obiadków rodzinnych, ani hucznej imprezy, ani żadnej innej formy celebrowania tej daty. Nie życzę sobie niczego – po prostu pójdę spać, a następnego dnia obudzę się i będę udawać, że nic się nie stało. Telefon wyłączę, maili nie przeczytam, gości nie zaproszę. Po prostu. Nie będę przecież dawać okazji do niezasłużonej satysfakcji trzydziestoparoletnim siksom, które miały szczęście urodzić się kilka miesięcy czy lat po mnie. O nie!

Jednak najokrutniejsze pomysły, ku memu zdziwieniu, miał Marek. A to straszył mnie imprezą niespodzianką, na którą bez mojej wiedzy zaprosi wszystkie te młodsze suki, rodzinę, sąsiadów oraz kolegów z pracy, chyba tylko po to, by już naprawdę wszyscy się dowiedzieli, ile mam lat. I niby w jakim celu, skoro (szczególnie po botoksie) wyglądałam na pięć do siedmiu mniej? Albo groził, że zrobi o mnie filmik okolicznościowy (o wymownym tytule) *Najlepsze lata Magdy K.*, co w moich uszach

brzmiało gorzej niż epitafium. Albo, i to było najpotworniejsze – zaśpiewa publicznie i *a cappella* jakąś piosenkę, niby na moją cześć, a wtedy ja będę musiała wstydzić się za nas oboje.

Nawet Ivanka, młodsza ode mnie raptem o rok, okazała się świnią, dzwoniąc kilka dni za wcześnie z urodzinowymi życzeniami. Zupełnie jakby nie mogła się ich doczekać!

– Mila moja, wszechno najlepszy k narozeninam! – zaćwierkała do telefonu, nagle przebudzona tym złośliwym pomysłem z długiego letargu. Od czasu marcowego, i jak dotąd definitywnego, rozstania z Paco nie brzmiała tak wesoło jak dziś. Nie dziwię się, że moje nieszczęście dodało jej skrzydeł, podobno nic tak nie poprawia humoru jak urodziny starszej przyjaciółki.

– To dopiero za trzy dni... pośpieszyłaś się.

– To nevadi! I nie martw się, przecież masz chlapa, możesz już być stara!

I to mówi seksbomba, która chce być pochowana w gorsecie, szpilkach i sztucznych rzęsach? Tak przynajmniej kiedyś twierdziła.

Zaczynałam czuć się osaczona z każdej strony, ba, pokrzywdzona i do żywego dotknięta. Nagle, jak na komendę, wszyscy bawili się moim kosztem, pastwili się nade mną, dręczyli z powodu, na który przecież nie miałam żadnego wpływu. I to moi najbliżsi! No cóż, największe patologie rodzą się we własnej rodzinie.

Czy nie mogliby zamilknąć, udawać, że nic się nie dzieje, nie ma żadnych urodzin, i już do końca świata myśleć (i mówić) o mnie jako o trzydziestoparolatce? To właśnie rozumiem pod hasłem starzenia się z godnością – pewne sprawy należy godnie przemilczeć.

A Marek? Marek mógłby mi wręczyć voucher na tygodniowy pobyt w jakichś włoskich Termini di Coştam, z komentarzem, żebym sobie „trochę odpoczęła, choć wcale tego nie potrzebuję, bo super wyglądam”. Ale nie! Woli zadręczyć mnie imprezą z młodymi laskami! Łajdak!

I wtedy mnie oświeciło. Przypomniałam sobie słowa mojej śp. babci od radzieckiego futra: „Jeśli chcesz czegoś od mężczyzny, to sobie weź, bo on

sam nigdy niczego nie wymyśli”. Może nie od razu Spa w Italii, ale czemu nie wezmę sobie kilku wolnych dni na Majorce w prezencie urodzinowym? Wystarczy kupić bilet, jedno kliknięcie...

Ivanka i tak dokładnie wiedziała, ile mam lat, Rosa była pół dekady starsza, a Altos liczył wyłącznie lata świetlne. Tam byłam bezpieczna.

PRAWIE KONIEC

Czasu było już niewiele, jakieś trzydzieści sześć godzin, pobiegłam więc od razu do piwnicy po walizkę, a na łóżku rozłożyłam ubrania, które zamierzałam zabrać, z tym że wciąż nie mogłam się zdecydować, czy powinny to być stare dresy do opłakiwania jubileuszu z Ivanką przy winku na tarasie, czy jednak jakaś sukienka i szpilki na szaloną noc w dyskotecę. To mi uprzytomniło, że szalonej nocy (ani żadnej innej) na dyskotecę od co najmniej czterech lat nie przeżyłam, co niby było dowodem na ustabilizowane życie uczuciowe. Ale co to za życie? Może gdybym nadal regularnie hasała po klubach, nie odczuwałabym tak wgryzającego się we mnie zęba czasu? Dłużej zachowałabym młodość, *joie de vivre* i w ogóle wszystko, co najlepsze?

O Rzeczach Ważnych lubiłam myśleć w wannie, bo kąpiel najlepiej oczyszcza mózg z mętnych myśli. Zanurzyłam się w pianie aż po szyję, tylko stopy z bordowymi paznokciami wystawały nad powierzchnię pachnącej bułgarskimi różami wody. Stopy są OK. Starzeją się najwolniej, właściwie niewiele się przez lata zmieniają, nie tyją, nie mają zmarszczek ani cellulitis. Bardzo je za to lubię, chociaż przeżyte dekady i zrobione kilometry, niestety, zrobiły swoje (statystycznie rzecz biorąc, okrążyłam już półtora raza kulę ziemską, z czego dwie trzecie trasy na szpilkach) – duże palce zaczęły jakby pokazywać dwie przeciwległe strony świata. Pokarało mnie zupełnie niezasłużenie, bo pół zimy przechodziłam w rozciapciany,

wyścielanych mięciutkim futerkiem, zamszowych UGGS-ach.

– Kochanie, to miała być niespodzianka! – głos Marka, który nagle wyrósł w drzwiach łazienki, wyrwał mnie z podologicznych dywagacji. – Domyśliłaś się, czy się wygadałem?

– A co ty robisz tak wcześnie w domu? Dopiero jest ósma! Jaka niespodzianka? Będziesz jednak, o zgrozo, śpiewał? Pod oknem?

– Zabieram cię rano do Paryża! Na urodziny!

– Co? Do Paryża? Ale dlaczego tam? – Poczułam jak w letniej kąpieli robi mi się gorąco.

– Przecież ciągle narzekasz, że nie jestem romantyczny... więc się postarałem! Paryż to miasto zakochanych, zdaje się?... Dlaczego masz taką minę? A ty dokąd się wybierałaś? – Pokazał na stos ubrań na łóżku.

– Donikąd. Pakuję stare rzeczy do oddania... – skłamałam i dałam nura pod wodę. Odliczyłam ledwie do trzydziestu, a już musiałam się wynurzyć z powodu braku tlenu w wannie. Marek, niestety, wciąż był w łazience i patrzył na mnie ze zdumieniem.

– Słaby wynik, co? – spytałam zmieszana.

– Gdybyś nabrała przedtem powietrza, byłoby lepiej... Mam coś dla ciebie! – Podał mi cienką kartkę faksowego papieru. – Malwina przysłała do biura. A upierałaś się, że nikt już nie używa faksu!

Najwyraźniej w Ośrodku Odnajdywania Samego Siebie w południowych Indiach faks wciąż był w codziennym użytku. Sięgnęłam po okulary i jeszcze w wannie zaczęłam delectować się lekturą tej pierwszej od trzech miesięcy wiadomości od Malwiny.

Dear Mother,

I hope you are feeling better now...

Co??? To do mnie? Pogięło ją? Matka Malwiny nie żyje od dwóch lat! Czyżby Malwa odnalazła się w Kerali jako moja córka? O Boże! Ciekawe, co sobie Marek pomyślał? No, ma czarno na białym, że to wariatka.

Przeleciałam wzrokiem po jej bazgrołach. Pisała po angielsku do umierającej matki, z każdą linijką mniej wyraźnie, a w połowie strony

zorientowałam się, że płynnie przeszła na polski...

Kochana, przepraszam Cię za ten początek, nie wolno nam się kontaktować ze światem, ubłagałam ich, że muszę wysłać list do chorej matki i uwierzyli!!! Ha, co za ośły. Ale poza tym robią wszystko wspaniale, pomatu odnajduję sens tego wszystkiego, mam na myśli cel mojego istnienia w tym pieprzonym świecie i jeszcze bardziej pieprzonej firmie. Rzucam pracę! Już postanowiłam. Ale najpierw jadę z Ganeshem do Nepalu. A, Ty w ogóle nie wiesz, kto to jest! Ganesh ma (nieczytelne) lat, pracuje w Ośrodku, ale na lato wraca do Katmandu. Poznam jego rodzinę, ma (nieczytelne) braci i (nieczytelne) siostr oraz (nieczytelne)żony. Ale to teraz nieważne! Ważne, że jutro masz (nieczytelne) urodziny (albo pojutrze, nie umiem przeliczyć tego czasu) i z tej okazji, kochana, bardzo mocno (nieczytelne) oraz (nieczytelne, nieczytelne, nieczytelne) Marka (nieczytelne) (Nieczytelne, nieczytelne) superkochanka koniecznie (nieczytelne, nieczytelne) z całego serca.

Twoja M.

39 LAT I 364 DNI

„La cabin business”, szampan w samolocie, limuzyna z lotniska i apartament w luksusowym hotelu Bristol na rue du Faubourg Saint Honoré, świętej ulicy wszystkich elegantek świata. Ile w sumie męskiej fantazji trzeba (niewiele!), bym mogła poczuć się jak królowa, gwiazda filmowa, Paris Hilton i Kobieta Jego Życia w jednym! Muszę przyznać, Marek naprawdę się postarał!

Dojechaliśmy do hotelu prosto na lunch, przygotowany dla nas na zielonym tarasie, dyskretnie, z dala od innych gości. W tym czasie butler zaniósł nasze bagaże do apartamentu (podobno z balkonem wychodzącym na wieżę Eiffła), rozpakował walizki, a świeżo odprasowane ubrania powiesił w garderobie. Żałowałam, że nie wzięłam pudła z kapeluszami, bo w takim *ambience* wreszcie znalazłoby się na właściwym miejscu.

Na nakrytym białym obrusem stole czekał na mnie napięknieszy

bukiet róż, jaki można sobie wyobrazić, bladych herbacianych pąków jak z holenderskiego obrazu. Kiedyś widziałam podobny w oknie londyńskiej (*very posh*) kwiaciarni za kosmiczne dwieście pięćdziesiąt funtów!

Przysunęłam bukiet do siebie i zanurzyłam w nim twarz. Pachniał mocniej niż mój bułgarski olejek do kąpieli. Uśmiechnęłam się do Marka, a ten skinął głową jak rasowy amant włoskiego kina, jakby codziennie robił takie niespodzianki. Ach, żeby robił je chociaż raz na kwartał!... Czy potrzebne są do tego nieszczęścia kalibru okrągłych urodzin? Bo jednak wyjątkowy bukiet to zupełnie co innego niż automatyczna cotygodniowa dostawa do domu JEGO ulubionych kalii z kwiaciarni koło cmentarza na Bródnie. Gdy kurier przyniósł je po raz pierwszy, szczerze się ucieszyłam, bo kojarzyły mi się z Tamarą Łempicką, którą uwielbiam. Ale po pół roku zrobiły się nudne, potem już tylko mnie irytowały, aż w końcu Marek odwołał zamówienie.

Tymczasem na stole wylądowały najlepsze pod słońcem ostrygi z Ancelin, promieniście ułożone w pełnym lodu i cytryn platerze, oraz kolejna już dziś butelka szampana. Wyglądało na to, że ostatnie godziny jako trzydziestodzieściolatka spędzę pijana, a szkoda, bo okoliczności były szlachetne i luksusowe. Potem jedliśmy jeszcze carpaccio z czerwonego angusa, a na deser miseczkę zwykłych poziomek za czterdzieści euro, czego trochę żałowałam, bo mogłabym te pieniądze lepiej wydać w pobliskiej cukierni Dalloyau na słynny migdałowy tort Opera. Od czasu założenia Amapoli wszędzie szukałam nowych smaków i inspiracji, a próbowanie klasyków w znanych miejscach weszło mi w krew prawie jak kupowanie butów. Nie żałowałam na to ani czasu, ani pieniędzy, ani należącego już do przeszłości rozmiaru trzydzieści sześć.

Marek w najdrobniejszych szczegółach przygotował urodzinową wycieczkę, być może nawet konsultował projekt ze specami pokroju Piotrusia lub Altosa, gdyż wszystko było zaplanowane dokładnie tak, jak kobiety (i geje) lubią najbardziej. Przy deserze paryski program osiągnął punkt kulminacyjny, absolutny *high light* dnia, gdy Marek wypowiedział

słowa, które każda długoterminowa (w przeciwieństwie do świeżo i romantycznie zakochanej) partnerka chciałaby usłyszeć.

– Ja się teraz zdrzemnę, a ty poszukaj czegoś ładnego. Po co mam strzelać w ciemno z prezentem? Jeśli mogę tylko coś zasugerować, to może tym razem nie buty... Masz już ich pewnie kilkaset?...

Chyba policzył buty na sztuki, bo nie sędzę, żebym miała więcej niż sto par. No może...

Teoretycznie mogłabym się teraz obrazić za takie postawienie sprawy, ale praktycznie był to jedyny pewny sposób na prezent bez pudła. Mogłoby się na przykład znów skończyć na zabytkowych weneckich kolczykach, choć uszy mam nieprzekłute, co każdy, wyłączając Marka, widzi.

Poza tym on nie cierpi zakupów, i ja to szanuję, bo nie ma nic bardziej wkurzającego niż demonstracyjnie znudzony facet, pałętający się między wieszakami, słabnący już w drugim sklepie i irytującymi fochami odciągający uwagę sprzedawczyni od jej psiego obowiązku przyniesienia mi czterdziestej piątej pary z zaplecza.

Wypiłam duszkiem cappuccino, zagryzłam różowym bezikiem, wsunęłam Marka platynową kartę do torebki i pognałam do rajaju, który zaczynał się za drzwiami hotelu, a kończył na placu Vendôme. Rue Faubourg St. Honoré jest dość długą ulicą, oceniam ją na jakieś dwa kilometry fazy plateau z gwarantowanym orgazmem przy kasie. To bez wątpienia lepsze od dwóch godzin tantrycznego seksu z playboyem po Harvardzie, a przede wszystkim realne, namacalne, prawdziwe i dostępne. Wystarczy mała plastikowa karta z odpowiednim limitem. I porządne usprawiedliwienie (raz kończy się, hm... dzieści lat).

Jimmy Choo, Louboutin, Ferragamo, Tod's, Prada, Chanel, Dior, Gucci... wszystko, czego dusza zapagnie. Biegałam jak wariatka od sklepu do sklepu, obłąkańczym wzrokiem lustrowałam półki, wciskałam stopy w za małe lub za duże buty, bo nie miałam czasu czekać na mój rozmiar, prosiłam, by te czy tamte odłożyli, i już pędziłam dalej. Zachowywałam się niczym kompletna idiotka w fazie maniakalnej, ale przynajmniej depresja

urodzinowa nieco mi odpuściła. Jak już wkraczać w czwarty krzyżyk, to przynajmniej na obcasach – zabójczo wysokich, bezczelnie ostrych, odważnie ekstrawaganckich, z najnowszej kolekcji modnego projektanta. Prosto z Paryża!

Przymierzałam, porównywałam, chciałam mieć je wszystkie. I co teraz? Szpilki? Koturny? Letnie kozaki? Mokasyny od Fratelli Rossetti? Bezpłciowe! Koturny od Prady? Za mało seksowne. Klasyczne pikowane chanelki z kokardką będę miała czas nosić na emeryturze. Ferragamo ze złotą klamrą też. A ja chciałam czuć się jak (młoda, atrakcyjna, świadoma, luksusowa) kobieta! Więc jednak szpilki! Czternaście centymetrów, cieniutkie, ale znakomicie wyważone, maraton można w nich przebiec. Elegancko wąziutkie, z ciemnozielonej wężowej skórki. Bajka! Kosztowały tyle, co trzy pary niewęzowych i dwie średnie krajowe, ale żyje się raz. Założę jeszcze dziś. Będą idealne do małej czarnej na urodzinową kolację i wieczór w Operze. Proszę zapakować! Bładoróżowe pudełko (ze skromnym napisem „Jimmy Choo”) jak anielski rydwan powiozło mnie z powrotem do hotelu, jakieś dwa metry nad ziemią.

Marek uśmiechnął się na widok mojej rozpromienionej miny, westchnął głęboko po obejrzeniu prezentu (choć skłamałam, że była przecena) i dał mi pół godziny na przygotowanie się do kolacji. Stanowczo za mało, by nacieszyć się nowym nabytkiem.

W nocy miałam straszny sen. Śniło mi się, że walec miażdży mi nogę. Nad ranem okazało się, że ból nie dość, że mi się nie śni, to jeszcze jest w stanie obudzić mnie na łóżku z baldachimem w naszej *deluxe suite* z widokiem na dachy Paryża. Byłam zlana potem i miałam średnią odczuwalną temperaturę ciała czterdzieści stopni, w tym lewej stopy czterdzieści pięć. Była czerwona, gorąca, pulsująca. Nie pomagały chłód egipskiej bawełny i powiew klimatyzacji. Zwijałam się z bólu i jęczałam jak konająca lwica, nie dałam nawet rady sięgnąć po aspirynę, którą miałam przygotowaną przy łóżku na wypadek porannego kaca. Cierpiałam i nie

wiedziałam dlaczego. Owszem, trochę wypłam w Le Baron, ale znowu nie aż tyle, by przeoczyć poważną kontuzję. Czy można się tak nagle zestarzeć i rozpaść? Czterdzieści lat skończyłam raptem pięć godzin temu...

– Marek... Marek, zbudź się! Ja umieram... – wyszeptałam resztkami sił.
– Musisz chyba wezwać lekarza...

– Ale co się dzieje? – Spojrzał na mnie zaspany. – Zatrzymałaś się jednak tymi muszlami? Czy ostrygami? Boli cię brzuch? Niedobrze ci?

– Umieram! Moja noga! Zobacz, jaką mam stopę! Zaraz zwariuję z tego bólu! Daj mi jakąś tabletkę! Szybko! – wyłam. – Okażże, chłopie, trochę empatii, do cholery!

Zapalił światło i z zaciekawieniem przyjrzał się mojej stopie, jakby oglądał wymarły gatunek nosorożca na *Animal Planet*.

– No nieźle się załatwiłaś! A mówiłem!... A mówiłem! Doigrałaś się! – Brzmiał nagle jak moja matka. – Chyba będziesz musiała podarować te nowe szpile jakiejś młodszej koleżance...

Co??? To dopiero była szpila! Wbita przez ukochanego mężczyznę o turkusowym spojrzeniu prosto w serce, które krwawiło bardziej niż poobcierane, spuchnięte stopy i podrażniony haluks.

Zapowiedziany na rano pierwszy seks po czterdziestce z wiadomych przyczyn nie mógł się odbyć, nawet jeśli lewa stopa nie musiałaby w nim brać aktywnego udziału. Zamówiony do śniadania szampan stał się zbyt niebezpieczny w sytuacji sześciu połkniętych aspiryn, nie miałam też ochoty na chrupiącego croissanta ani na *café au lait*, a spacer po Mieście Zakochanych ograniczył się do wizyty w sąsiadującej z hotelem aptece.

Ból nie ustępował i rozważałam już amputację czerwonej stopy, choćby na żywca, śniadaniowym nożem. Umierałam. Ba, zdychałam. I wiedziałam już jedno – życie wcale nie zaczyna się po czterdziestce! Nie wierzcie w to!

W wiek średni weszłam o własnych siłach dopiero koło południa, po łyknięciu trzech tabletek ketonalu, w bandażach i w niedrażniających haluksa plastikowych japonkach, które Marek rano kupił dla mnie na

turystycznym straganie przy Champs Elysées. Były wściekle niebieskie, miały z boku koślawy napis „I love Paris” i spędziłam w nich resztę romantycznego weekendu. Czy można przeżyć większe upokorzenie? Wkrótce okazało się, że tak.

PODOLOGIA

Ico? – chciała wiedzieć zniecierpliwiona dr Dziubak-Kalińska natychmiast po naszym powrocie z Paryża.

– Boli... ale już jest trochę lepiej. Biorę coś przeciwzapalnego na receptę.

– Nie o to pytam! Oświadczył się? W ciąży nie jesteś?

– Przecież dopiero wczoraj pytałaś! Nie!

– A szkoda, bo to już ostatni dzwonek. Jesteś szczupła, mogłabyś jeszcze wystąpić w białej sukni... Akurat są wyprzedaże...

– I co ja do niej założę? Klapki Scholla?

– Do wesela się zagoi! – ucieszyła się z błyskotliwości swej riposty. – Jak na młodym wilku! Przykładaj altacet, to stan zapalny szybciej zejdzie.

Mówię ci to jako matka i weterynarz!

Nie wiedziałam, że jej pacjenci też mają kłopoty z haluksami! Ze wszystkimi czterema?

Wbrew hucznym zapowiedziom futra z soboli na urodziny jednak nie dostałam. Na całe szczęście matka nie mogła go znaleźć, prawdopodobnie wyniosła je poprzednia gosposia, razem ze srebrną solniczką.

– Czy ono może w takie czarne cętki było? Ze stójką?

– Tak! Pamiętasz jeszcze, jak babcia je nosiła, córeńko?

Nie, ale pamiętam, że gdy w lutym doktorantka Ewelina Kiszka podjechała po ojca, by nie musiał wyciągać auta w „takie śniegi”, miała na sobie coś bardzo podobnego. Co za przypadek! Po raz pierwszy poczułam

w stosunku do panny Kiszki szczerą wdzięczność. Nawet widok ojca jedzącego w każdą niedzielę sałatę aż tak mnie nie rozczulał jak cudowne zniknięcie zwierząt w naftalinie.

Zamiast futra dostałam na urodziny złotą broszkę z perełkami, której pewnie też nigdy nie założę, ale ze względu na rozmiar była mniej kłopotliwym prezentem. Tort, który matka podała przy pośpiesznej rodzinnej kawie, okazał się normalnego rozmiaru i miał tylko cztery świece.

– Każda za jedno dziesięciolecie... Będzie ci łatwiej zdmuchnąć! – wyjaśniła, bo chyba za bardzo się zdziwiłam.

Cztery świece na urodzinowym torcie dorosłej kobiety! To jeszcze gorzej niż czterdzieści! Poczulałam się jak stetryczała czterolatka. Fantastycznie! Jeszcze trochę, a zacznę sikać w pieluchy!

„Przy osobniczych predyspozycjach chodzenie w wąskich butach może sprzyjać deformacji stóp. Jakie pani nosi buty? Chodzi pani dużo na obcasach?” – chciał wiedzieć całkiem przystojny doktor na ostrym dyżurze ortopedycznym. Co to znaczy dużo? Jak każda normalna kobieta, najwyżej kilka godzin dziennie, czasem mniej, czasem więcej, ale przecież bywało, że nosiłam zupełnie płaskie *pretty ballerinas* albo kalosze, oczywiście huntersy. No i adidasy Gucciego, i mokasyny od Tods'a. Bardzo zdrowo, czyż nie? Oczywiście, że wąskie! Widział pan normalną kobietę w szerokich butach? Ale po domu za to na bosaka biegam! Też źle? Bo parkiet za twardy? „Lepiej po lesie, po miękkiej ściółce”. Nie mam w domu lasu. To po piasku, dobrze? Mam unikać wysokich obcasów? Postaram się, ale nie obiecuję! Tak, wiem, że to mój wybór, wybieram śmierć na obcasach. Wiem, że to nie żarty, stopy są bardzo ważne, dlatego moją pasją są dobre buty... Te od Prady są naprawdę wygodne, proszę mi wierzyć, i wcale nie takie wąskie! I mają zawyżoną numerację. Powiedziałabym nawet, że są prozdrowotne... Cha! Cha!... A co to są anatomiczne buty? Co, takie ortopedyczne trumniaki? Pan chyba oszalał! Prędzej umrę, niż założę

na nogi te kwadratowe kopyta.

Dziś przyszły pocztą. Obiecałam doktorkowi, że choć po domu ponoszę. Chyba po ciemku! Takie coś mógł zaprojektować tylko perwersyjny sadysta. Ewentualnie Spółdzielnia Pracy Niewidomych we współpracy z psychiatrą, któremu ten produkt na pewno napędzał klientów. Wyjęłam z szarego kartonu (nawet opakowanie było odrażające!) sandałopodobne paskudztwo na zalecanym przez ortopedów dwucentymetrowym korku! W niezdrowym kolorze szpitalnego beżu, który zdecydowanie nie był modnym w tym roku odcieniem *nude*. Czarne rzepy regulujące szerokość (!) i gumowe amortyzujące (!) podeszwy dopełniały koszmar.

Wsunęłam w stopy w te urocze cudenka. Niiieeeeeeee! To nie może być prawda! Poczulałam się wykastrowana za życia i w jednej chwili przemieniona w emerytowanego babochłopa z kolejki do konfesjonału. Może jeszcze rajstopy przeciwzylakowe powinnam do nich założyć?! Co za ohyda! To się dopiero nazywa prawdziwe upokorzenie! I to w krytycznym momencie, zaledwie kilka dni po traumatycznych urodzinach. Teraz to już tylko zboczeniec mi się oświadczy. Albo podolog. Nie pokażę się tak nikomu na świecie, nawet doktorkowi.

Zrobiłam zdjęcie moich stóp i wysłałam Ivance. Niemal natychmiast przyszedł mail z odpowiedzią – „To straszne! Przyjeżdżaj! Tu będziesz chodit naboso”.

Ortopedyczne sandały nie nadawały się nawet do człapania po domu, chyba że chciałabym się sprytnie pozbyć Marka. Nie był fetyszystą stóp ani butów (w przeciwieństwie do mnie), ale każda abnegacja ma swoje granice.

Po kilku dniach walki wewnętrznej, wiedziona głosem rozsądku i matki („nawet z końskim zdrowiem nie ma żartów”), włożyłam je na kilka godzin, gdy nikogo nie było w mieszkaniu, Sviety również, bo też bym się musiała tłumaczyć. Jakoś same spadły mi ze stóp, lądując w czasie południowej kawy pod kuchennym stołem, a potem po prostu o nich zapomniałam, chyba moja podświadomość wyparła je samoistnie. O ich dalszym istnieniu

we wszechświecie przypomniał mi dopiero wrzask Michasia, który wyłowił je spod stołu i trzymając w ręku jak zdechłą rybę, zawył: „A co TO jest?”. Zrugalam go, że choć raz mógłby matce współczuć, że widzi przecież, jakie nieszczęście ją spotkało, że nogi ma chore, a to jej pomoże, na co zapytał, czemu mi zamiast TEGO nie założono gipsu. Też bym wolała.

Następnego dnia pokazałam się w nich Svecie, ale udawała, że niczego nie widzi, dobra kobieta. Przed Marka powrotem chowałam je w szafie, choć w głębi ducha musiałam przyznać, że paskudztwo było niesamowicie wygodne, a moje stopy szybko rozczłapały się do rozmiarów ich szerokiej, wyprofilowanej podeszwy i znacznie chętniej niż ja chciały w nich przebywać. Jeśli mam być szczerą, to nawet wyjątkowo zaokrąglony model sneakersów Prady „America’s Cup” nie był tak komfortowy.

Tylko co z tego, że było mi wygodnie, a haluks przestał tak jednoznacznie boleć, skoro pod każdym innym względem, nawet najbardziej obiektywnie rzecz biorąc, było coraz gorzej. Miałam wrażenie, że w ortopedycznych klapkach jeszcze szybciej oddalam się od swojej tożsamości, kobiecości, atrakcyjności oraz realizacji powyższych wartości w ramionach Marka, który patrzył na mnie już tylko przez pryzmat zdjęć rentgenowskich i okładów z altacetu. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Trudno też w takim obuwiu nadążyć, w sensie dosłownym i abstrakcyjnym, za rozbrykanym nastolatkiem – i na tym polu odnosiłam też coraz bardziej spektakularne porażki. Znów zapadałam w letarg o zabarwieniu depresyjnym, przestałam wychodzić z domu, bo dokąd niby miałam pójść w tych klapkach.

Czasem zgadzałam się na wizyty koleżanek, które przyjmowałam w miarę stylowo, bo na bosaka, choć i to nie cieszyło się aprobatą doktorka od moich stóp. Tylko Ewie pokazałam się w przepisowych butach, bo jej własne były jeszcze bardziej paskudne od moich. Doprawdy nie wiem, jak w takim obuwiu można zajść w ciążę! I to trzy razy.

Popatrzyła na moje nogi z uznaniem.

– Wreszcie nie będziesz sobie robić krzywdy! Szkoda stóp na te twoje szpilki! Boli cię jeszcze?

Pokręciłam głową. Boli to mnie serce na widok moich butów. Oraz na widok Ewy zaniedbanych pięt, siwych odrostów i opinającej się na trzech brzusznych oponkach niemodnej bluzeczki.

Ale Ewa była ponad to. Płynęła przez życie na obłoku uporządkowanej duchowości, a gdy spoglądała na ziemski padół, widziała co najwyżej gary, od których zawartości zależało szczęście męża oraz córek, obdarzonych imionami jej ulubionych świętych: Anny Marii, Augustyny i Elwiry. Na wszystko, co doczesne, przymykała oko, w tym najbardziej na rozbrykanego małżonka, w którego tuż po sakramencie ślubu wstąpił duch Gigi Amoroso. „*Wcielony grzech, szatański śmiech*” – nucila na jego temat moja matka, dopóki Gigi nie zmienił się w spasionego Dziadzię z miseczką B nad piwnym brzuchem.

Przez całe moje dzieciństwo Ewa była mym niedoścignionym ideałem zza płotu, ale gdy zmądrzałam, mniej więcej w połowie liceum, dostrzegłam w niej najpierw kujona, a potem kołtuna, którym obrastała do dziś.

– Czuję się pozbawiona tożsamości płciowej, gdy patrzę na moje nogi... – Zdanie to mogłabym równie dobrze wypowiedzieć po turecku, bo Ewa wybałuszyła oczy.

– Może już czas, żebyś przestała określać się przez swoją fizyczność. Ta przemija, jak widać...

Zatkało mnie, szczególnie że botoks powinien jeszcze działać.

– A przy okazji – ciągnęła – chciałabym was zaprosić na nasz ślub. W lipcu będziemy odnawiać przysięgę, tak jak wtedy, u św. Bonifacego. Srebrne gody! Zamówiłam suknię i chciałam się ciebie poradzić, jakie buty kupić, bo chodzą mi po głowie takie białe balerinki, ze złotymi klamerkami w kształcie motylków. Przecież znasz się na butach! A myślisz, że welon wypada mi jeszcze włożyć?

Jęknęłam chyba za głośno. Czterdziestoczworoletnia beza w welonie

i cycaty pan młody w jaskółce? Ukwiecony kościół, *Marsz Mendelssohna* i trzy anorektyczne córki jako drużny sypiące kwiatki. Przed kościołem były kochanki w kwiecie menopauzy rzucają ryżem, młodszych nie ma, bo na takie Wojtusia nie stać. A potem pewnie wesele.

Aż przeszedł mnie dreszcz!

– Zrobię w ogrodzie prawdziwy, weselny obiad. Będzie pięknie! Wszystko w białych motylkach! – Rozmarzyła się.

Domowe przyjęcia były jej specjalnością, pasją, przeznaczeniem i przekleństwem. Kilka razy w roku wypadało się zarznąć, wypruć sobie żyły, zarobić się na śmierć, paść z nóg i wieczorem, mocząc je w soli Kinga Bocheńska, wyzalić się do telefonu. Na imieniny, chrzciny, święta, z każdej okazji albo i bez zapraszała rodzinę, kuzynów, ciotki, pociotki i powinowatych czwartego stopnia. Rozsuwała długi stół, wyciągała paradną zastawę i przy pomocy dochodzącej Ukrainki gotowała osiem litrów rosółu, lepiła trzysta pierogów i piekła cztery gęsi. Osiemnaście nienawidzących się osób siadało do stołu, Ewa brała głęboki oddech i cztery łyki nervosolu, a następnego dnia nagradzała się solidną resztką czekoladowego tortu od Gesslerowej.

Paplała o tych motylkach i balerinkach, a moja uwaga odfrunęła w innym kierunku, co zauważyła dopiero przy temacie ubrania dla Wojtusia, pewnie też całego w motylach.

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz! Ale chyba mam coś dla ciebie. – Otworzyła swoją wielką skajową torbę i czegoś tam chwilę szukała. Wkońcu wyjęła z niej pomietą wizytówkę. – Masz! Zadzwoń do niej! To superbabka, kiedyś bardzo mi pomogła. Idź koniecznie, zobaczysz, że to ci dobrze zrobi!

Chce mnie wysłać na katechezę czy na rekolekcje? Ale nie! Spojrzałam na wizytówkę. „Maria Pinczerek, psychoterapeuta, dzieci i dorośli”. Co? Mam iść do psychologa? Od Ewy? *Never!*

MARIA PINCZEREK

W sumie niczego innego się nie spodziewałam. Nijaki pokój, nijakie meble, nijaka kobieta. Od ponad trzech kwadransów siedziałam na niewygodnej sofie w wielokolorowy geometryczny rzucik. Ściany pomalowane były klejową farbą w odcieniu brudnego błękitu, który miał zapewne uspokajać pacjentów. Mnie drażnił. W oknach wisiały za krótkie zasłonki w rzucik niepasujący do rzuciku kanapowego, a na parapecie stała samotna paprotka w plastikowej doniczce. Myślałam, że paprotek nie ma już na świecie. Studiowałam te brudnobłękitne ściany i nierówne zasłonki, byle nie patrzeć w szarą, zniszczoną twarz Marii Pinczerek, konsekwentnie utrzymaną w kolorystyce gabinetu. Nie dlatego że była brzydka jak każdy, najmniejszy drobiazg w tym miejscu, ale dlatego że opowiadałam jej o sobie, o Michasiu, Marku, doktor Dziubak-Kalińskiej i lewym haluksie. O flaucie w łóżku i oponce na brzuchu. O tęsknocie za Majorką i braku satysfakcji w pracy. O czterdziestych urodzinach i kolekcji butów, których nosić nie mogę. O wychowawczej porażce, rozwodzie i toksycznej rodzinie. O Mulatach, IPO i kłopotach z zaśnięciem. No, o wszystkim. Żenujące.

Maria Pinczerek słuchała mnie niby uważnie, przechylając głowę z siwymi odrostami na lewy bok, jak ptak, do którego zresztą z profilu była podobna. Papuga ara, na trzy litery, występowała jak dotąd w moim życiu wyłącznie w krzyżówkach. Teraz siedzi *vis-à-vis* mnie, wie już o mnie wszystko, i rozumie z tego pewnie tyle, co ufoludek z opowieści Eskimosa. Cóż ta biedaczka może wiedzieć o byciu kobietą, dobrym seksie i znaczeniu prawdziwych louboutinów w moim życiu? Przepisze mi serię spotkań, trzy zdrowaśki, szklanekę wody i tyle. Tracę czas.

Przez całą godzinę nie powiedziała ani słowa, wystarczyło jej chyba, że ja mam nieźle gadane. W sumie pogadałam sobie za dwieście pięćdziesiąt złotych, bo zegar wiszący na brudnej ścianie wskazywał już koniec spotkania. Spojrzałam pytająco na milczącą panią Pinczerek.

– Jako psycholog mogłabym panią odesłać do psychiatry, by przepisał pani coś na depresję. Pewnie trochę by pomogło... – odezwała się w końcu.

– Nie chcę żadnych psychodragów!

– Domyślam się. Jest pani zbyt energiczną osobą. Dlatego dam pani inną radę. Nie jako psycholog, ale jako kobieta... Proszę tylko o dyskrecję i zachowanie tego dla siebie...

Wow! No, nie mogę! Pewnie poradzi mi zakup wibratora! Szczyt rozpusty i wyuzdania. A może nawet oglądanie pornosków z partnerem życiowym? Zaraz pęknię ze śmiechu.

– Jest pani cały czas młoda i atrakcyjna. Niech pani sobie znajdzie kochanka. Nic tak nie poprawi pani nastroju jak romans!

Co? Oszalała baba? Mam zdradzać Marka? W życiu!

Rzadko kiedy tracę rezon, ale ten moment do takich właśnie należał. Gdy ochłonęłam, zażartowałam, że potrzebowałabym receptę na kochanka, bo niby skąd go wezmę, ale Szara Mysz powiedziała oschle:

– Nasz czas się skończył. Żegnam!

CZERWIEC

HORMONAUTA

Już byłam pełna nadziei, że z dobrą radą Marii Pinczerek w zanadrzu (postanowiłam jednak zachować ją na czarną godzinę) i w ortopedycznym obuwiu na nogach wyjdę wreszcie na prostą, ale niewiele w moim życiu zmieniło się na lepsze. Właściwie nic.

Zamożny klient został namówiony przez prowincjonalną małżonkę do stylu pseudoprowansalskiego, którym się organicznie brzydę, więc za obopólną zgodą przestał być moim klientem. Marek utonął całkowicie w świecie akcji, giełdy i IPO i w domu praktycznie tylko nocował, a i to nie zawsze, więc był na najlepszej drodze, by przestać być moim konkubentem. Właściwie łączyły nas głównie adres zameldowania, abonament rodzinny do klubu fitness, z którego nikt nie korzystał, i teoretycznie wspólne łóżko w sensie mebla do spania. To było wręcz podręcznikowe osamotnienie i równie podręcznikowo, im bardziej z tego powodu cierpiałam, tym słabiej widziałam wyjście z sytuacji. Nie było bowiem argumentu mocniejszego niż „Ajpioł”.

A Michaś? Michaś wciąż był moim synem i nie pozwalał mi na nudę, chwilę wytchnienia czy jakąkolwiek rutynę. Przewlekły, ale ciężki stan dojrzewania trwał, a rokowania dalej nie były najlepsze.

– No, nie mam dobrej wiadomości! Zawiesili mnie z francuza! Musisz do niej pójść! – rzucił od niechcienia, przemykając się w pizamie do swojego pokoju, tonem, jakby chodziło o brak mydła w łazience, a nie o odczuwalnie

setną aferę w tym roku szkolnym.

– A o co się stało tym razem?

– A skąd ja mam wiedzieć? Niczego nie zrobiłem, zawzięła się na mnie, lesba jakaś! Histerię macicy ma!

– Michaś!!! – wrzasnęłam do właśnie zamykających się przed moim nosem drzwi. – Musimy porozmawiać! Jeszcze chwila i cię z tej szkoły wyrzucą!

– Niestety nie, za dużo za nią bulisz! – Przekręcił klucz (który zażyczył sobie na zeszłe urodziny, powołując się na prawo każdego człowieka do prywatności). – Śpię już! Idź sobie!

– Otwórz! Słyszysz? – Zapukałam i policzyłam do dziesięciu. Za drzwiami cisza i znikąd pomocy. – Michaś!

Cisza.

– Marek!!

Cisza.

– Marek!!! Potrzebuję cię!!!

Cisza.

Nie wierzę, że mój głos nie docierał na odległość piętnastu metrów! Na puszczy wołam, czy co? Co jest? Nikt mi już nie odpowie? Nikt mi nie pomoże? Co to za PARTNER? Słowo pochodzi niby od „partitio”! Czyli od dzielenia się! A on? Czym on się dzieli? No dobrze, pieniędzmi. I tyle. Trochę mało. A życie? A czas? A problemy? A wspólne sprawy? A wychowanie Michasia? Koniec z partnerem! Od dziś będę go nazywać konkubentem. Guzik! Przecież nawet ze mną ostatnio nie sypia! Kohabitant, i tyle! Na więcej nie zasługuje!

– Jak będziesz w szkole, to zapytaj o miejsca na przyszły rok! Wygląda na to, że Beatka jednak przyśle do nas dzieci, ale po wakacjach! – odezwał się kohabitant, dopiero gdy bezsilnie opadłam obok niego na kanapę. Siedział zawalony laptopem, gazetami i papierami, i studiował białoniebieskie tabelki, które, jak dla mnie, mogłyby być napisane również w sankskrycie. *Underpricing, green shoe, initial return, book building*

i cholera wie, co. Może tylko *green shoe* brzmiał całkiem znajomo.

Swoją drogą, jak można się pasjonować czymś tak sztucznym, abstrakcyjnym i światu niepotrzebnym? Ja przynajmniej zaspokajam podstawowe ludzkie potrzeby – można by poetycko powiedzieć, że buduję szafasy, schronienia, dach nad głową. To jest przecież ważne, podstawowe, kluczowe! Jak jedzenie, picie i seks. Czy jakoś tak. A on? Cóż on takiego robi dla ludzkości? Gdyby choć wymyślał lekarstwa na raka albo leczył ludziom zęby! Co takiego zmieni się na świecie, kiedy ta jego firma nie będzie już „z o.o”, tylko S.A. Przecież nadal ci sami ludzie będą robić to samo, w tych samych halach, w tym samym czasie, za te same pieniądze. Więc o co tu się zabijać, po co poświęcać siebie, zdrowie oraz całkiem udany związek partnerski? Tego chyba tak NORMALNA osoba jak ja nigdy nie zrozumie (parafraza cytatu z Marka, gdyż oryginalnie użyty przymiotnik uznałam za zbyt mnie deprecjonujący).

– A może ty byś raz do tej szkoły poszedł? Załatwiłbyś od razu i miejsca dla dzieci Beatki, i sprawę Michasia. Ja od stycznia byłam już osiem razy na dywaniku, to trochę za wysokie *ratio per capita*, a zwrot z moich zainwestowanych w wyżej wymienione przedsięwzięcie nerwów nie wykazuje odpowiedniego *performance*... Nie uważasz? – starałam się przemówić do niego zrozumiałym językiem.

– Nie wystarczy, że wspieram to finansowo? Przecież to nie moje dziecko... Nie mam mandatu, żeby takie sprawy zaadresować! Musisz sama rozwiązać ten problem.

– Marek! Co ty w ogóle gadasz? Adresować to powinieneś koperty z listami miłosnymi! Kiedyś do mnie wierszem mówiłeś! Nie pamiętasz?... *Tu cię kocham i nadmiernie zastania cię horyzont...*

– Przecież cię kocham! Ciągłe ci to mówię, widocznie nie słuchasz. Trochę za późno mnie poznałaś. Teraz to ja już tylko chcę się ładnie z tobą zestarzyć... Chodź tu, moja starowinko! Moja czterdziesteczko! – Wyciągnął do mnie rękę, nie odrywając wzroku od komputera.

Nie, kurwa, nie! Znowu ta starowinka! Nie jestem żadną pieprzoną

starowinką! I nie mam ochoty ładnie się starzeć. Ani nieładnie! Ani z godnością! Z nim czy bez niego! Nawet nie z oryginalnym Clooneyem, a co dopiero z jego klonem. I po co w ogóle ta „czterdziesteczka”? Po co to nieeleganckie wypominanie? Czy ja coś mówię o coraz głębszych zakolach, flaucie w łóżku i pięćdziesiątce za dwa lata? Nie! Ja mówię coś ZUPEŁNIE innego. Bo jestem młodą, seksowną kobietą!

– Za kwadrans w sypialni?... – szepnęłam mu do ucha, wprawnie muskając je ustami.

– Nie dam rady... – Popatrzył na zegarek. – Muszę to skończyć na jutro.

– Jak zawsze! To kiedy będzie seks? Bo w tym kwartale chyba nie było...

Rzucił mi męczeńskie spojrzenie świętego Wawrzyńca przypiekanego na ruszcie.

– To może w sobotę? Czeka, sprawdzę w kalendarzu, co mam...

Osiemnasta trzydzieści? Powinienem zdążyć... Może być?

Wow! Wawrzyniec odda świętego Graala! Chyba wpiszę to wydarzenie do kalendarzyka małżeńskiego. Czymś trzeba będzie się w końcu doktorowi Robakowi pochwalić.

Koło północy zgasiałam światło. Jak zwykle zasypiałam sama, Marek jeszcze pracował. Przytuliłam się do poduszki, a Maria Pinczerek szepnęła mi do ucha „Dobranoc!”.

SZKOŁA

Ubrałam się w mój dyżurny mundurek model Umęczona Matka (szmizjerka, balerinki i brak makijażu), mający wzbudzać współczucie dla samotnego macierzyństwa, i udałam wprost na dyrektorski dywanik. Tak jak robiłam to w zeszłym miesiącu i poprzednim, i każdym kolejnym wstecz, aż do początku roku szkolnego. Nie przynosiłam koniaku, kwiatów ani czekoladek, bo dyrektor miał swoje standardy, prezentów z zasady nie przyjmował, za to dbał osobiście o hojność sponsorów i regularne darowizny. Michaś robił wszystko, żebyśmy mogli wieść w tym prym.

Jeszcze trochę, a doczekam się wyrytego w marmurowej płycie nazwiska jako głównego dobroczyńcy gimnazjum.

Budynek warszawskiej szkoły w niczym nie przypominał Balear International School, tonącej w cieniu palm i figowców stuletniej majorkańskiej posiadłości na południowym wzgórzu San Augustin. A ja nie przypominałam sobie, że bym podczas dwu lat nauki Michasia w hiszpańskiej szkole kiedykolwiek wylądowała na dywaniku. No, chyba że chodzi o lądowanie, którego dokonałam na imprezie kończącej rok szkolny. Fakt, trochę za dużo wtedy wypiałam, ale podawano tylko wino (przynajmniej ja nie widziałam innych drinków), czerwcowy wieczór był bardzo gorący, a wychowawca Michasia jeszcze gorętszy. Do tego ciut za wysokie obcasy, familijna atmosfera, nierówne kafelki na szkolnym tarasie... To wystarczyło, żeby stracić równowagę. Dyrektor pomagał mi wstać i śmiechu przy tym było co niemiara, bo wino smakowało nie tylko mnie. Zresztą to dzięki temu w końcu zapamiętano mamę grzecznego Majkela, nad którego miłą osobowością i wszechstronnymi zdolnościami rozplątywało się pół szkoły. Czy to śródziemnomorski klimat tak stymulował mózg do nauki, czy może kwitnące przy śmietnikach oleandry łagodziły obyczaje mojego syna, a może kojący widok na błękitne morze uspokajał najbardziej sfrustrowane ciało nauczycielskie? Nie wiem.

Warszawska typowa tysiąclatka była brzydkim, funkcjonalnym klokiem świeżo odmalowanym na kolor morelowego kisielu. Z plastikowych okien rozciągał się widok na osiedle z wielkiej płyty, szarej jak wszystko wokół. Dzikie, nigdy niestrzyżone krzaki z białymi, strzelającymi kulkami, wrastały wprost na lastrykowe wejście do budynku, a asfaltowe boisko już dawno przerobiono na parking i palarnię dla kadry. W sumie wcale nie dziwiłam się, czemu Michaś robi wszystko, by nie przebywać w tym obrażającym zmysły otoczeniu, ale nie mogłam dać tego po sobie poznać. Z moją ekspresyjną mimiką nie było to łatwe!

Drogę do gabinetu dyrektora na drugim piętrze znałam na pamięć,

trafiłabym do niego z zawiązanymi oczami, choćby po zapachu wędzonej gruzińskiej herbaty, którą namiętnie pijał, i suchej krakowskiej, którą herbatę zagryzał. Gdy wejde, zaproponuje mi szklankę czarnego jak smoła naparu, a potem wymieni, punkt po punkcie i zawsze w tej samej kolejności przyczyny kłopotów Michasia w szkole:

- a) rozwód rodziców,
- b) konkubinat matki,
- c) zwolnienie z lekcji religii,
- d) niejednolita ścieżka edukacyjna.

Kiwałam wtedy głową z udawaną skruchą, obiecywałam poprawę i czekałam na ogłoszenie wyroku zwanego sponsoringiem.

Ale dziś jego gabinet nie pachniał niczym, bo dyrektor „znajdował się na chorobowym” – jak to elegancko ujęła sekretarka. Pewnie dlatego że był słoneczny piątek i sezon grillowy na działkach w pełni.

– Ale pani magister czeka na panią! Proszę!

Pani magister miała trzydzieści parę lat, niedowagę oraz przedramię w gipsie. Ta drobna kobietka o nierzucającym się w oczy wzroście, w porównaniu ze swoimi napakowanymi białkiem serwatkowym uczniami musiała wyglądać jak modelowa ofiara przemocy. Aż mi się jej zrobiło żal. Już ją kilkakrotnie spotykałam w podobnych okolicznościach, ale do tej pory występowała bez żadnych opatrunków, więc gips zaniepokoił mnie najbardziej. Zdarzyć mogło się właściwie wszystko, a ja chyba zapomniałam odnowić Michasiowi OC!

– Czy mój Michał coś pani zrobił?... Mam nadzieję, że nie...

– Tak, proszę pani! Zrobił! – napadła na mnie jak wściekła kotka. – Przez całą lekcję nie chciał wyjąć zeszytu i patrzył się na mnie... Tak jakoś dziwnie, aż mnie ciarki przechodziły po plecach... Brr... jak sobie przypomnę...!

– Ale poza tym nic się nie wydarzyło?... – Wciąż czekałam na najgorsze.

– Słyszałam, że... że popłakała się pani... Czy ta ręka ma z tym jakiś związek? Czy mój syn był agresywny?

– Ach, nie! Spadłam w domu z drabiny... – zmieszała się. – Ale pani syn... on naprawdę się tak wtedy na mnie dziwnie patrzył... I miał takie żółte oczy... jak diabeł! Zwązzone źrenice. Może on bierze jakieś narkotyki? Powiem szczerze, że nie chciałabym go mieć w grupie, daje zły przykład innym dzieciom.

– Rozumiem! – powiedziałam, bo zrozumiałam, że soczewki optyczne model Yellow Devil z ostatniego Halloween natychmiast wylądują w koszu. – Ale może jednak da pani mu szansę skończyć ten rok? To tylko kilka lekcji... Po wakacjach zmieni klasę albo język, albo co tylko pani sobie życzy.

– No, nie wiem... Pan dyrektor zostawił coś dla pani. Proszę! – Podała mi zaklejoną kopertę.

O, to pan dyrektor się nie kryje przed panią magister? Chyba się biedaczka domyśla, co jest w środku. Nie wierzę, żeby nie brała udziału w procederze „dofinansowania szkoły”... Wolałabym jednak, żeby mój datek, tym razem pięćset złotych, zamiast na doposażenie sali IT, jak napisał, poszedł na psychoterapię labilnego emocjonalnie ciała pedagogicznego pani magister.

Choć nigdy nie mówiłam Michasiowi, że jego wybryki mają swoje konkretne ceny, a domową karę starałam się dopasować raczej do ciężaru wykroczenia niż wysokości przelewu, to jednak miałam dość silne przeczucie, że Michaś dobrze wie, co tu jest grane, i testuje siłę swojej niesubordynacji. Na przykład: zawieszenie z przedmiotu = projektor = 2000 złotych. Zamknięcie kota w szatni = ekspres do kawy w pokoju nauczycielskim = 500 złotych.

Sprawdza swoją wartość? Walczy z systemem, skądinąd obrzydliwym? Bo ja już nie wiem, jak sobie to wszystko wytłumaczyć, a jeszcze bardziej nie wiem, jak go powstrzymać. Matka wycięła mi z gazety artykuł o letnim obozie pracy dla nieposłusznych gnojków, gdzieś w Bieszczadach, ale, znając Michasia, i stamtąd go wyrzuca, choć dwa tygodnie kosztują tam więcej niż luksusowe wczasy w Tunezji z przelotem dla całej rodziny. Może

jednak powinniśmy spróbować?

– Dam Michałowi szansę, bo w sumie dobrze opanował język... ale nie obiecuję, co będzie w przyszłym roku...

Jak to, co? Nowe stawki!

Pożegnałam się szczęśliwa, bo z uwagi na fakt, że do końca roku szkolnego pozostały dwa tygodnie, była to prawdopodobnie moja ostatnia audyencja przed wakacjami. Mogłam spokojnie zrobić przelew i odetchnąć z ulgą.

Nic bardziej złudnego!

Od wizyty w szkole minęły zaledwie dwie i pół doby, całkowicie poświęcone przez Marka mitycznemu IPO, łącznie z nocowaniem w czasie weekendu w biurze, dzięki czemu obydwie wieczory mogłam przeznaczyć na tłumaczenie nowemu klientowi, że ochra i kolor dyni hokkaido, w którym to kolorze bez konsultacji ze mną pomalował ściany, to nie jest mimo wszystko jedno i to samo i bez przemalowania się nie obędzie, jeśli nie chce, żebym wycofała się z projektu. Na koniec pertraktacji okazało się, że bardziej woli pomarańczowe ściany niż mnie, więc stałam się chwilowo bezrobotna. „Kolejny klient się wycofał w ciągu kilku dni, zastanów się, co robisz źle!” – Marek na swój sposób podtrzymywał mnie na duchu. – „Wydaje mi się, że nie umiesz się z nimi komunikować!” – dorzynał mnie mój specjalista ds. relacji z klientami. Sam by spróbował rozmawiać z tymi burakami o dyni i innych warzywach!

Hormonauta przeżył dwa weekendowe dni, nie wyściubiając nosa z czterech ścian rzekomo z powodu (minimalnego) deszczu i dużej porcji lekcji do odrobienia. Siedział u siebie zamknięty na klucz, a od czasu gdy sprytnie zaczął używać słuchawek, nie mogłam już nawet podsłuchać, co w tym pokoju robi. Oczywiście, dwa razy kontrolnie wyłączyłam Internet, że niby się zawiesił, a wtedy wyleciał z pokoju jak oparzony, z wrzaskiem, że mu się Wikipedia zamknęła, co miało niby świadczyć o pisaniu wypracowań z odnośnikami.

– Mamy na półce Britannicę i Larousse’a, czemu nie skorzystasz? – prowokowałam.

– A kiedy je aktualizowali? Chyba sto lat temu! Świat się zmienia co minuta! Muszę być na bieżąco. Nie wiesz nawet, jak się teraz człowiek uczy!

Wiem. Internet, *Copy & Paste*. Aż się dziwię, że nauczyciele te ściągnięte z netu plagiaty akceptują. Może nie wiedzą, jak łatwo i szybko można takie oszustwo wykryć? A może teraz tak po prostu jest i nikt oprócz mnie nie robi z tego afery? Zresztą Michaś i tak nie odrabiał lekcji, bo wykorzystałam moment nieuwagi, gdy był w łazience, i sprawdziłam jego komputer. Od siedemnastu godzin nie opuszczał posterunku w *Battlefield 2*, czyli w wirtualnym Iraku albo Afganistanie, trudno powiedzieć, gdzie wraz z *marines* strzelał do talibów. Nazywał się Cpt. Smith i miał na koncie trzydzieści jeden trupów oraz odbicie kolegi z rąk wroga. Czy to znaczy, że wyrośnie z niego seryjny morderca albo żołnierz Legii Cudzoziemskiej? Tu zdania były podzielone. Połowa znajomych, poradników oraz stron w Internecie utrzymywała, że tak, takie gry wzbudzają agresję, więc należy je ograniczać, ale pozostali nazywali *Battlefield* „współczesną bitwą na kije udające karabiny”. Ja w końcu też całe przedszkole bawiłam się w czterech pancernych i żadna czerwonoarmistka ze mnie nie wyrosła! Niemniej od gapienia się w ekran Michaś psuł sobie oczy i zaniedbywał naukę. Ale jak mam mu tego zabronić, skoro się mnie nie słucha? Może zatrudnię wychowawcę, takiego z prawdziwego zdarzenia, z poprawczaka, albo byłego zomowca? Albo gdzieś go wyślę? Na ten obóz w Bieszczady? Wygooglowałam: „oboz+trudna+młodzież+dyscyplina”. Wynik wyszukiwania: *Praca przymusowa Polaków na rzecz III Rzeszy*.

Hilfe! Gdzie jest mój Angel d’Or???

JAZDA BEZ TRZYMANKI

W poniedziałek rano, w miarę punktualnie, kapitan Smith wymaszerował

do szkoły, odpowiednio przy śniadaniu zbriefowany na okoliczność niebezpieczeństwa zawału roku i po daniu słowa, że przez te ostatnie dwa tygodnie przyzwyczaję się zachowa. Wcale nieuspokojona, zabrałam się do pracy, która z braku aktualnych zamówień polegała na porządkowaniu portfolio. Co jakiś czas nerwowo zerkałam na zegarek. Było do czternastej trzydzieści, do zakończenia lekcji! Odliczałam godziny, a o wpół do trzeciej wzniosłam kawę toast za dzień bez telefonu ze szkoły. Za dwadzieścia minut Michaś powinien być w domu.

Niestety, nie pojawił się, a zamiast tego zadzwonił do mnie bardzo zdenerwowany ojciec. Przeraziłam się, bo sapał i dyszał do słuchawki, jakby miał zaraz wyzionąć ducha. Relacjonował dość nieskładnie, co właśnie wydarzyło się w jego spokojnym, emeryckim życiu. Prawie go zrozumiałam. Hormonauta tym razem to jego wybrał na swoją ofiarę (dobry wybór, bo dziadek znany był z braku asertywności, krytycyzmu i konsekwencji) po tym, jak mimo posiadania biletu miesięcznego postanowił przeskoczyć przez bramkę w metrze. Tak po prostu, dla sportu. Wnuczek aktualnie przebywał w komisariacie i oczekiwał na pojawienie się opiekunów prawnych, czyli na mnie, bo na Roberta władza nie mogła liczyć. Pływał właśnie na skuterze wodnym po Zalewie Zegrzyńskim, jak na pięćdziesięciodwulatka z młodą narzeczoną przystało.

– Ale dlaczego dzwonili akurat do ciebie, tato? – Wzięłam głęboki oddech, bo bardzo nie chciałam się zdenerwować. Negatywne emocje uwalniają wolne rodniki, a te powodują zmarszczki.

– Posterunkowy miał tylko mój numer. Michaś opowiedział mu, że jest cygańską sierotą, tabor go zostawił z powodu tyfusu czy coś takiego, i ma tu tylko dziadka.

– Uwierzyli mu? Przecież jest blondynem... – racjonalizowałam, wciąż zadziwiająco spokojnie.

– Córeczko, to teraz zupełnie nieistotne! Jedź po niego, bo ja zaraz dostanę zawału! Już coś mnie w mostku ściska...

Tylko nie to! Teraz to ja się zdenerwowałam! Serce podjechało do gardła

i było jak nienormalne. I już nie wiedziałam, czy ratować serce ojca, swoje czy skórę Michasia. Za dużo tego naraz! Wzięłam głęboki wdech i dwie saszetki magnezu instant na nerwy. Od razu w głowie mi przejaśniało. Ja, jako matka, muszę zadbać o dziecko, a ojca niech ratuje ta cała Ewelina Kiszka.

Natychmiast wsiadłam do samochodu, ale na środku skrzyżowania z Jana Pawła utknęłam w korku. Chciało mi się wyć. Czułam, że mój puls zbliża się do drugiej setki, a oddech przypomina ostatnie tchnienie karpia przed Wigilią. W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy Michaś zdążył doprowadzić do łez panią od francuskiego, do furii wuefistę, przemalować na różowo samochód dyrektora oraz sfingować atak bombowy i własną śmierć. No i upić się w sztok na imieninach babci (z niemiłym akcentem pawia w kuchni). A teraz siedział na komisariacie i udawał cygańską sierotę! Może powinnam go tam zostawić na zawsze? Zamkną go w poprawczaku i po trzech dniach skruszeje jak mięso z dzika. Będzie mnie błagał, żeby go zabrać, pozwolić mu zamieszkać w jego luksusowym pokoju, który codziennie posprząta, a ze szkoły przyniesie odznakę wzorowego ucznia. Może to jest jakiś pomysł? Nie, chyba nic z tego. Już wiedzą, że ma rodziców, czy tam opiekunów prawnych. Muszę go odebrać. Muszę przedrzeć się przez korek zaczynającej się godziny szczytu. Muszę wysłuchać jakiegoś posterunkowego. Muszę wstydzić się za własne dziecko. I za swoją wychowawczą porażkę. Oznacza to tylko jedno: albo będę musiała zabić jego, albo siebie. Zasłużył na śmierć z moich gołych rąk! Może faktycznie należało go bić paskiem, jak był mały? Stawiać do kąta? Kazać klęczeć na grochu? Nagle zrozumiałam fenomen wyrzucania dzieci z balkonu i skakania za nimi z dziesiątego piętra. To zawsze jest jakieś wyjście. Ja też doszłam do muru i nie mam już żadnego ruchu. Koniec. Dalej się nie da!

– Czego tak trąbisz, baranie?!

OSTATNI NUMER W WARSZAWIE

Umówiłam się z matką na dwunastą, bo miała właśnie kolejny rewelacyjny pomysł na skuteczne wychowanie swojego wnuka, a mojego syna. Prawdopodobnie coś na modłę ostatniego cudownego pomysłu, czyli wysłania Michasia do sióstr (zakonnych) do Karpacza, gdzie jako dziecko spędzała wakacje jakieś sto trzydzieści lat temu. Nie wzięła, niestety, pod uwagę faktu, że Michaś nie jest katolicką dziewczynką, a tylko takie jednostki przyjmowały siostry pod swoje skrzydła.

Zaparkowałam pod jej domem i od razu natknęłam się na Ewę, która podlewała trawnik przed furtką.

– Twoja mama właśnie wyszła. Prosiła, żeby ci powtórzyć, że jedzie na chwilę do pacjenta i żebyś u mnie poczekała... Wejdiesz?

– A ona żyje w paleolicie, czy co? Nie mogła zadzwonić? Zmieniłabym plany...

– Chyba bardzo jej zależy, żeby z tobą porozmawiać. No chodź, poczekasz na nią, mam pyszny placek truskawkowy. Same owoce, nie utyjesz!

Muszę przyznać, że już po kwadransie w jej ogródku, pod gruszą (a może to była jabłonka?) poczułam się lepiej. Stres ostatnich dni, pogadanka na komisariacie, mandat i dwa stilnoksy uchodziły ze mnie jak z Michasia gazy po czereśniach. Rozkładany fotel, miękka poduszka w żółte kwiaty i owocowy poncz na czystym spirytusie zrobiły swoje, przynajmniej tak długo, jak Ewa krzątała się po kuchni, przepraszając, że zostawia mnie samą (i to z tak okropnymi myślami, jak pomysł matki na wychowanie Michała).

– A nie mówiła ci nic? Bo coś się boję, że tym razem wymyśliła co najmniej Jasną Górę? – spytałam, gdy przyniosła suto upstrzony bitą śmietaną placek.

– No, wiesz! Nie bluźnij! Lepiej mi doradź, co włożyć na ślub... Widziałaś balerinki?

Udałam, że nie słyszę, zamknęłam oczy i wystawiłam twarz do słońca.

W ogrodzie mocno pachniały krzaki jaśminu. Znowu lato, moja ulubiona

pora!

– *Bo ja jestem noc czerwcową, królowa jaśminowa* – zanuciłam pod nosem. Ten zapach, kiedyś, za romantycznego młodu, kojarzył mi się z Gałczyńskim. Później to już bardziej z odświeżaczem powietrza do toalet.

– No, nie przesadzaj! Od razu królowa! – prychnęła Ewa.

Zamknęłam oczy jeszcze mocniej. Słońce świeciło jak lampa w gabinecie mojego dentysty. Tam też zamykałam oczy. Żeby nie widzieć i nie słyszeć.

Na niebie nie było ani jednej chmurki. Pogoda dla bogaczy. Czyste, letnie południe. Sielanka z obrazka. I zimny poncz, który barwił moje myśli na różowo. Grzałam się na gorącym, plastikowym leżaku jak leniwa kotka. Żyć nie umierać. Aż około pierwszej na błękitny, spokojny horyzont nadciągnęła jedna, wielka czarna chmura. I wcale nie była to moja matka, na którą czekałam już prawie godzinę, tylko Svieta, a dokładniej, telefon od niej. Tym razem nie chodziło jednak o kolejną zbitą filiżankę z przedwojennego kompletu Royal Copenhagen ani o przypaloną płytę indukcyjną. Ani nawet o niespodziewany i pilny jak zwykle wyjazd do rodziny na Ukrainę. Niestety.

– Pani Magdaliena, ja chciała powiediet, szto ja zakańczyła i uże paszła, ale Misza jest doma!

Misza doma? I to już od dwóch godzin? Cholera jasna, przecież sama zawiozłam go rano do szkoły. Zaraz to wyjaśnię. Telefonu ode mnie, oczywiście, nie odebrał. Wystukałam więc SMS-a z pięcioma wykrzyknikami, oblewając przy okazji białe spodnie różowym ponczem. Ten dzieciak doprowadził mnie już do nerwicy, następny będzie zawał, potem wylew, a na końcu śmierć. Dobrze, pošlę go i na Jasną Górę. Już mi wszystko jedno!

„Prendzej sie zabije nizpojde do szkoły jesli chcesz wiedziecz to juz siedze wkuchni i zamiezam sie zabic, a sviety niema wiec mnie nie odratuje” – przyszła odpowiedź.

Natychmiast pomyślałam o komplecie samurajskich noży, które Marek przywiózł w zeszłym roku z Tokio. Zawsze podejrzewałam, że to zły

pomysł, by leżały na wierzchu, choć były bardzo dekoracyjne.

„Uspokój się i nie rób głupstw! Już jadę. Porozmawiamy na spokojnie. Nie ma problemów, których nie da się rozwiązać! Kocham cię!” – odpisałam czym prędzej.

Nie zaznasz spokoju, czyli moje życie wróciło do normy. Zerwałam się z leżaka, krzycząc do Ewy, że mam w domu dramat i że muszę natychmiast lecieć, a ona, zdumiona, poczłapała za mną na ulicę. Otwierałam już drzwi do samochodu, gdy odpisał: „Za pozno. Odkrecilem gas. Koncze z tym wszystkim”.

Ryk, jaki w tym momencie uwolnił się z moich piersi, przeraził Ewę oraz jej psa, który zaczął ujadać jak głupi. Wyjęła mi z ręki telefon, przeczytała wiadomość i mocno mnie objęła, a ja zaszlochałam bezsilnie w jej pulchne ramię. Pachniała smażonym boczkiem, kwiatowym dezodorantem i trochę cebulkowym potem nieogolonych pach.

– Nie płacz! Na pewno zdążymy! Już dzwonię po straż pożarną! I do administracji. Gaz w rurach teraz nie jest trujący, najwyżej wybuchnie.

– Nie, Ewa! Nie wybuchnie! – wyłam. – Nie wybuchnie, bo my wcale nie mamy gazu!

– Jak to? Więc co odkręcił? Może jest u sąsiadów?

– W całym budynku nie ma gazu! On mnie po prostu dręczy!... Ja już nie mam do niego siły! – Osunęłam się bezsilnie na siedzenie. – Wiesz, jakoś mi słabo...

ODLOT

– Dochodzi do siebie! Madziu, słyszysz mnie? – Madziu? – usłyszałam nad sobą głos matki.

Czy to możliwe, żeby doktor Dziubak-Kalińska dopadła mnie nawet w niebie? Albo w piekle, bo nie byłam pewna, gdzie aktualnie przebywam? Niewykluczone, że umarłam, bo ostatnie, co pamiętałam, to była ciemność. Pomroczość. Czarna dziura. Nicość. A teraz wściekle żółte światło kłuło mnie przez zamknięte powieki. Może to złote gwiazdy weselnego nieba?

Gdzie są białe motyle?

– To może być już ten wiek! Zawroty głowy, omdlenia, osłabienie systemu nerwowego, wegetatywnego... – ciągnęła matka.

– Nie za wcześnie? – zapytała gdzieś z oddali Ewa.

– Po czterdziestce zaczyna się perimenopauza... Niby nic się nie zmienia, a jednak... Organizm szykuje się do całkowitego wyciszenia. No, zobaczymy. Jedna wiewiórka wiosny nie czyni.

Poczułam, jakby nagle sto tysięcy woltów kopnęło mnie prosto w głowę, a nie peri-coś-tam wyciszyło.

– Co????!!!! – chciałam wrzasnąć, ale z moich ust wydobył się tylko jakiś słaby szept konającej staruchy.

– Jednak żyje – stwierdził braciszek, wcale nieucieszony.

Co ta ciota tu robi? Będzie trąbić na całą Warszawę, że siostra ma perimenopauzę?

– Madziu, słyszysz nas? Musisz koniecznie iść do lekarza. Tętno sto osiemdziesiąt w stanie spoczynku to nie żarty! Zaraz zmierzę ci jeszcze raz ciśnienie.

Tym? A sierść mi do tego wygoli? Przecież to aparat dla psów! Co oni ze mną robią?

– Ciesz się, że byliśmy z matką w domu, bo na pogotowie byś się w tym kraju nie doczekała. I spacyfikuj tego gnojka, nim cię wykończy! Albo ja to zrobię. Możemy z Adrianem zabrać go na Mykonos! Na cały lipiec.

– Nastolatek na gejowskiej wyspie! Ani mi się waż – chciałam powiedzieć, ale tylko coś słabo i niewyraźnie mruknęłam.

– A może Michaś u nas zamieszka? Trochę ci go z ojcem wychowamy, odkarmimy. Stasio ma, co prawda, chore serce, ale czego się dla ciebie już nie robiło?... Pomożemy ci wszyscy. Cielę z wozu, matce lżej! – zaproponowała wspaniałomyślnie doktor Dziubak-Kalińska.

– Ja pani chętnie pomogę! Będę gotować obiady, i to z wielką przyjemnością. Chłopak w tym wieku pewnie dużo je! – pisnęła podekscytowana Ewa.

Licytowali się jeszcze chwilę, kto weźmie na siebie więcej MOICH obowiązków, aż w oddali trzasnęły drzwi. Pokój szybko wypełnił się znajomym zapachem wody Eau Sauvage, wymieszanym z pieprzną nutą sali gimnastycznej. To drugie pachniało mi Michasiem.

– Widzisz, do jakiego stanu żeś matkę doprowadził! – zagrzemiał dziadek tubalnym głosem, zupełnie jak nie on. – Nie wstyd ci?! Do pijarów trzeba cię oddać, bestio!

– Ej, ojciec, to chyba już lepiej jak ze mną na Mykonos pojedzie. Te typki od PR-u to straszne ciule – wtrącił Piotruś.

– Zakon Pijarów, ośle! To jest liceum w Krakowie, z internatem! Z tradycjami i dyscypliną! Tam go wychowają, skoro już nikt sobie z nim rady nie daje w tej Warszawie!

– Panie kocie, idzie o cię! – zasyczała do Michasia babcia.

– Nigdzie nie pojedę!

– Michaś? – wyszeptałam słabo jak Matka Polka na łożu śmierci. Niech no jeszcze tylko wybaczę marnotrawnemu, nim skonam.

– Co? – burknął. – Na żartach się nie znasz! Co, ty na serio myślałaś, że ja się zabiję? Jeśli tak, to gratuluję! Marek cię wyśmieje, jak się dowie! Przecież wiadomo, że nie mamy gazu. Taki głupi to ja nie jestem! – warczał.

– Okrutny jesteś, Michale! Bez serca! – Teraz doktor Dziubak-Kalińska traciła oddech z emocji. – Piotrusiu, ja cię proszę, byś odwiózł Michasia do ojca, niech tam sobie przemyśli swoje zachowanie. Choć bardzo wątpię, czy to akurat jest najlepszy adres! Każdy kokot na swych śmieciach śmiały... – dodała z przekąsem.

Czułam, że za chwilę w salonie państwa Kalińskich rozpęta się prawdziwe piekło. Michaś, dotknięty uwagą babci, stanie w obronie swojego ojca, dziadek ze strachu uplasuje się po stronie babci, a ta nakręci się do stanu przedzawałowego, aż przyjdzie stary Biernat z koniakiem. Do tego dołączy histeria Piotrusia, który źle znosił awantury *per se*, i Ewy, która źle znosiła Piotrusia. Nie, nie chciałam tego przeżyć. Nie miałam już

na to siły. Byłam przepalona jak zapomniana kiełbasa na grillu.
Na wszelki wypadek znowu zemdląłam.

LIPIEC

WAKACJE

Na dobre ocknęłam się dopiero w raju, gdy ponad dwie godziny spóźniony czarter z Warszawy twardo wylądował na płycie lotniska San Juan Palma de Mallorca. Pilot zrobił to z taką gracją, że nawet znacznie bardziej martwy denat niż ja (po ostatnim numerze Michasia) w try miga powstałby z grobu.

Niestety, już na lotnisku mój ulubiony raj okazał się piekłem na ziemi. Od razu przypomniałam sobie, dlaczego tak starannie unikałam Majorki w lecie, wybierając się tu raczej późną wiosną albo wczesną jesienią, a najchętniej w zimie. Oraz dlaczego z końcem czerwca rezydenci masowo uciekali do Europy, zostawiając na trzy miesiące wyspę wakacyjnym najeźdźcom; milionom turystów *all inclusive*, hordom zalkoholizowanych Angoli w Magaluf, niemieckim proletariuszom w Arenalu i otyłym rodzinom (z wychowywanymi bezstresowo bachorami) na każdym kroku.

I dzisiaj, dziesiątego lipca, nie było inaczej. Po odczekaniu trzech kwadransów na bagaż, w towarzystwie licznych przedstawicieli wyżej wymienionych gatunków oraz polskich dzieci ryczących od samego wylotu z Okęcia, a następnie po odstaniu godziny w zdenerwowanej i spoconej kolejce do wypożyczalni Diamond Cars, najtańszej, jaką znalazłam, zasiadłam za kierownicą pomarańczowego tipo, który nie zasługiwał na miano nawet nieoszlifowanego diamentu. Kosztował za to dokładnie dziesięć razy tyle, co przyzwoity golf poza sezonem, no, ale przyjemność

utknięcia w wakacyjnym korku na obwodnicy Via Cintura jest widocznie warta każdych pieniędzy.

Brylantowy pojazd nie posiadał klimatyzacji, za to na jego rozgrzanej masce można by było usmażyć stek, i to dobrze wypieczony. Powietrze na czerwonych światłach falowało gorącem, a ja wachlowałam się mapką, którą wręczył mi zniecierpliwiony pracownik wypożyczalni. Do niczego innego i tak by się nie przydała, znałam w końcu wyspę na pamięć, co mnie uratowało, pozwalając w miarę szybko dotrzeć do Amapoli drogami, których nie ma na turystycznej mapie. Jechałam przez wzgórza Genowy ulicami stromymi jak Giewont i dziurawymi jak w Polsce, potem nielegalnym skrótem za San Augustin i nigdy nieoddanym do użytku tunelem za Bendinatem. Potem jeszcze szutrówką, kawałek pod prąd i za chwilę, za drugim zakrętem, wyłoniła się nasza Amapola. Zaparkowałam na gęsto zastawionej autami ulicy, na jedynym pustym miejscu przed bramą z krzywo przywieszonym przez Zdenka napisem *No aparcar*^[1], dumna, że mnie zakaz nie dotyczy.

Mimo upału wczesnego popołudnia w ogródku pod figowcami siedziało kilka osób, a między nimi uwijała się seksowna blondyna w fioletowej mini. Na mój widok Ivanka odstawiła tacę i wybiegła przed kawiarnię, by już na ulicy wyściskać mnie całą swoją skąpo odzianą osobą. Pachniała od lat tak samo, swoimi ukochanymi perfumami Beverly Hills i równie umiłowanym calvadosem na kostce lodu.

– Magdalenka, jak dobrze, że jesteś! Mamy tyle pracy, pomożesz nam w kawarnie!

Nie były to słowa powitania, które chciałam usłyszeć w pierwszym dniu mojej zagranicznej duchowo-cieleśnej rekonwalescencji, ale jak mawiał Marek, była „to w końcu też moja kawiarnia”.

Resztkami sił wtargałam walizkę na piętro do pokoju Tamaszka. Od mojego marcowego pobytu niewiele się tu zmieniło; sterta „Playboyów” przy łóżku może trochę urosła, a Pameli wysiadły baterie, bo wskazówki zegara zastygły na jedenastej. W łazience kolekcja kosmetyków

powiększyła się znacząco, więc z trudem znalazłam miejsce na swoje kremy *anti-aging*, odżywki pod oczy i maseczki na szyję. W Tamaszka wieku nie posiadałam nawet jednej dziesiątej tych wszystkich jego maści i smarowideł, jakoś wystarczył mi krem Nivea z kiosku „Ruchu”, płyn wysuszający z Izisu i niebieska mascara z Peweksu. I pomyśleć, co by było, gdyby Tamaszek był dziewczynką, choć, z drugiej strony w dzisiejszych czasach nic nie jest oczywiste.

Zrzuciłam z siebie ubranie, awaryjnie spięłam włosy własnymi stringami i weszłam pod lodowaty prysznic. Co to za, nomen omen, czysta rozkosz w upalny dzień! Doprawdy nie wiem, jak mogłam kilka lat temu spędzić moje pierwsze dni na Majorce w domu, w którym z kranów leciał wrzątek, a po kuchni chodziły karaluchy. Pewnie po czterdziestce próg tolerancji na świat znacznie się obniża.

Zmęczenie, upał, wrzaski bezstresowych bobasków i długa podróż w końcu spłynęły do kanalizacji, a ja niczym Wenus z mydlanej piany wyszłam zawinięta w kusy ręcznik do pokoju w poszukiwaniu Tamaszkowego szlafroka. Czułam się prawie jak nowo narodzona i teoretycznie mogłam znowu przenosić góry, a przynajmniej brudne naczynia do kuchni.

– Jaka ty si bila! Potrzebujesz udielat tan! – krzyknęła Ivanka, jakby zobaczyła ducha.

– I trochę schudnąć też muszę! Zobacz! – Chwyciłam w dwa palce skromną (ale zawsze) oponkę na brzuchu. – Tak wyglądają stres, kortyzol i za mało seksu! Zawsze tym samym się to kończy, tłuszczem!

– Nerozumim! – Ivanka wybałuszyła oczy, aż grubo utuszowane rzęsy zostawiły czarne ślady pod wyskubanymi brwiami. – A co z Markiem?

– No właśnie nic. Ani czasu, ani seksu, ani fantazji. – Westchnęłam i wróciłam do łazienki, bo nie chciało mi się tłumaczyć rzeczy, których sama nie rozumiałam.

Zamiast tego dokładnie obejrzałam się w lustrze i moje chwilowo lepsze

samopoczucie zniknęło w czarnej dziurze głębokiego niezadowolenia. Skórę miałam szorstką i suchą, a brak precyzji w pośpiesznym operowaniu depilatorem na bladych łydkach okazał się zaskakująco widoczny w hiszpańskim słońcu. Kilka centymetrów zbędnego boczku narosło w miejscu dawnej talii, a na ramionach pozostało już tylko sflaczałe wspomnienie po bicepsie. Ciemne podkówki pod zaczerwienionymi oczami i włosy, jak to mówią Niemcy, w kolorze psiego gie, dopełniały całości. No i bonus w postaci spuchniętego haluksa. W sumie nie powinnam się dziwić, że ten całokształt nie inspirował Marka do miłosnych uniesień. Ale żeby choć ze mną rozmawiał i, co może ważniejsze, słuchał ze zrozumieniem.

STOLIK VIP

Całe popołudnie biegałam (odczuwalne dwa tysiące spalonych kalorii) z tacą na trasie kuchnia–taras–kuchnia, za co otrzymałam w sumie osiemnaście euro, pięćdziesiąt centów napiwków, kilka miłych słów oraz wizytówkę od jakiegoś desperata. Całkiem niezły wynik jak pierwszy dzień wakacji i pozostałe, niezbyt sprzyjające okoliczności.

Przy okazji poznałam stolik VIP „zarezerwowany dla stałych gości”, *novum*, które Ivanka wprowadziła już zeszłej jesieni, niezwykle zadowolona z faktu, że ma tak wiernych klientów. Codziennie zajmowali oni ten sam duży stół, dyskretnie schowany pod palmą, ale dający widok na całą kawiarnię, co podobno bardzo sobie cenili. I codziennie Ivanka stawiała na nim cztery kieliszki do wina, dwie popielniczki i tabliczkę z napisem „Reservado”.

Stali goście zaczęli schodzić się po obiedzie. Najpierw, a było pewnie przed trzecią, usiadła przy nim około czterdziestoletnia kobieta i natychmiast zapaliła papierosa. W ciągu niespełna dwudziestu sekund, gdy nalewałam jej pierwszy kieliszek wina, zdążyła mi opowiedzieć (nie odrywając przy tym wzroku od ekranu swojego laptopa), że niedawno rozwiodła się z „majorkańskim skurwysynem” („szkoda słów na opisywanie

tej nacji”), przez którego wspólna córka, z natury rzeczy dziecko w połowie niemieckie, zmuszona jest do nauki katalońskiego w hiszpańskiej szkole po drugiej stronie ulicy i że znów potrzebuje *au pair*, bo „najnowsza pomoc też okazała się kurwą”.

Przełknęłam jej bezpośrednią komunikację i uprzejmie rzuciłam okiem na otwarty profil nowej kandydatki z Rumunii.

– Może lepiej Polkę? Nie będzie przynajmniej miała kłopotów z formalnościami...

– Polkę? Polkę to ja już miałam! Mieszka teraz w MOIM domu z Miguelem, MOIM mężem!

Od razu stało się jasne, że przyjaźni między nami nie będzie.

O wpół do czwartej pojawił się ogromny siwy mężczyzna, który, jak chętnie i sprawnie opowiedział, całe życie spędził w Azji, a na starość (po tym jak piąta żona, w tym trzecia Tajka, puściła go w trąbę) przeniósł się na Majorkę („o tym mieszkaniu, na szczęście, suka nie wiedziała, w ogóle nie wiedziała, że jest taka wyspa na świecie, cha! Cha!”). Mieszkał niedaleko („dwie minutki spacerkiem”) i wpadał do Amapoli codziennie. „Ivanka to teraz moja rodzina!” – powiedział, gdy była obok, a ona za to pocałowała go w pomarszczone czoło. A gdy sobie poszła, szybko spytał, czy przypadkiem nie jestem jej siostrą. Nie byłam, więc nie zamierzałam całować go w pomarszczone czoło. Niemka po przyjściu Ogromnego bardzo się ożywiła i nawet zamknęła laptop, choć facet miał jakieś sto lat, no, może siedemdziesiąt. Okazał się jednak wesołym kompanem do picia i sypał anegdotami ze swojego długiego życia w Bangkoku i Singapurze, rozbawiając przy okazji szwajcarskich turystów przy sąsiednim stoliku. Chcąc uprzejmie zagaić rozmowę, zapytałam, czy może jest Niemcem, bo mówił całkiem bez akcentu.

– *Bitte?* Chcesz mnie obrazić?! Jestem Holendrem! – uniósł się, również fizycznie, z krzesła, aż zmalalałam ze strachu.

Konwersacja od razu przestała się kleić, więc pilnie udałam się do kuchni. Gdy wróciłam, siedziała z nimi osoba, która na pierwszy rzut oka

wydała mi się znajoma. Takich twarzy się nie zapomina. Pani Pofastrygowana. Przyszła oczywiście z pieskami, którym przyniosłam kostki lodu, a Ivanka, niepytana, poleciała po drugą flaszkę wina, choć Holender z Niemką jeszcze nie dokończyli pierwszej.

– Ona musi mieć własną! – szepnęła. – Ale to bardzo, bardzo słodka osoba! Zobaczysz!

O czwartej Niemka się pożegnała (moim zdaniem, wyraźnie wstawiona), bo nadszedł czas, by odebrać córkę z wakacyjnej świetlicy, a jej miejsce zajął Zdenko, który przyszedł trochę umorusany, prosto z portu. Jak na razie był jedyną osobą przy tym stole, która kalala się tu jakimkolwiek zarobkowym zajęciem. Ivanka natychmiast się do nich dosiadła i ku memu zdziwieniu wytrąbiła (będąc przecież w pracy) dwa solidne wina. Pofastrygowana Lena w milczeniu, ale systematycznie i elegancko opróżniała swoją butelkę, a pieski zasnęły pod stołem zmęczone upałem. Holender mówił coraz mniej, a drzemał coraz więcej, Zdenko zbierał się na nocny rejs, który cenił jako wyjątkowo dobrze płatną fuchę, Lena zaś tępo patrzyła w kieliszek, chyba dziwiąc się, że znów jest pusty. Szybko obliczyłam, że przez dwie i pół godziny wypili w sumie trzy i pół butelki wina, zapełnili sześć popielniczek i zjedli cztery miseczki gratisowych fistaszków. Nie zapłacili rachunku i nie zostawili napiwku. Ale Ivanka była szczęśliwa.

– To są moi przatele! Każdy den tu przychodzą! – pochwaliła się wieczorem, gdy przekręcała wiszącą na drzwiach ręcznie malowaną tabliczkę z *abierto na cerrado*^[2].

– Kosztowna znajomość! Może byś jednak coś z tym zrobiła. Wypili za trzydzieści euro, licząc po cenach hurtowych!

– Dielasz problemy! Promluwime o tom jutro!

POLSKO-CZESKIE SPRAWY DAMSKO-MĘSKIE

Późnym wieczorem usiadłyśmy na tarasie. Ja z nogami w misce z zimną wodą, Ivanka z butelką wina w jednej, a błyszczkiem w drugiej ręce.

Zapadła się w leżaku, a jej i tak skandalicznie krótka sukienka odsłoniła długie, opalone nogi aż do majtek, czerwonych jak lakier na paznokciach jej stóp, co w komplecie z podniesionym watowanym push upem biustem dawało obraz jednak zbyt wulgarny jak na „raz na zawsze ustalony” *image* naszej kawiarni. Musiała czytać w moich myślach lub zobaczyć moją minę, bo natychmiast wyjaśniła, że zarówno fioletowa (jak mak) mini, jak i czerwone (jak kwiaty maku) dodatki to nasze firmowe barwy.

– Ano widisz, wszechno w porządku!

Wcale nie w porządku, a i tak poczułam się jak wcielona dulszczyzna. Bez sensu się czepiam. Znałam przecież Iwankę wiele lat, a i tak za każdym razem musiałam się do niej od nowa przyzwyczajać. Ale gdy już przebrnęłam przez jej ekstrawagancje i moje uprzedzenia, ona niezmiennie okazywała się Samą Dobrocią i Ciepłem, najlepszą koleżanką pod słońcem (nie tylko) Majorki. Przypadkowo poznana pięć lat temu, na kursie hiszpańskiego w Santa Catalina, wyróżniała się spośród kursantów odważnym strojem i figurą klepsydry, dlatego wzięłam ją za czeską nianię, a nie poważną żonę niepoważnego Brytyjczyka i matkę dwóch chłopców. Mimo tych okoliczności, a następnie krwawego rozwodu i zbudowania ze mną kawiarnianego biznesu, nie straciła nic z rozbijającej wulgarności, która przy bliższym poznaniu okazywała się zupełnie niegroźna.

– To kto zaczyna? Ty? Opowiadaj! – oddałam jej pierwszeństwo, bo w tematyce damsko-męskiej Ivanka wyprzedzała mnie o kilka długości: były mąż numer jeden, niedoszły mąż numer dwa i obecny kochanek bez numeru, bo kochanków już dawno przestała liczyć.

Zwykle miała o czym opowiadać, ale o ostatnim z nich (a został nim nasz Zdenko, chorwacka złota rączka) mówiła krótko i bez zachwytów. „Wejście złatej ręki do sypialni” kosztowało ją bowiem zbyt wiele. Śniła przecież o ślubie z lokalnym milionerem o poszerzonych horyzontach, a nie o romansie z bałkańskim chłopem o stalowych mięśniach i urodzie Mister Propera, który zarabiał na życie, szorując cudze jachty i tylko okazjonalnie nimi powożąc. Lekkomyślnie przyzwoliła sobie na społeczną degradację,

obniżyła loty i ostatecznie odpadła od eleganckiego stołu matrymonialnej ruletki.

– To nema przyszłości! Neoženim se s Chorvatom! – Dopięła kolejny kieliszek wina i odpłynęła w marzenia o przebogatym Latynosie z dyplomem Universidad Politecnica de Madrid. Siedziała tak chwilę głęboko zamyślona, a ja nie mogłam jej pocieszyć. Bo czym? Spadkiem kosztów napraw bieżących w naszej firmie, dlatego że Zdenko pracował teraz jakby w barterze. No i w barterze dostawał też wino przy vipowskim stole...

– A ty? Jsi sztiastna?

– Nie wiem, czy jestem szczęśliwa... Z Michasiem mam same kłopoty, bo podobno taki wiek. Dorasta w bólach. A z Markiem... No cóż, chyba ciągle się kochamy, ale nadajemy na różnych falach, rozmijamy się. Mam z nim teraz mniejszy kontakt niż z rybkami w akwarium, których zresztą nie mam, bo nie wolno mi trzymać w domu żadnych zwierząt, poza myszą do komputera i kaczką do WC. Też podobno już ten wiek, a właściwie inny, on chyba się po prostu starzeje. Trudni są. I jakby przede mną uciekają, nie umiem ci tego wytłumaczyć.

– Ale to ty od nich utikasz! Ty wyjechałaś.

– Tak ci się tylko wydaje. Michaś pojechał z ojcem na wakacje, na cały miesiąc. Ma sobie wszystko przemyśleć i oczywiście się poprawić. I postawił mi jeden warunek – żadnych telefonów, mam mu dać spokój, bo to mu pomoże dorosnąć... Robert jeszcze zapłacił jakiemuś psychologowi z bożej łaski, żeby to potwierdził. A Marek...

Marek zadzwonił do mnie w ten wieczór, jak zresztą i każdy następny. Zawsze telefonował z wanny, bo miał wtedy wolną chwilę między joggingiem a gapieniem się w słupki na ekranie laptopa i szeleszcząc gazetą, relacjonował, co się u niego (czyli w firmie) wydarzyło (to samo co wczoraj), a gdy gubił wątek, wiedziałam, że właśnie zainteresował go głębiej jakiś artykuł w „Financial Timesie”, który i tak cały czas czytał

jednym okiem. Potem ja próbowałam opowiedzieć mu swój dzień, ale moje achy, ochy i marzenia szybko go nudziły, a przemyślenia i wnioski wyraźnie rozdrażniały. Za mało konkretów. Kończyliśmy te rozmowy z lekko kwaśnym posmakiem, który zapijałam kieliszkiem słodkiego likieru albo wytrawnego wina.

No i znalazłam się tam, gdzie kończy co druga Polka na wakacjach. Na zmywaku. To miałby Marek satysfakcję! Pani architekt myje gary, bo tak kocha Majorkę! A powinnam kochać jego, apartament w centrum i dom w Międzyzdrojach! Kawa nie wyklucza herbaty, ale Międzyzdroje na pewno!

Ganiałam w fioletowym fartuszkuz kuchni do gości i z powrotem, w tę czyste talerze, w tamtą brudne, resztki do kosza, naczynia do zmywarki, i tak w kółko. Codziennie obiecywałam sobie, że w końcu kupię krokomierz, przeliczę kroki na kilometry i okaże się, że jednego dnia doszłam do Barcelony i z powrotem. No, a przynajmniej do Palmy. Wydreptane kilometry, czyli spalone kalorie, były zdecydowanie najlepszą częścią tej brudnej roboty (chyba chudłam!), a obsługa „stolika VIP” bezsprzecznie najgorszą. Nie znosiłam tego! Nie znosiłam ich. Każdego dnia bardziej. Rozpijali Ivankę, nie płacili rachunków i byli nudni jak rumuński film bez napisów. Po trzech dniach repertuar azjatyckich anegdot Holendra się wyczerpał, Niemka wciąż się na mnie dąsała, a Pocerowana dalej nie uroniła ani słówka, przez co wzbudzała zaciekawienie. Moje również, więc Ivanka opowiedziała mi jej CV.

POFASTRYGOWANA

Dawno temu Lena, jeszcze jako młodziutka modelka z Ystad, poślubiła szwedzkiego milionera ze stalowej dynastii, i długie lata wiodła u jego boku spokojny żywot kobiety pięknej, luksusowej i próżnej. Nie chciała rujnować figury ciężami, więc zaadoptowali sierotki z Kaukazu, którymi zajęły się sprowadzone z Anglii nianie, a potem internaty. Któregoś dnia

Lena zaczęła się starzeć i pić albo pić i starzeć, Ivanka nie była pewna kolejności, aż w nie do końca jasnych okolicznościach znalazła się na stałe w jednym z ich licznych wakacyjnych domów, akurat w tym na Majorce. To było jakieś piętnaście lat temu, gdy Lena dawno przekroczyła czterdziestkę, więc sens jej istnienia stał się dla jej męża wątpliwy. Tenże zatroszczył się już tylko o to, by nie umarła z głodu (i pragnienia), ale Broń Boże, o nic więcej, zostawiając jej do dyspozycji dom i skromne apanaże.

Lena jeszcze jakiś czas obnosiła swoje platynowe roleksy i torebki z krokodylej skóry po deptaku w Puerto Portals, coraz pilniej rozglądając się za nowym milionerem, bo obcasy jej szytych na zamówienie we Florencji bucików dawno się zdarły. Ale obok niej spacerowały dwudziestoletnie laski bez toreb za pierdylion, za to z nogami do nieba, desperacją do Marsa i buzią świeżą jak brzoskwinka. Więc Lena na pięćdziesiąte urodziny poleciała do Barcelony i dała się pokroić raz, potem drugi, piąty, aż stała się karykaturą samej siebie, szmacianą laleczką, pozszywaną ze starych gałganków. Za to jej stary birkin nabrał szlachetnej patyny i zerkałam na niego z nieukrywaną zazdrością. Lena mimo wszystko trzymała pewien standard, znała swe granice i wypijała tylko jedną butelkę białego wina i ani kropli więcej. Szybko się tego nauczyłam i szanowałam, bo gdy pierwszego dnia automatycznie zaoferowałam jej dodatkowy kieliszek, wpadła w szal, że robię z niej pijaczkę.

PLAYA

Wieczorami lubiłam uciekać na pustoszejącą plażę. O tej porze słońce nie opalało już tak skutecznie, więc tłumy znikwały w hotelach, by zmyć z siebie kremy i olejki, pot, morską sól i szorstki piach, a potem zaprezentować na eleganckiej obiadokolacji w pakiecie świeżo spieczoną skórę na czerwonych ramionach. Wtedy ja przemierzałam całą zatokę, od Palma Nova aż po Cala Vinyes, albo jechałam daleko, za Palmę, aż na dzikie wydmy Es Trenc. „Powinna pani dużo chodzić boso, najlepiej po miękkim i nierównym” – radził przecież doktorek od mojego haluksa. Ten zresztą

miał się tu coraz lepiej, masowany piaskiem i uwolniony od ciasnych butów, przestał się czerwienić i boleć.

Delektowałam się względną samotnością i urodą kończącego się dnia. *Blue hour, l'heure bleu* czy jak jeszcze nazwano tę najpiękniejszą porę, kilka chwil między dniem a nocą. Słońce, schowane za horyzontem, maluje wtedy świat na niebiesko. Niebo, morze, plaża, domy i parasole, dachy i drzewa, wszystko przenika przez siebie i zlewa się w jedność, chabrową, granatową, stalową, gołębią, błękitną, niebieską, niebiańską, nieziemską. Ład, spokój, harmonia. Monochromatyczna cisza, która wpływa do oczu, do mózgu, do każdej komórki, zwalnia bieg świata, szykuje go do nocy.

To była moja medytacja, terapia światłem, kozetka u psychologa, aśrama, Atos i Bereza Kartuska w jednym.

Na plaży zawsze szłam po tej szczególnej linii, gdzie piasek nie jest ani zupełnie mokry, ani suchy, tam, gdzie stopy zapadają się dopiero po chwili, a jeśli stąpa się wystarczająco szybko i lekko, ślady na nim pozostają prawie niewidoczne, jeśli zaś idzie się wolniej, wtedy szybko wypełniają się wodą, aż następna fala znowu je wygładzi. To wymagało koncentracji, a jednocześnie uwalniało od nieznośnych myśli, od krakania matki, od tęsknoty za Michasiem, od gorzkich słów Marka. Oczyszczało umysł i masowało stopy. Czułam pod nimi ziarenka piasku, czasem ostrą muszelkę, patyk, kamyk, chłód wody. Cieszyłam się nimi, oswobodzonymi z doktora Scholla, ortopedy i całej mojej codzienności. Były teraz znowu piękne, a lakier w kolorze ugotowanego homara podkreślał ich opaleniznę, wystarczająco ciemną, by zaczęły wyglądać seksownie, ale jeszcze nie wulgarnie.

Altos, który przez tyle lat towarzyszył mi w spacerach, teraz wykręcał się chorym Wasanem, już na poły sparaliżowanym i wyniszczonym chorobą. Nie chciał zostawiać go samego i dopiero po długich namowach zgodził się raz na wspólny spacer blisko swego domu, po palmeńskiej plaży. „Muszę pozostać w zasięgu jego energii, żeby wiedział, kiedy wrócić” – tłumaczył wybór miejsca. „I nie wcześniej jak o siódmej, żeby mi

tych małp nie było na piachu!”.

Ucieszyłam się na widok chudego tancerza i poczułam, jak bardzo się za nim stęskniłam. Szedł swym tanecznym krokiem, ale dziwnie wyglądał bez psa, jakoś niekompletnie, niedoskonale, jak nie on. Czuł chyba to samo, bo z kieszeni jego skórzanych spodni wystawała smycz.

– Wziąłem odruchowo – uprzedził moje pytanie. – Gdzieś ty mnie zwabiła? Przecież wciąż jest ICH tu pełno!

Według mnie plaża była prawie pusta. Kilka par siedziało jeszcze wpatrzonych w słońce, zachodzące za widocznym na horyzoncie Portals Vells. Trzymali się za ręce, całowali albo robili zdjęcia, zauroczeni romantycznym widokiem.

– Zawsze jakieś małpy zostaną! – burczał Altos. – A sio, a sio!

– To są zakochani! Jeszcze wierzą w miłość. Wiesz, co to jest?

– A ty wiesz, *Prinzessin*? Siebie oszukasz, ale nie mnie! – Przystanął, położył mi ręce na ramiona i patrząc prosto w moje oczy, powiedział: – Pytałem Wysokie Moce! Nie jest dobrze, musisz nad tym pracować! Dostałaś wielki dar, a nie dbasz o niego!

– Chyba przesadzasz... Powiedz Mocom, że do tanga trzeba dwojga!

– Moce bardzo nie lubią pychy... Dziękuj im za to, co masz.

– Pieprzysz jak moja matka! Mam starzejące się ciało, starzejącego się faceta i zero kontaktu z jednym i z drugim. Niedługo tak się wyabstrahuję z tej sytuacji, że odleczę w kosmos jako bezpłciowa dusza...

– Chyba rogata!

– Pewnie tak. A jak Wasan? – Świadomość, że inni mają gorzej, nawet jeśli są to psy, czasem pomaga na chandrę.

Altos podrapał się po łysej głowie, wbił oczy w niebo, jakby szukał w chmurach odpowiedzi, i bardzo poważnie oznajmił:

– Nie wykluczam, że jeszcze za mojego życia Wasan odrodzi się jako mój syn. Być może jako afrykański wojownik, a nawet jako szaman! Znam jego duszę jak swoją własną, znam jej potencjał. To piękna dusza, wielki duch!

Wysokie Moce zabiorą go bezpośrednio do siebie i przechowają w kosmicznym puchu, nim znajdą dla niego odpowiednie ciało. Godne ciało. Jednak bardziej skłaniam się ku teorii, że Wasan odrodzi się jako mistrz flamenco! Tu, w Hiszpanii. Co o tym myślisz, *Principessa*?

– Mówisz poważnie? Nie, nie wierzę!... – Wybuchłam śmiechem. Popatrzył zdumiony.

A ja śmiałam się coraz głośniej. Długo i histerycznie, głęboko i oczyszczająco, pełną piersią, przeponą, brzuchem, całym ciałem, i czułam, jak ulatują ze mnie najmniejsze cząsteczki warszawskiego stresu, atomy Michasia i okruchy Marka, smród szkoły i weterynaryjnej przychodni, krakanie matki i podłość Piotrusia, pseudohiszpańskie wille i amerykańscy Mulaci, toksyny i kwaśne złogi, wszystko, wszystko do ostatniego pyłku wyszło ze mnie i z wiatrem uniosło się daleko, w morze, za horyzont. Zaczęłam oddychać, napełniać ciało tlenem, jodem, słońcem, zaczęłam znowu żyć.

– Jak ja cię, Altosiu, uwielbiam! – Rzuciłam mu się na szyję. Złapałam go mocno i trochę nim zakreśliłam. Natychmiast zeszywniał, nieprzyzwyczajony do fizycznej bliskości. – Nawet nie wiesz, jak mi to dobrze zrobiło! Całe wieki tak się nie śmiałam! Bardzo mi dzisiaj pomogłeś! Czuję się teraz taka lekka! Taka czysta!

– Nic nie dzieje się bez powodu! Widocznie Moce uznały, że warto dla twojego szczęścia poświęcić odrobinę czci mojego psa i wybaczyć ci to zachowanie – powiedział całkiem poważnie.

– Powiedz, że żartujesz! Chyba nie zwariowałaś doszczętnie?

– A kto określa, co jest wariactwem? Co jest rzeczywistością, a co marzeniem? Co jawą, a co snem? Co miłością, a co rutyną? Szczęściem albo jego brakiem? Tylko ty, *Prinzessin*. Ja. Każdy dla siebie. Patrzymy na to samo i widzimy co innego. Doświadczamy tych samych spraw, ale czujemy je inaczej. Bo wszystko jest złudzeniem, percepcją, widzeniem. Spójrz na siebie inaczej, a zobaczysz inną osobę. Może lepszą, a może nie. Dlatego każda ocena jest nieprawdziwa i niepotrzebna. Czy dusza Wasana jest

mniejsza od twojej? Jak chcesz je porównać, skoro obie są nieskończenie ogromne i tak samo wypełnią przestrzeń w kosmosie, gdy po ciele nie pozostanie już nic.

[\[1\]](#) (hiszp.) – Nie parkować!

[\[2\]](#) (hiszp.) – otwarte/zamknięte

DRUGI TYDZIEŃ

Zamieniłam kilka słów z Pofastrygowaną! Któregoś dnia skomplementowałam jej spatynowanego birkina i żeby uwiarygodnić swe słowa, pochwaliłam się, że też mam torebkę od Hermèsa, ale, niestety, nie taki kultowy model.

– *Great!* – Uśmiechnęła się jakby ze współczuciem.

– Dostałam od byłego męża, w pierwszym małżeństwie... – dodałam, na co jej usta zmieniły kształt z uśmiechu Jokera na smutną podkówkę. Chyba powiedziałam coś niestosownego, więc dygnęłam jak głupia pensjonarka i odeszłam od stolika.

– Hej! – zawołała. – Ile ty masz lat?

– Hm... czterdzieści...

– To nie trać tu czasu! Wyjedź stąd jak najprędzej! Nic tu po tobie... – powiedziała już jakby bardziej do siebie.

Zabrzmiała trochę jak czarownica rzucająca urok, aż przeszły mnie ciarki. Nic tu po mnie? Przecież ja niczego nie chcę, niczego i nikogo tu nie szukam. Już nie. Chyba nie. Zaczęłam się bać Pofastrygowanej, a i ona patrzyła na mnie teraz mniej chętnie. Czyżby uważała mnie za konkurencję w swoim Klubie Niechcianych Kobiet? Nie zamierzałam brać udziału w boju o ostatniego w miarę normalnego singla na tej wyspie. Takiego, który nie chciał być moim „utrzymankiem”, nie był „samodzielnym emerytem” i nie „cierpiał na chroniczny kaszel”, bo właśnie

od takich kandydatów roilo się na Majorce, co całkiem szczerze pisali o sobie w ogłoszeniach towarzyskich lokalnej prasy dla expatów.

No i bardzo nie chciałam stać się Pofastrygowaną.

Postanowiłam jej unikać. Zamykałam się w kuchni i całymi godzinami gotowałam. Dzięki temu ozdobiona fioletowymi makami karta dań wydłużała się każdego dnia, a Ivanka fukała, że nie może się już w tym wszystkim połapać. Eksperymentowałam z naszym flagowym tortem, ulepszałam makowe buchty i nadziewałam pączki figową konfiturą. Wymyśliłam sernik z pomarańczami i sałatkę z płatkami maków. O świcie jeździłam do Santa Catalina na targ, kupowałam jadalne kwiaty, dziko rosnące zioła, warzywa, których nazw nie znałam w żadnym języku, oliwki wielkości jajek i kapary ogromne jak rajskie jabłuszka. Na wystawionej na taras zielonej tablicy codziennie rano wypisywałam fioletową kredą *Menu del Día*, dania dnia: sałaty, quiche, a nawet kompletne lunche z kawą i deserem za dziewiętnaście euro. Pora obiadowa stała się prawdziwą *rush hour* – od czternastej stoliki oblegały chude elegantki, które po niskokalorycznej sałatce, zamiast białej kreski w toalecie, wciągały przy stole małe makowy torcik z lunchowego pakietu, przekonane o pokrewieństwie naszych maków z opiatami, które, jak wiadomo, odchudzają, więc zamawiały jeszcze kawałek na wynos.

Ale w „niebieskiej godzinie” wciąż uciekałam na plażę i wydeptywałam na piasku długie ścieżki moich bosych stóp.

TRZECI TYDZIEŃ

Miałam coraz więcej pomysłów, energii i przekonania, że jednak nie zostanie po mnie NIC, jak znikające ślady na piasku, tylko COŚ. Na przykład moje autorskie makowe magdalenki z cytrynowym lukrem, pakowane w specjalnie zaprojektowane pudełka w kształcie fioletowych muszli (jeśli ktoś nam je w ogóle wyprodukuje). Albo letnia sałata Kwitnąca Łąka, z polnych kwiatów, górskich ziół i koziego sera z Menorki.

O dziwo, mimo dni spędzonych w kuchni i wielu oblizanych ze słodkiego kremu łyżek nie przytyłam ani grama, a wskazówka na Tamaszkowej bokserskiej wadze przesunęła się nawet bliżej „kategorii koguciej”. Chudłam i już nie wyskakiwałam spod prysznicą wprost do bokserskiego szlafroka, tylko pomału i dokładnie, bez bólu przeglądając się w lustrze, wcierałam w wilgotne ciało olej migdałowy z Bennisalem, a w twarz żenująco drogie serum wartości jednego dobrego buta. Oponka na brzuchu topniała, wilgotne powietrze wygładziło mi skórę, a słońce musnęło ją apetycznym złotem. Włosy na głowie nabrały szlachetnej, popielatej barwy, a Altos namówił mnie na depilację całej reszty w salonie „de Brazil”. Nawet Ivanka zauważyła postęp. „Takie krasne nohy musisz pokazywać! Popróbuj to!” – chwaliła i wciskała mi kusą sukienkę z prześwitującej koronki. Patrzyłam na „krasne nogi” i zaczynałam je lubić. I zaczynałam lubić siebie.

Doktor Dziubak-Kalińska też musiała telepatycznie wyczuć poprawę mojej kondycji, bo natychmiast postarała się, bym jednak za daleko nie odleciała na skrzydłach dobrego samopoczucia. Zaprosiła Ewę na Majorkę, oczywiście w moim imieniu i bez uzgodnienia ze mną, bo po co.

– Wojtek nigdzie jej nie zabiera, zawsze tylko te wakacje w Wildze. Jak w ogóle można jeździć pod Warszawę? Wół by się uśmieł! Szczególnie po tym, co jej zrobił z tym ślubem!

– Dziwisz się, że nie chciał drugiego?

– No tak, bo wolał trzeci samochód zamiast wesela! Ciekawe, po co im aż trzy? Trzy lata płot, trzy płoty kot! – z gardła matki sączył się jad, w dodatku bez sensu. – Niech sobie dziewczyna odpocznie po tych przeżyciach. Należy się jej jak psu mandolina! Na pewno znajdzie się dla niej miejsce w tym waszym dużym domu.

– Jestem teraz naprawdę zajęta. Mamy w Amapoli mnóstwo pracy...

– Ma wyrzucić bilet do kosza? Przecież nie musisz się nią cały dzień zajmować... Poopala się, odetchnie od codzienności... Daj krowie w żłobie,

ona da i tobie!

– No dobrze, mam. Kiedy?

– Za trzy dni. W środę.

W przeciwieństwie do matki Marek konsekwentnie wykazywał się wrodzonym brakiem intuicji i nabytym nadmiarem powściągliwości, z czego zresztą był dumny. Na spontanicznie wysłanego z łazienki MMS-a z moją nową i zupełnie nagą opalenizną oraz prawie płaskim brzuchem odpisał: „Zobaczę, jak przyjedziesz”. Zabrzmiało to jak odkaszlnięta flegma w domu spokojnej starości! „Zobaczę, jak przyjedziesz”, a tymczasem zjem kleik ryżowy, a potem pani pielęgniarka zrobi wszystkim dziadkom lewatywę. Aaaaaaaa! Ratunku!

Paco odpisałby „You aRRre so sexy, I want to fuck you now!”. Czy mam przekierować tego MMS-a do niego???

Marek, do cholery! Obudź się, nim wyląduję w jakimś obcym łóżku z KIMKOLWIEK, kto będzie mnie chciał. Naprawdę CHCIAŁ! Pożądał! Oszaleje na widok moich cycków, prawie płaskiego brzucha oraz opalonych nóg i przeleci na miejscu.

„Zobaczę, jak przyjedziesz”!!! Co za ikra! Co za jaja!

Nie wiem, co wykrzesaloby z niego choć odrobinę entuzjazmu? Może pakiet akcji z Rynków Wschodzących?

KOLACJA

Niepotrzebnie pomyślałam o Paco Bandalu! Musiał to wyczuć telepatycznie albo zapłonęły mu uszy i dostał uporczywej czkawki, tak czy owak, zwęszył moją obecność, a co dziwniejsze, moją swoistą gotowość. Któregoś dnia jak grom z jasnego nieba zadzwonił, zaprosił mnie na kolację, a ja się prawie bez wahania zgodziłam!

– Tylko nic nie mów Ivance! To będzie nasz sweet secRRRet! – sapał do telefonu.

– Ale czemu mam nic nie mówić? Chcesz o niej porozmawiać? Myślę, że

już za późno... Ma kogoś i jest szczęśliwa.

– *!No, guapa*^[3]! Chcę rozmawiać o sobie. SpRRRawa jest poważna i tylko tobie chcę o tym powiedzieć! Ty jedna jesteś ze mną szczerą! Jesz teraz mięso? Masz ochotę na dzika czy gołębia? – spytał z troską, bo kurczaki czy wieprzowinę uważał za truciznę.

Nie wiem, dlaczego dałam namówić się na późną, jak dla mnie, i wczesną, jak dla tubylca, kolację o dwudziestej pierwszej trzydzieści – staram się o tej godzinie nie jadać, a już na pewno nie dzikie zwierzęta. Ale gdy podjechał pod Amapolę swoim ogromnym pikapem, który pachniał swojsko sianem i końskim łajnem, powitałam go serdeczniej niż zwykle.

– Can you feel it? Pachnie ogieRRRem. I seksem! – wyjaśnił, bo pewnie się skrzywiłam, siadając na skórzanym fotelu. – You aRRRe beautiful, guapa, jak zawsze! Uwielbiam twoją szyję, jest taka piękna, długa, ładnie wyprofilowana, elegancka, *preciosa*^[4]! Mogę dotknąć?

Może mam szyję jak andaluzyjski koń, skoro go tak kręci?

– Możesz mi na niej nawet zapleść warkocz? Grzywę mam wystarczająco długą... – odparłam, ale nie zrozumiał dowcipu.

Jednak gdy dojechaliśmy na miejsce i dokładniej mu się przyjrzałam, musiałam przyznać, że Paco niezwykle się wyrobił, a rozwój personalny i postęp cywilizacyjny, jaki się w nim dokonał, były wręcz imponujące. Byłam mile zaskoczona wyborem lokalu, mając wciąż w uprzejmej pamięci naszą pierwszą, jedyną i nieudaną randkę kilka lat temu, kiedy to zabrał mnie do lokalnego wyszynku, gdzie w świetle jarzeniówek ssał miejscowy przysmak – wędzone świńskie uszka, a potem wydłubywał szczecinę z spomiędzy zębów (a przy deserze zaproponował rychłe skorzystanie z jego rewelacyjnego materaca „foRR cosmonauts”). Tym razem restauracja była przytulna i twarzowo oświetlona, co nawet kilkakrotnie podkreślił. Wnętrze, stylizowane na andaluzyjską hacjendę, tonęło w półmroku i w zwisających z sufitu warkoczach plecionych z papryk

i główek czosnku, a na stolikach stały lampki oliwne litościwie wygładzające wszelkie dermatologiczne niedoskonałości. A mimo to dojrzałam na jego twarzy głębokie zmarszczki, nawet ostre bruzdy, których wcześniej nie było, i pomyślałam, że dodają mu dużo uroku i męskości. Pierwszy raz coś mi się w nim spodobało. Gdy nachylił się do mnie, by wytłumaczyć różnicę między *porc negre*^[5] a zwyczajną hiszpańską świnia, poczułam przyjemny zapach szlachetnych perfum.

Piliśmy czerwone wino, jedliśmy argentyńską wołowinę i rozmawialiśmy jak starzy przyjaciele i wtedy uświadomiłam sobie, że od wieków nie byłam sama na kolacji z żadnym facetem, Marka oczywiście wyłączając. Staralam się policzyć, ile to lat od ostatniego *tête-à-tête* minęło, ale wino było szybsze, szumiało już w głowie, a ja poczułam się jak na wagarach od paramańskiego życia. Czyli akurat dobrze. Bardzo dobrze. Jakoś młodo i atrakcyjnie. Wręcz pięknie, bo miałam wrażenie, że od ostrych przypraw policzki zapłonęły zdrowym rumieńcem, a oczy zabłysły od czerwonego wina. Ach, co za miły wieczór!

Kelnerka, ładna Hiszpanka, przyszła zebrać talerze.

– *You will be fucked tonight!* – powiedział wtedy Paco, a ja zdziwiłam się, że mówi do niej po angielsku, i to słowami, o których dopiero co niewinnie i czysto teoretycznie sobie pomarzyłam. Nie były one w jego ustach ani niczym nowym, ani czymś specjalnym, ale tak oczywiste podrywanie kelnerki w mojej obecności wydało mi się ciut niestosowne. Nawet w Hiszpanii i nawet w jego wykonaniu.

Dziewczyna jednak nie zareagowała, nawet nie drgnęła jej powieka, za to mnie nagle zrobiło się gorąco. Bardzo gorąco. Zorientowałam się, że kelnerka nie zna angielskiego, a wypowiedź była skierowana do mnie i, co gorsza, spodobało mi się to. Może i chętnie byłabym „fucked tonight”, tylko kto to ma zrobić? On? Mimo butelki wina wciąż był za mało pociągający. Szkoda! Ale, o dziwo, słowa te, od lat niesłyszane, wywołały w moim organizmie automatyczną i natychmiastową reakcję, która silnym dreszczem od miejsca, gdzie łączyłam się z siedzeniem krzesła, przeszła aż

do samego mózgu i rozpałała w nim dymiącą każdym otworem chuć. Od wieków nieodczuwaną. Gdyby tylko to nie był Paco... No trudno, to był Paco. A gdyby go tak wyizolować z tego negatywnie zabarwionego uczucia i skupić się na seksie w czystej, bezosobowej postaci? I dać się przelecieć *tonight*? Ale czy to zadziała tak, jak obiecywała Maria Pinczerek? „Niech pani znajdzie sobie kochanka”... Czy instrumentalnie potraktowany facet jest już kochankiem, czy tylko żywym dildem? I to niekoniecznie w wersji, którą lubię... Powinnam to z nią wyjaśnić. Nie, no mowy nie ma, żebym się przespała z tą kudłatą małpą! Marek, ratuj! Mocne to wino!

– Słuchałaś mnie w ogóle? – zapytał. – I co na to powiesz, że mam syna?

– Co???

– Powiedziałem ci top secRRRet. *Nobody knows!* Urodził się tydzień temu. Nawet moja matka nie wie! *I want to touch you now!*

Nim jednak do tego dotykania doszło, a raczej nie doszło, powtórzył jeszcze historię o wpadce ciąży z chińską modelką, która właśnie powiła mu syna, bo jako katolik nie zgodziłby się na aborcję.

– A ona nie chciała usunąć?

– Nie pytałem.

– I co? Ożenisz się z nią?

– Chyba tak. *Soy católico*^[6]!

Jako ojciec tao-katolickiego dziecięcia i dżentelmen, prosto z restauracji odwiózł mnie do domu, pewnie też dlatego że u niego, na kosmicznym materacu, spała Chinka w połogu. Wymieniliśmy pod furtką dwa buziaki w policzek, a Paco krzyknął jeszcze za mną, czy wiem, że jestem veRRY sexy.

No chyba właśnie sobie przypomniałam...

Gdy niedługo potem leżałam (sama) w łóżku (swoim) z argentyńską wołowiną w brzuchu i hiszpańsko-chińskim sekretem w sercu, gorący dreszcz powrócił. Myślałam o jego bezczelnych słowach, prostych, ale silnych. Bezpośrednich, ale nieraniących. Zaskakujących, ale szczerych.

Zwyczajnych i nadzwyczajnych. „You will be fucked you tonight”. Paco jednym zdaniem dokonał cudu. Skuteczniej niż Maria Pinczerek. Obudził mnie z seksletargu.

Tylko *timing* trochę się nie zgadzał. Następnego dnia przylatywała Ewa, a nie Marek. A tak chciałabym mu pokazać, że jestem veRRRy sexy!

JAJA NA TWARDO

Wczorajszy wieczór podziałał na mnie niczym magiczna różdżka.

Od samego rana byłam dziwnie nakręcona. Ubrałam się w moją jedyną sukienkę, Inianą szmizjerkę, długo robiłam makijaż, biegałam bez celu po kuchni i na niczym nie mogłam się skupić. Ivanka z uśmiechem obserwowała mnie znad gazety, święcie przekonana, że zmądrzałam i w końcu odbyłam jakiś fantastyczny seks z tajemniczym adoratorem. Nie pisnęłam jednak ani słowa, zobowiązana chińską tajemnicą oraz strachem, że Ivanka wygada się Markowi.

W drodze na lotnisko zatrzymałam się przy Centro Comercial i wiedziona niewidzialną, bardzo mocno napiętą nitką udałam się wprost do działu z muzyką. Miałam kilka minut, żeby chwycić kilka płyt, więc stanowczo za mało, by dokonać racjonalnego wyboru. Mój wzrok natychmiast padł na półkę z hiszpańskim popem, bo na okładkach jeden bard piękniejszy był od drugiego. Tak, chciałam, żeby śpiewał do mnie jakiś José albo Manuel, bo podświadomość podpowiedziała mi, że w środku musi być dokładnie tyle seksu, co na obrazku. Bardzo chciałam, żeby seksowny Alejandro hitem tego lata *Te quiero esta noche*^[7] utrzymał mnie w cudownie sensualnej nirwanie z poprzedniego wieczoru. Wrzuciłam do wózka kilku pięknych Latinos w ofercie po pięć euro i pośpieszyłam do kasy, bo Ewa wylądowała już kwadrans temu. W samochodzie włączyłam pierwszą płytę i gorący Hiszpan zaśpiewał, że chce *hacer el amor contigo*^[8] i że mnie bardzo pożąda, a ja rozanielona nuciłam te wyznania razem z nim. Od kilkunastu godzin byłam bowiem pewna, że pożądanie mojej

osoby przez osoby trzecie jest jak najbardziej możliwe. Mimo czterdziestki i haluksa. *Te quiero... tu cuerpo... besa me*^[9]... – słabe głośniki wypełniały wnętrze oranżowego tipo dźwiękami seksu i miłości *à la iberico*. A za szybą gorące słońce, turkusowe morze i błękit bezchmurnego nieba. Och, życie jest piękne! Ja też!

Ewa czekała przed budynkiem przylotów, z brązową torbą podróżną na wózku i reklamówką w ręku. Ubrana była w beżową sukienkę tubę, która od pulchnych ramion aż po masywne łydki podkreślała nadprogramowe kilogramy i programowy brak treningów. Na plecy zarzuciła ażurową chustę z seledynowej włóczki, a na głowie miała plażowy kapelusik, w którym nawet Jennifer Lopez wyglądałaby strasznie. Do ortopedycznych sandałów założyła koronkowe skarpetki z falbanką, „bo inaczej się robią odgniotki”.

Gdy wsiadła do samochodu, z reklamówki wydobył się smród siarkowodoru.

– To jajka! – usprawiedliwiła się szybko. – Nie zdążyłam zjeść wszystkich kanapek, a przecież wiesz, co w tych czarterach dają. Nigdy nie wiadomo, co się trafi, a potem salmonella gwarantowana. Na przykład moja ciotka, jak leciała w zeszłym roku do Portugalii, to tak się zatrzymała, że pierwszy tydzień leżała w pokoju, a potem...

– Dobrą miałaś podróż?

– Cały urlop miała zmarnowany! No właśnie ci mówię, posłuchaj! Rano zrobiłam sobie trzy kanapki, z wędliną nie zrobiłam, bo upał, wiadomo, może się zepsuć... Możesz trochę ściszyć tę muzykę? Nie lubię hałasów! Sama się nie słyszę! No więc wyszłam rano z domu i okazało się, że...

– Zobacz lepiej, jaki widok! – Co mnie obchodzą kanapki w dobie odrodzenia mojej seksualności?

Obrażona wyjęła telefon.

– Wojtuś? To ja! – krzyczała co siłą, bo Wojtuś był przecież niewyobrażalne dwa tysiące kilometrów dalej. – No to właśnie

wylądowałam! Okropny lot mieliśmy, bardzo bujało, bardzo! Nie wyobrażasz sobie! A najgorzej nad oceanem. Co? No wiem, że to morze. Obiad zjadłeś? Co? Jeszcze nie? A wiesz, co masz zjeść? Tak, dokładnie, tę pieczeń z dolnej półki i ogórkową. Nie, pomidorowa jest dla dziewczyn. No to pa! Dzwonię do Elwiry! – Ledwo złapała powietrze. – Mama mówi! No, wylądowałam! Ładnie tu jest, palmy rosną, pogoda jest... Zjadłaś obiad? Pomidorowa była dla ciebie. A gdzie Gusia? Zjadła zupę? Jak to, nie wiesz? Ledwo wyjechałam, a ty nic nie wiesz! No dobrze, może Ania wie. Już do niej dzwonię! Powiedz Gusi, że wylądowałam. No i ojca pilnuj, wiesz!

– Jesteśmy na miejscu! Wsiadka!

– Co? Tak szybko?

Sama się zdziwiłam, chyba jeszcze nigdy nie przejechałam w takim tempie z lotniska do położonej dwadzieścia kilometrów na zachód miejscowości Blanes w gminie Calvia. Ewa wygramoliła się z auta i bacznie rozejrzała.

– A więc to jest ta wasza kawiarnia? No całkiem ładna. Ale szyld to chyba ręcznie malowany, krzywy jakiś... A to co za jedna?

– Hellooooo! Witejte! – rozpromieniona Ivanka wybiegła nas przywitać. A tak ją prosiłam, żeby nie wkładała dziś mini w lamparta.

– Moja współpracowniczka! Poznajcie się! Chyba znacie się już trochę z moich opowiadań...

– No, nie wiem... – powiedziała z przekąsem Ewa, a gdy tylko Ivanka odwróciła się, natychmiast teatralnie wywróciła oczami. – To kurwa jakaś? – szepnęła potem na schodach.

– Ivanka jest najcudowniejszą istotą na świecie! – wyrecytowałam pełną pierś i z pełnym przekonaniem. – I najlepszą matką! I kucharką! – Dobiłam Ewę, ale należało jej się. Ten tytuł uzurpowała bowiem dla siebie.

Dopiero duży kawałek makowego tortu, album z rodzinnymi fotografiami, a przede wszystkim butelka schłodzonego Freixeneta nadłamały kawałeczek lodowca w jej prostym i zmrożonym jak kostka

fileta z mintaja sercu.

LORENZ DIEFENBACH I JEGO TEORIA PRACY

Ewa od samego rana opalała się nad basenem. Grubo nasmarowana dermosanem, który rozsiewał wokół niej nieco tranowy zapach, i w ogromnym, zabudowanym jak meczet kostiumie ze sztywnymi miseczkami, rozlała się na leżaku. Nie depilowała nóg, żeby włosy nie odrastały mocniejsze. To była najdziwniejsza argumentacja, jaką w życiu słyszałam. Jej wielki brzuch wolno i rytmicznie falował, pomyślałam więc, że drzemie i położyłam się z książką na fotelu obok. Książka była kucharska i miała mnie inspirować do nowych dań w naszej kawiarni.

Ale dziś nie mogłam się skupić, obecność Ewy przypomniała mi o tymczasowości mojego majorkańskiego bytu. Prawdziwe życie jest przecież gdzie indziej, w Warszawie. A ja chciałam żyć tu, chciałam, żeby czas znowu wolniej płynął, żeby niebo zawsze było niebieskie, a drzewa zawsze zielone. Myślałam o głębokim sensie mielenia maku, o radości słonecznych poranków, o smaku czerwonego wina z Macià Batle, o domku przy calle Llaut... O opalonych nogach, gładkiej skórze, byciu kobietą, która podoba się facetom, choć nie ma dwudziestu trzech lat i niedowagi... O soczystym, kolorowym życiu. O powrocie na Majorkę, może tylko krótkim, niezobowiązującym, na chwilę, na kilka miesięcy, do końca wakacji, a może na dłużej... Bałam się tych myśli, ale chyba jeszcze bardziej nie chciałam wracać do Warszawy, do mojej luksusowej stonowanej szarości.

– O, nareszcie jesteś! Chyba przysnęłam... – Ewa przeciągnęła się na leżaku jak wieloryb na mieliźnie. – Co robisz? Studiujesz coś?

– Tak, swoje pragnienia. Chciałabym tu znowu zamieszkać na dłużej...

– Zwariowałaś? A Michaś? A Marek? Co z nimi zrobisz? – Aż usiadła z oburzenia. Brzuch też usiadł i oparł się przy tym o uda.

– Nie wiem, bo żyjemy w takich idiotycznych czasach. Kiedyś ludzie mieli lepsze pomysły na wychowanie synów. I społeczne przyzwolenie. Na

przykład w Sparcie siedmiolatków oddawano pod opiekę państwa i mastigoforoja, nosiciela bicia... Wiesz, jak to musiało działać?! A potem do trzydziestki trzymano chłopców w koszarach...

– Nie mówisz tego poważnie, prawda?

– Mówię, ale nie teleportuję się teraz do Sparty. Ani do indiańskiej wioski.

Tej opcji zresztą jej nie opowiedziałam. Mogłaby nie zdzierżyć wizji wyrzucania trzynastolatków z wigwamów do lasu pełnego niedźwiedzi, a trochę szkoda, bo właśnie w takich warunkach Michaś nauczyłby się nie marudzić i w końcu jeść dziczyznę, grzyby i sałatę.

– W wielu kulturach wychowaniem chłopców zajmują się ojcowie. Nie rozumiesz tego, bo masz córki... To zupełnie co innego, a chłopak to chłopak. Inna rasa.

– I co? Robert miałby go wychowywać? Z tą swoją Roxy-Ćmoksy, analfaberką? To dopiero byś miała problem. A gdzie on w ogóle teraz jest, ten TATUSI od siedmiu boleści? – Głosem, ciałem, całą sobą, wyraziła pogardę dla mojego byłego, którego nie lubiła prawie tak samo mocno jak mojego brata Piotrusia.

– Aktualnie bawi w domku campingowym na Helu, bo to go odmładza. Z Roksaną i jej koleżankami. Uprawiają *kite surfing*.

– Co? W jego wieku? Ma przecież ponad pięć dych! Znowu dysk mu wyskoczy! Boże Przenajświętszy, co to się na tym świecie porobiło?! – Spojrzała zezem zbieżnym w swój pomarszczony dekolt, jakby tam siedziała odpowiedź. – I to biedne dziecko tak na to patrzy? Na tę sodomę i gomorę?

– Nie, Michasia odstawił do rodziców Roksanę, podobno orze u nich pole i pasie świnię. Terapia odwykowa od Internetu, nie mają nawet telefonu! Ciekawe, ile tam wytrzyma...

Ale Ewy nie zainteresowała nieelegancka kwestia wypasu trzody w Wilkołaskach. Nie lubiła wsi ani chłopów, jakby miała się tym wieśniactwem zarazić. Zupełnie jak moi nowobogaccy znajomi, którzy bali

się zarażenia ubóstwem swoich dawnych, żyjących obecnie z kuroniówki, najlepszych przyjaciół, unikając spotkania z nimi jak ognia.

– Chyba dziś znowu zgrzeszę i zjem jeszcze kawałek tego twojego tortu – szybko zmieniła temat na swój ulubiony. – Niebo w gębie, przepyszny! I mocnej kawusi byś mi do tego zrobiła... Co mi innego pozostało? Grubej babie to już nic innego przyjemności nie robi...

Ledwo się powstrzymałam, żeby jej nie przytaknąć. Chryste, uchowaj mnie od grzechu nadwagi i przedwczesnej starości!

– No to lecę do garów! *Le travail rend libre!*

– Co?

– *Arbeit macht frei!* Ale chciałam to powiedzieć elegancko.

Chyba jednak nie zrozumiała, że właśnie praktykuję teorię Lorenza Diefenbacha.

Wciągałam się w pracę w Amapoli coraz bardziej, aż wymyślanie receptur, podawanie do stołu czy nawet chwile na zmywaku zaczęły mieć dla mnie więcej sensu niż kolejna nowobogacka willa pod Warszawą. Już prawie czułam ten sam entuzjizm jak wtedy, gdy cztery lata temu wymyśliłyśmy naszą Amapolę, remontowałyśmy taras, odnawiałyśmy stare meble, a ja malowałam koślawy szyld nad wejściem. I gdy tego dnia stanął pod nim Marek. I gdy byłam o niebo szczęśliwa i pół nieba młodsza.

„Niestety, nie dam rady teraz przyjechać, to najbardziej gorący okres. Nawet sobie nie wyobrazasz, ile mam teraz pracy. Praktycznie nie wychodzę z biura... IPO to ukoronowanie całej mojej kariery zawodowej. Nie ma nic ważniejszego dla faceta! Ale jeśli chcesz, zostań na Majorce trochę dłużej, a ja może za dwa tygodnie do ciebie przylecę. Na razie i tak będziesz miała Ewę!”.

Będę miała Ewę!!!

Złatwił sprawę jednym telefonem. No cóż, ważne, żeby facet miał w życiu priorytety.

WIDMO

Po czterdziestu ośmiu godzinach przymusowego słuchania o wszystkim i o niczym, o drugim ślubie, który się nie odbył, o kabriolecie, który nie jeździ, o córkach, które nie chcą jeść, o Wojtusi, który gdzieś znika, o psie, że niedomaga, o słońcu gorącym i niebie niebieskim, o winie białym, kawusi mocnej z mlekiem, o torcie tak pysznym, że schudnąć nie pozwala, o Ivance, że chyba jednak coś z nią jest nie halo, bo normalna kobieta tak się nie ubiera, o oczywistości oczywistej, o dupie Maryni i tak dalej myślałam, że zwariuję. Ba, byłam tego pewna, więc musiałam pobyć trochę sama. Nawet Altosa nie chciałam widzieć ani Ivanki, choć ta miała tę miłą niekobiecą cechę, że nie wypowiadała głośno KAŻDEJ myśli, jaka akurat przyszła jej do głowy (może to była kwestia sklejonych błyszczkiem ust).

Potrzebowałam ciszy, spokoju i samotności. Uciekłam, jak zwykle, do mojej aśramy, na plażę.

Słońce było już dość nisko, odbijało się w wodzie i migotało na leniwych falach. Mrużyłam oczy, bo w pośpiechu zapomniałam okularów, wybiegając z domu i kłamiąc coś o wizycie u lekarza. Najpierw niemal biegłam jak pies zerwany ze smyczy, byle dalej, przed siebie, na oślep. Potem zaczęłam cieszyć się każdym krokiem, każdą chwilą, każdym niedźwiękiem. Chłonełam letnią bryzę, słoną wilgoć, otwartą przestrzeń, która dawała mi tak potrzebne poczucie wolności. Napawałam się tym, oddychałam, żyłam. I w końcu szłam coraz wolniej, mój oddech stawał się miarowy, zaczęłam zauważać detale, cienki ślad wody na piasku, psa płynącego za patykiem, ludzi, którzy wyrosli obok mnie.

Wtedy go zobaczyłam. I od tej chwili nie oderwałam od niego wzroku. Hipnotyzował mnie. Przyciągał.

Szedł plażą kilkanaście metrów przede mną. Czasem oddalał się, więc przyśpieszałam kroku, próbując go dogonić na tyle, by dobrze widzieć jego sylwetkę, szerokie ramiona, długie umięśnione nogi, niezwykłą harmonię ciała, prawdziwy cud natury i sukces genetyki. Białe T-shirt opinał się na twardym torsie, a wytarte, niebieskie dżinsy niedbale osuwały się

z wąskich bioder. Było w tym coś jednocześnie zwyczajnego i niesamowicie seksownego. Patrzyłam zaczarowana tym widokiem i zdziwiona swoim zainteresowaniem. Nie widziałam jego twarzy, tylko jasne włosy, poskręcane od słonego powietrza i rozwiane przez wiatr. Skandynawski olbrzym. Byłoby dziwne, gdyby do takiego ciała należała brzydka twarz, a może właśnie byłoby to sprawiedliwe. I piękne? Perfekcja nigdy nie jest prawdziwie piękna.

Staralam się iść po śladach jego stóp, ale robił zbyt duże kroki, by było to wygodne. Czasem udało mi się postawić piętę tam, gdzie odcisnęła się jego pięta, a wtedy moje place odbijały się dużo przed jego palcami. Myślałam, czy go nie wyprzedzić, przejść kilka kroków, a potem odwrócić się szybko i odkryć tajemnicę, która męczyła mnie już dwadzieścia minut, dokładnie od latarni morskiej na końcu Ciudat Jardin.

I gdy już byłam na to gotowa, gdy szłam już trochę szybciej, gdy chciałam do niego podbiec, podejść, zaczepić, on skręcił nagle w stronę ulicy. Wtedy odwrócił się, ale słońce mnie oślepiło, a on zniknął między budynkami.

[3] (hiszp.) – Nie, skarbie!

[4] (hiszp.) – piękna

[5] (hiszp.) – rasa czarnych świń uchodzących za przysmak

[6] (hiszp.) – Jestem katolikiem.

[7] (hiszp.) – Pożądam cię dziś wieczorem.

[8] (hiszp.) – Uprawiać z tobą miłość.

[9] (hiszp.) – Kocham cię... twoje ciało... całuję cię.

SIERPIEŃ

AMAPOLA

W soboty zawsze panował u nas duży ruch. Na makowe torty przychodzili już nie tylko przypadkowi turyści z okolic czy goście aquaparku, ale przyjeżdżali prawdziwi tubylcy z samej Palmy, a czasami nawet z miejscowości tak odległych jak Pollensa czy Arta. Półtoragodzinną jazdą to na Majorce największa wyprawa, dłużej jechać się nie da, chyba że w kółko. Było to dla nas nie lada nobilitacją serwować słynny tort „Amapola” mieszkańcom północnego czy wschodniego wybrzeża, którzy „nawet tam”, sześćdziesiąt, a może nawet i siedemdziesiąt kilometrów dalej, o nim słyszeli.

Ewa „z przyjemnością” nam pomagała, odnosiła naczynia do kuchni i wzdychała nad każdym niedojedzonym kawałkiem. „Grzech to wyrzucać” – mówiła, a ja przytakiwałam i zostawiałam ją samą. Bardzo nie chciałam wiedzieć, w jaki sposób utylizuje słodkie resztki, ale trochę się dziwiłam, że po tylu godzinach jeszcze jej nie mdli. Nie minął nawet tydzień, a jej beżowe rybaczki przestały się dopinać.

W przeciwieństwie do mnie od razu polubiła i nad wyraz wysoko oceniła naszych stałych gości. „Tacy mili, kulturalni ludzie! Zupełnie nie rozumiem, czemu ich unikasz? A że nie płacą? Czy pieniądze są w życiu najważniejsze?”. W JEJ życiu nie są, bo to było zaledwie marne, tymczasowe życie doczesne, a to prawdziwe miało nadejść po śmierci i toczyć się w niebie. „A tam walutą są dobre uczynki” – mawiała, i wcale

nie były to żarty. Święty Piotr zwróci nam z nawiązką za wszystkie nieuregulowane rachunki „tych przeuroczych państwa”.

Nie rozumiała, co prawda, ani słowa z prowadzonych przez „państwa” dysput, ale Holender wydał jej się przemiły i jowialny, Niemka była według niej dobrą matką, bo osobiście odbierała dziecko z letniej szkoły, a Pofastrygowaną uznała za ponadczasowo piękną kobietę.

– Prawdziwa piękność. I zęby jakie ma zdrowe!

– To licówki! Włosy ma doczepione, cycki plastikowe, a nos zrobiony z własnego zebra.

Z tym nosem zmyśliłam, ale Ewa aż się przeżegnała z wrażenia.

Od dwóch dni stolik VIP był pusty. Nawet mnie zrobiło się z tego powodu trochę smutno. Niemka podobno wyjechała na wakacje do Schwarzwaldu, Holender zawiesił w związku z tym swoje wizyty, a Pocerowana po prostu zniknęła. Tylko Zdenko wpadał po pracy, a Ewa próbowała dotrzymać mu towarzystwa, co, mimo braku wspólnego języka, udawało się jedynie dzięki inteligencji i zdolnościom lingwistycznym Chorwata.

W tę sobotę zamknęłyśmy dopiero o dziewiątej, bo wciąż ktoś wpadał po desery na wynos albo składał zamówienie na następny dzień. *El domingo*, w niedzielę, jest dużo okazji, których rangę najlepiej podkreślić zamówionym w cukierni tortem.

– Skąd wy macie tyle siły? Ja po prostu padam z nóg! – oświadczyła Ewa i demonstracyjnie padła, wprost na kanapę.

Miała obolałą minę, która wcale nie ujmowała jej lat i nie dodawała uroku. Całkowicie wolne od botoksu czoło zmarszczyło się w bruzdy cierpienia, a opadające kąciki ust sięgały prawie do szyi. W życiu do czegoś takiego nie dopuszczę!

– Dziś sobota! Pójdziemy tańczyć! *Saturday Night Fever, chicas!* – Rozpromieniona Ivanka klasnęła w dłonie i wykonała jakiś taneczny wygibas.

– Ona to tak na serio? – zaniepokoiła się. – A ten jej Zdenko tak ją samą puści? Ty niby też na te tańce się wybierasz? A jak Marek się dowie?

– Nie będziemy tam tańczyć na rurze! No, chodź, poruszasz się! Spalisz tysiąc kalorii!

– To może wy same pójdźcie, ja nigdzie nie idę! A zresztą rano wybieram się do katedry na mszę, na dziesiątą, ale jeszcze włosy muszę umyć jak wstanę... I do Valldemossy, do klasztoru, bym się przejechała...

– Do Valldemossy? Poczkej, poczkej! Ja tu coś uwidziała. Kde ja to mam?... – Ivanka przerzucała strony w lokalnej gazecie. – A mimochodem jsem se dozwiedziała, że Chopin żył na Majorce, w Valldemossie!

– Co ona nie powie! – kwaśno westchnęła Ewa.

– A ty może wiesz, że Jirzi Židek żył w Ameryce? – odgryzła się Ivanka.

– A kto to jest? Światowej sławy kompozytor może?

– Znany sportovec. Basketballer.

– To chyba jednak co innego... – wtrąciłam czujnie jak patrol straży miejskiej w Singapurze. – No i co tam o Chopinie wyczytałaś? Koncert jakiś będzie?

– Niejaki profesor Stegmann ma w Valldemossie odczyt o Chopinie. Widysz, jaki atraktywni chlap? – Podsunęła mi wymiętolony „Majorca Daily”. Akurat przez sam środek twarzy profesora przechodziło brązowe koło, odcisnięte przez odstawiony na gazetę mokry kubek.

– Nic nie widzę! Zalałaś go kawą!

Wzruszyła ramionami i zaczęła demonstracyjnie wycierać plamę papierową serwetką.

Profesor zamienił się w Mulata z dziurą na prawej skroni i wyglądał teraz jak rycina z pierwszego wydania *Chaty wuja Toma*. Ivanka, zrezygnowana, odłożyła gazetę.

– Uwierz mi, bardzo atraktywni! Profesor Timothy Stegmann... Odczyt już jutro! Może pojedete? Ewa klaszter uwidi...

– Co za różnica czy atrakcyjny, czy nie? Profesor to ma być mądry, nie piękny! – oburzyła się Ewa. – A do oglądania klasztoru to on i tak mi

wcale nie jest potrzebny!

ON

Do Valldemossy pojechałam sama, bo odczyt był po angielsku i nie w klasztorze, tylko w Centrum Kultury Costa Nord. Doprawdy, nie rozumiem, jak można oczekiwać na Majorce wykładu po polsku. Nawet o Chopinie. „No, mam nadzieję, że późno nie wrócisz! Długo tu z nią nie wytrzymam!” – powiedziała lekko obrażona Ewa na pożegnanie, a Ivanka tylko westchnęła.

Poznałam go po sylwetce. Mój olbrzym z plaży w Portixol stał teraz za pulpitem w sali konferencyjnej i co chwila spoglądał na zegarek. Było już dziesięć minut po czasie, a do środka ciągle wchodzili nowi słuchacze. Nordyk nie pojął chyba, że umówiona godzina to w Hiszpanii sprawa bardzo umowna, więc czasu wciąż jest sporo. Usiadłam w pierwszym rzędzie, by dobrze przyjrzeć mu się od frontu oraz by mieć ładny widok na jego regularną, jasną, nordycką twarz. Widziałam ją doskonale w snopie światła z teatralnego reflektora, ja natomiast mogłam cieszyć się komfortem dyskretnej ciemności na widowni. Po kwadransie do sali zajrzał woźny i dał znak, że można zaczynać. Z hukiem zatrzasnął drzwi, aż siedząca koło mnie emerytka podskoczyła na krześle.

Już od pierwszych słów, które padły z mównicy, wiedziałam, że prelegent zainteresuje mnie bardziej niż Chopinowskie preludia, które powstały w pobliskim klasztorze sto siedemdziesiąt lat temu i które do tej chwili interesowały mnie tyle, co skoki spadochronowe w tandemie albo wystawy kotów rasowych. Wiedziałam, że są, i tyle. Za to profesor z każdą minutą zajmował mnie coraz bardziej. Miał ciepły, głęboki głos i ledwo rozpoznawalny, nieco twardy akcent. Był więc Skandynawem, a może Niemcem z Północy, sądząc po urodzie i germańskim nazwisku. W skupieniu studiowałam jego idealne, aryjskie rysy, jasnoniebieskie oczy, prosty wąski nos, ładnie wykrojone usta. Popielate włosy, które na plaży

wiatr targał bezładnie, były teraz zaczesane do tyłu, ale dalej pozostawały w lekkim nieładzie. Ubrany w czarne dzinsy i błękitną koszulę, wyglądał zwyczajnie, lecz apetycznie. Nie żadne słodkie ciacho do bezmyślnego schrupania, tylko wytrawny kąsek dla koneserów. Patrzyłam na jego piękne dłonie, długie palce, nogi, stopy. Patrzyłam i udawałam, że słucham, i nawet nie wiem, jak minęła godzina wykładu. Mogłabym słuchać go tu do rana, nawet na niewygodnym drewnianym zydelku, obok stękającej emerytki o penetrującym zapachu wody fiołkowej. Ale wszystko kiedyś się kończy, nawet odczyt o Chopinie.

– To tyle na dziś. Czy ktoś ma może jakieś pytanie? – spytał profesor, patrząc przy tym na mnie, prosto w oczy, a ja zmieszałam się jak mała dziewczynka, przyłapana przez nauczyciela na nieuważaniu na lekcji. Na szczęście ktoś z dalszego rzędu przerwał niezręczną chwilę i długie wymowne spojrzenie profesora. „Na które utwory wielkiego kompozytora miała wpływ tutejsza natura?” – chciał wiedzieć pilny słuchacz. Stegmann, zamiast odpowiedzi, włączył muzykę. Nawet ja rozpoznałam *Preludium deszczowe*.

– No i z czym się to panu kojarzy? Z tutejszą naturą?

Słuchacz cwanie sobie wyliczył, że Chopin musiał się załapać na słynną *floración del almendro*^[10], trwającą od połowy stycznia do końca lutego, bo pewny siebie bardziej oznajmił, niż spytał:

– Kwitnące migdałowce?!

– Chyba że w deszczu! – Nie mogłam sobie darować...

Wystarczająco długo mieszkałam na Majorce, żeby wiedzieć, że okolica Valldemossy to biegun zimna i lodowatej wilgoci, a w zimie często leje tu jak z cebra. Kwitnące migdałowce? Też coś! Profesor odszukał mnie wzrokiem i puścił do mnie oko. Odpowiedziałam mu tym samym. Jak równy z równym! I już na niczym nie mogłam się skupić. Poza nim, oczywiście.

– Drodzy państwo, to była taka niewinna prowokacja! – Stegmann się uśmiechnął. – To preludium wcale nie ma nic wspólnego z deszczem. Poza

tytułem, który dostało dużo później i raczej przypadkiem. To George Sand za wszelką cenę chciała usłyszeć w nim krople deszczu, padające na dach klasztoru. Chopin nie znosił dźwiękonaśladowczych skojarzeń. To byłoby dla niego zbyt banalne!

Oblałam się pąsem i spuściłam wzrok. Musiałam dzielnie dotrwać do końca, bo trudno dyskretnie uciec z pierwszego rzędu. Po dwóch kwadransach pytania wreszcie ustały, ale wtedy kilka osób ustawiło się przy jego pulpicie, podsuwając mu książki do podpisu. A więc pisarz! Jak romantycznie!

Już miałam wyjść, gdy profesor do mnie podszedł. Stał naprzeciw mnie, dobre pół głowy ode mnie wyższy, co łatwe nie było ze względu na mój relatywnie wysoki wzrost i jeszcze wyższe obcasy jedynych szpilek, które zabrałam z Warszawy.

– Nie słuchała mnie pani, prawda? To o czym myślała pani przez cały wykład, jeśli mogę spytać?

– O panu! – wypaliłam szczerze, acz bezmyślnie. – To znaczy... o muzyce... o Chopinie, to mój rodak..

– A ja zastanawiałem się, co taka piękna kobieta robi na moim wykładzie. Miłośnicy muzyki poważnej rzadko grzeszą urodą, a ja zajmuję się tematami we współczesnym świecie dosyć niszowymi i raczej nie przyciągam ludzi spoza branży. Choć i tu były wyjątki. – Uśmiechnął się i znów porozumiewawczo puścił oko.

– No tak! Migdałowce. Ale ja też wygłupiłam z tym deszczem. Byłam pewna, że skoro całą zimę wtedy lało, to musiało go to zainspirować, profesorze Stegmann.

– Timothy! Proszę mi mówić Tim. Miło się z panią rozmawia. Ma pani teraz jakieś plany? Może zjemy razem kolację, jest już po ósmej i umieram z głodu.

Co? Kolację z OBCYM facetem? Heloł! Ja mam narzeczonego! Znaczy konhabitanta. Nie, to W OGÓLE nie wchodzi w grę! Co by Marek na to powiedział?

– Dziękuję, bardzo chętnie, też umieram z głodu... – Uśmiechnęłam się głupkowato.

– Cieszę się! Przy okazji pogadamy jeszcze o naszym idolu. Albo o pogodzie na Majorce.

Hm... Szczerze mówiąc, a raczej mu nie mówiąc, Chopin nie był moim idolem. Moim jedynym w życiu idolem muzycznym był Billy Idol, a cała fascynacja trwała zaledwie trzecią klasę liceum, aż różni inni idole, za to z krwi i kości, zafascynowali mnie bardziej. Niestety żaden z nich nie stworzył mazurka, sonaty czy choćby marnej piosenki, jakkolwiek, o ile dobrze pamiętam, jeden grywał na gitarze. Przy ognisku.

– Lubi pani przecież Chopina, prawda? – Zaniepokoił się nagle, jakby czytał w moich myślach.

– Prawdę powiedziawszy, biegła to ja raczej jestem w temacie majorkańskiej pogody... a Chopin? No cóż, jako Polka muszę go lubić... choć to takie banalne, w Polsce każdy go lubi...

– Chopin nigdy nie będzie banalny! – przerwał mi. – Udowodnię to pani, pani...

– Magda! Mam na imię Magdalena. Niestety, nie Konstancja, nie Maria i nie George! Chociaż tego ostatniego żałuję najmniej!

RANDKA?

Restauracja, do której dotarliśmy już po kilku minutach jazdy serpentynowo biegnącą górską szosą, okazała się małym przytulnym miejscem, w którym od razu poczułam się dobrze. Kolejny plus dla profesora. Z malowniczo zawieszzonego na skarpie tarasu rozciągał się widok na morze i zachodnie wybrzeże, a przy dobrej pogodzie podobno można było zobaczyć stąd Barcelonę. Teraz, po zmroku, tylko światełka zbłąkanych łodzi i kilku domów po drugiej stronie zatoczki migotały w oddali. Na tarasie zmieściły się zaledwie cztery stoliki, typowo oświetlone wetkniętymi w puste butelki po winie świecami i niewygodne drewniane krzesła z plecionym siedziskiem, które w tych okolicznościach

wydały mi się miękkie jak różowy obłoczek. Byłam przecież na najprawdziwszej randce z pięknym mężczyzną pod gwiaździstym niebem Majorki.

Na RANDCE? Jaka tam randka? To tylko taka metafora. Przecież jesteśmy na PROFESJONALNEJ kolacji i będziemy rozmawiać o muzyce poważnej, bo jestem Polką i muszę godnie reprezentować nasz kraj na obczyźnie. I jego kulturową spuściznę, żywo na tej wyspie obecną. Polska, polonezy, mazurki, gryka jak śnieg biała... Rozparła mnie narodowa duma. Nie będzie mnie tu Niemiec mamił ani Chopina nam germanił!

– Piękne miejsce! Musiało się Chopinowi podobać! – pochwaliłam.

– Wątpię... Tę drogę, a co za tym idzie, tę osadę, zbudowano dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku...

Słowa już o tym głupim Chopinie nie powiem!

Właściciel knajpy, krępy Majorkańczyk, podszedł do nas, przywitał się z Timem jak ze starym znajomym, a potem zaprezentował *pescado del día*, ryby z dzisiejszego połowu, wyłożone na wielkiej, wysypanej lodem tacy.

– Może weźmiemy tę? Lubina, najbardziej typowa i smaczna. – Pokazałam na dużą, białą rybę, którą Marek lubił najbardziej. – Myślisz, że złowili ją tu czy w Supermercado? Podobno różnie to bywa...

– Jego rodzina ma własny kuter. Codziennie wypływają na połów o piątej rano, a po południu Rafael ma świeżą dostawę. Musisz kiedyś zobaczyć, jak wracają do portu, a za nimi lecą dziesiątki mew.

Fantastyczny widok. Kupuję od nich czasem ośmiornicę albo *salmonetes*.

– *Salmonetes*? To te małe czerwone rybki?

– Pyszne, prawda? Albo sardynki! *Sardinas fritas*. Wina też mają tu całkiem znośne! Z Majorki. Spróbuj!

Nie lubię *salmonetes*, a tym bardziej smażonych, a potem zjadanych wraz z głowami sardynek, bo mają dużo ości i dziwnie pachną, ale wino faktycznie było przednie i dzięki butelce C'an Vidalet rozmowa na temat Chopina, wbrew moim obawom, toczyła się dość gładko. Co prawda, już

przy aperitifie (ziołowy Palo z wodą sodową) stało się jasne, że w temacie muzycznym nie dotrzymam profesorowi kroku, przy daniu głównym (wino Blanc de Negres) wydało się, że nigdy nie byłam w Żelazowej Woli i nie umiem nazwać większości znanych utworów kompozytora, a przy deserze (słodki likier Tunel Dolces na kostce lodu) nie interesował mnie już żaden Chopin, tylko on, profesor Timothy Stegmann. I to z innej strony niż suche fakty podane na okładce jego książki, którą jeszcze w samochodzie mi podarował. Za młodu, czyli nie tak znowu dawno, bo miał teraz trzydzieści osiem lat, był dobrze zapowiadającym się pianistą, ale jego karierę przerwał wypadek na nartach, kiedy to najbardziej ucierpiał serdeczny palec prawej dłoni. Małe nic dla ludzkości, wielkie halo dla pianisty. Od razu dokładniej mu się przyjrzałam, faktycznie palec był jakby usztywniony, ale, co najważniejsze, nie było na nim żadnej obrączki. Po wypadku Timothy studiował historię i teorię muzyki, aż został wybitnym specjalistą od czegoś, czego do końca nie zrozumiałam, ale między innymi chodziło właśnie o Chopina, którego uwielbiał, a o za tym idzie, wszystko, co polskie. Miałam nadzieję (drugi likier), że w związku z powyższym mnie też uwielbi.

– Cudownie, że jesteś Polką. Po prostu z nieba mi spadłaś. Już nawet zacząłem szukać tłumacza, ale tutaj to nie takie proste. W klasztorze niedawno odkryto jakieś stare, ręcznie zapisane kartki. Być może mają związek z pobytem Chopina. Oczywiście zamówili już ekspertyzy, ale nie chcę czekać na wyniki. Mogłabyś na nie rzucić okiem... Jeśli cię to oczywiście interesuje...

– A one nie są po francusku?

– Chopin zwykle pisał po polsku... Nigdy nie nauczył się na tyle biegle francuskiego.

– A tak, no pewnie!...

– Więc jak? Mogę na ciebie liczyć? Nie zajmie to dużo czasu, mam nadzieję. Interesuje cię to?

– Nie wiem. Ty mnie interesujesz! – poszłam *va banque* (trzeci likier bez

rodu). – Masz bardzo fajne życie. Też bym chciała, żeby jakiś instytut wynajął mi dom na Majorce i zesłał mnie tu na miesiąc, żebym sobie coś postudiowała. Choćby stare manuskrypty z roztoczami. Dobry pretekst. Przydałby mi się do szczęścia.

– Dom należy do moich znajomych. Instytut wynająłby mi pewnie celę w klasztorze. U nas też bieda w kulturze! A ty czemu potrzebujesz pretekstu, żeby robić to, co lubisz? Myślałem, że wystarczy mieć powód... albo pasję, marzenie, chęci... Nie?

„Wystarczyłoby może nie mieć Marka”... – pomyślałam i dyskretnie wyciszyłam telefon w torebce. Nie chciałam, żeby teraz zadzwonił i popsuł moją bajkę dla dorosłych. W końcu nie zdradzam go z włochatą małpą, więc niech mi się chociaż da nacieszyć kulturalną rozmową z intelektualistą!

No, bo gdzie teraz jest, ten mój Mareczek? Jak zwykle go nie ma! Czyli jestem sama. Zostawiona na łaskę Ivanki, Ewy i muzykologa. To niech się potem nie dziwi, że muzykolog się mną opiekuje. Zabawia rozmową. Uczy. A nawet karmi! To jest prawdziwy facet. A przede wszystkim OBECNY! I zainteresowany! Tu i teraz!

– Opowiesz mi o swoich pasjach, Magdaleno? Bo o marzenia jeszcze nie śmiem zapytać... – Spojrzał mi przy tym głęboko w oczy, aż poczułam w brzuchu całe stado motyli.

Timothy Stegmann spodobałby mi się nawet bez siedmiu wypitych jednostek alkoholu, więc tym trudniej mi było to ukryć. Patrzyłam się na niego jak cieleń na malowane wrota, zadziwiona, że wbrew temu, co przez ostatnie lata myślałam, Ziemia wcale nie jest zasiedlona wyłącznie kobietami, dziećmi, starcami i potwornie nieinteresującymi facetami. Timothy Stegmann, ostatni Mohikanin plemienia Prawdziwych Mężczyzn!

Gdy szliśmy do samochodu, Tim objął mnie ramieniem. Tak zwyczajnie, przyjacielsko, bo było ciemno, a droga prowadziła przy samym urwisku. Niby nic, a ja i tak natychmiast poszybowałam w niebiosa rozkoszy,

zostawiając w dole odczuwalne pięć lat z metryki, trzy kilo z bioder i cholernego haluksa z lewej stopy. Zwolniłam kroku, żeby jak najdłużej cieszyć się jego bliskością.

– Mieszkam tu niedaleko, w tym osiedlu na wzgórzu – powiedział, gdy odjeżdżaliśmy.

Nie byłam pewna, czy chodzi mu może o pokazanie mi kolekcji motyli, wybrałam więc bezpieczny wariant odpowiedzi.

– Znam to miejsce! To nie jest osiedle, raczej kolonia pięknych domów, każdy z widokiem na morze, z bezkresnym basenem... Supernowoczesne, jakiś znany architekt je projektował... Nie pamiętam nazwiska, a chyba powinnam jako osoba z branży... – Troszkę plątał mi się język.

– Podrzucić cię do domu? Chyba nie powinnaś już prowadzić?...

Czyli jednak nie motyle, nie drink i nie widok z tarasu. Koniec wieczoru. Nie to miałaś powiedzieć, profesorze Stegmann. „You will be fucked you tonight!” – to była twoja kwestia, Tim! W Hiszpanii tak się załatwia sprawę.

Jechaliśmy do domu Ivanki w niezręcznym milczeniu, a ja wolałabym pojechać do jego pięknej willi, napić się szampana na tarasie, wykąpać w jacuzzi, dotykać tego idealnego ciała, całować się i kochać całą noc... Jezu, czy ja to właśnie pomyślałam?! Niemożliwe! Niedozwolone! A kysz! Chyba jednak za dużo wypiałam.

PORANEK

O świcie, gdy z siedmiu jednostek alkoholu wyparowało przynajmniej pięć, szum w głowie ustał, natręctwo włochatych myśli zmalało, zamówiłam taksówkę i pojechałam po zostawiony na parkingu w Valldemossie samochód, żywy i pomarańczowy dowód moich wczorajszych zawirowań moralnych.

O szóstej rano droga był pusta, w niecały kwadrans dojechaliśmy na miejsce. Taksówkarz rzucił na pożegnanie, że może powinnam się napić kawy przed drogą powrotną, pewnie tak mu nachuchałam alkoholem do

auta, ale o tej porze wszystko było jeszcze zamknięte. Rozejrzałam się bezradnie. „Gasolinera!” – odpowiedział. *Gracias*, na cappuccino ze stacji benzynowej po TAKIM wieczorze nie miałam ochoty. To byłaby profanacja moich na wskroś romantycznych wspomnień.

Wsiadłam do mojego tipa i pojechałam po prostu przed siebie. „Jak koń do stajni” – powiedziałyby matka. I miałyby rację, bo nawet nie wiem, jak znalazłam się w tej stajni, czyli na ukrytym przed światem wzgórz. Domów było tu zaledwie kilka, wszystkie położone po jednej stronie drogi, na skarpie i z panoramą na zachodzące słońce. Proste, przeszklone, betonowe bryły w dzikim krajobrazie zachodniego wybrzeża wyglądały jak milion dolarów, a kosztowały pewnie pięć razy tyle. *Z infinity pools*, które jakby wlewały się prosto do nieba i morza, rozciągał się najpiękniejszy widok Majorki, na morze, góry i małe wysepki. A w jednym z tych domów mieszkał zabójczo przystojny mężczyzna z potężnym IQ i być może z jeszcze potężniejszym ISex.

Pojechałam w górę ulicy, mijając wszystkie posesje i zastanawiałam się, gdzie może mieszkać Tim. Ale nie było tu żadnych tabliczek, żadnych nazwisk, niczego specjalnego. Bo czego ja się spodziewałam? Banerów ze zdjęciem profesora? Plakatów z jego książką? Fortepianu przed domem albo ławeczki grającej mazurki jak w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu? A tu ani szczęścia, ani intuicji. Zrobiłam jeszcze dwie rundy, czując się trochę jak złodziej, bo o tej porze wszyscy pewnie spali, na ulicy nie było nikogo, a szum silnika wkradał się bezczelnie w cichą idyllę tej okolicy. I wtedy zadzwonił mój telefon. O szóstej trzydziści rano!

– Przepraszam... Nie wiedziałem, że tak wcześnie odbierzesz... Chciałem zostawić wiadomość...

– Wyjeżdżasz?

– Nie, dlaczego? Chciałem zaprosić cię na śniadanie... Przecież i tak musisz przyjechać po samochód. Myślałem, że spotkamy się o dziesiątej, ale skoro nie śpisz, to może być wcześniej... O której byś mogła?

– Będę za minutę. Wyjdź przed dom, bo tu nie ma żadnych numerów!

Stał w drzwiach w białym szlafroku. Uśmiechał się przepaszająco.

– Przyjechałaś tak szybko... Poczekaj w salonie, zaraz się ubiorę...

– Daj spokój! Ładnie ci w nim! Moja wina, że wparowałam o nieludzkiej godzinie...

W wydaniu porannym wyglądał jeszcze lepiej niż na wykładzie. Miałam ochotę podejść do niego i pociągnąć za niedbale zawiązany pasek szlafroka. Rozsupłać go... A gdybym to zrobiła? Jest tak blisko... To takie proste...

– To pozwolisz, że zanim zrobię kawę... – Położył dłonie na pasku szlafroka i sam pomału go rozwiązał.

Zamarłam.

– ...przepłynę sobie dwie rundki... Takie nieznośne przyzwyczajenie na początek dnia...

Szlafrok zsunął się z jego szerokich, opalonych ramion, a mnie zawirował świat. Oto ja, Magdalena Kalińska-Blum, matka i narzeczona w stałym związku, mam przed sobą prawie gołego, obcego faceta o fizjonomii hollywoodzkiego amanta, mózgu intelektualnego giganta i ciele jak z okładki „Mens’ Health”. A wszystko w dekoracjach rodem z komedii romantycznej o bilionerach. Uszczypnęłam się dyskretnie, potem trochę mocniej, a on ciągle tam był. I ja też. On aktualnie w basenie, a ściślej w niekończącym się *infinity pool*, a ja wciąż stałam zamurowana i bez pomysłu na następną scenę. Nim zdążyłam coś wymyślić, Tim wyskoczył z wody, chwycił ręcznik i ciągle mokry podszedł do mnie, pocierając głowę ręcznikiem. Patrzyłam, jak strużka wody ścieka z jego włosów po szyi, potem po wyprężonej piersi, omija sterczące z zimna sutki i toruje sobie drogę po wyrzeźbionym torsie. Miałam ochotę przywrzeć do niego, wessać się w twarde ciało, zlizać z niego wszystkie krople. W jednej sekundzie zdecydowałam, że jestem gotowa na wszystko. Tu i teraz!

– Przepraszam! – Odwrócił się, zdjął kąpielówki, a moje oczy dostrzegły (i natychmiast pożarły) jędrne pośladki, nim zniknęły one pod białym szlafrokiem. – No to wstawiam kawę! – Zacisnął mocno frotowy pasek i przyjrzał mi się uważnie. – Źle się czujesz?

- Chyba tak... Może powinnam już pójść... Kręci mi się w głowie.
- Mam nadzieję, że cię nie obraziłem... Wiesz, my na Północy mamy trochę inny stosunek do ciała... aseksualny, rozumiesz, sauna, nudyści...
- Nie... ależ skąd! To było... to było bardzo... bardzo ładne... – i WCALE nie powiedziałabym, że takie znowu aseksualne. Wręcz przeciwnie. Czułam to w każdej komórce mojego ciała, ze szczególnym uwzględnieniem tych położonych w jego południowej części.
- Chodź! – Wziął mnie za rękę. – Zrobię ci bardzo, bardzo dobre śniadanie...

^[10] (hiszp.) – czas kwitnienia migdałów

PRAWDA

No i gdzieś ty była? Marek już trzy razy dzwonił na moją komórkę, bo nie odbierałaś. Myślałam, że coś się stało, auta nie ma, łóżko rozkopane, spałaś ty dzisiaj w ogóle w domu? – przywitała mnie Ewa, od dziesiątej rano pracująca nad basenem na głębszą opaleniznę i nowe zmarszczki, bo dermosan chyba jest bez filtra.

– Lunatykowałam po okolicy! Mam się tłumaczyć, co robiłam poza domem o ósmej rano w poniedziałek? Chyba przesadzasz? Byłam po bułki, w pracy albo biegać. Niepotrzebne skreślić. Po co on dzwonił? Coś z Michasiem? – Jednak się zdenerwowałam.

– Nie wiem. Sprawdź komórkę!

No tak, ta od szóstej trzydzieści spoczywała sobie na prawym siedzeniu mojego tipa w kolorze oranżady. Od ostatnich ważnych słów, jakie przez nią usłyszałam („Chciałbym cię zaprosić na śniadanie”), przestała mi być potrzebna.

Odwróciłam się i wpadłam wprost na zaspaną Ivankę, która z kubkiem kawy w ręku wyszła na taras spowita w liliowy szlafroczek, i natychmiast przejrzała mnie na wylot. To się nie nazywa intuicja, tylko lata podobnych doświadczeń.

– Cha! Cha!, ja mohu se domyslić, co si dielala! Na twarzy to masz namalowany! Ktery to był? Profesorek?

– Tylko z nim kawę piłam!

– Uż to vidim!

Na te słowa Ewa jak sprężyna usiadła na leżaku i zdjęła ciemne okulary, chyba też po to, żeby lepiej „uwidzieć”. Czym prędzej uciekłam przed niepotrzebną dyskusją na górę.

– No, ładnie! Jedna całą noc tłuła się tam z tym Chorwatem, że spać nie mogłam, a druga znika, nie wiadomo z kim! Ty lepiej dzwoń do Marka! I to szybko! – zdążyła jeszcze za mną krzyknąć.

W łazience przyjrzałam się sobie dokładnie. Faktycznie, coś było nie tak. Mimo poważnego kaca i praktycznie nieprzespanej nocy moje lustrzane odbicie wyglądało całkiem nieźle, a nawet zadziwiająco dobrze. Oczy błyszczały, policzki zdrowo rumieniały, byłam jakaś wyższa i lżejsza. Czy to właśnie „uwideła” Ivanka? Czy to miała na myśli Maria Pinczerek, sugerując kochanka? Hm... jeszcze nie kochanek, a już działa! Co to dopiero będzie, jak... Nie, na pewno Marka nie zdradzę! Może wystarczą śniadania z Timem? No i kolacje.

Jedno było tylko w dalszym ciągu okropne – moja wielka lniana ni to koszula, ni sukienka o sznycie worka na kartofle i seksapilu zakonnego habitu. Choć nie wykluczam, że niektórych akurat to kręci. Marek na przykład mówił o tych szaroburych worach, że są szlachetne. Eleganckie. Niewyzywające. Z klasą. Nieprawda! Właśnie pojęłam, że kłamał. A przecież, gdy wyjmowałam z walizki szare kaszmiry, gołębie jedwabie i naturalne lny, Ivanka skrzywiona spytała:

– Jak można takie rzeczy oblekać? Nie uwidzisz w tym figury!

Odpowiedziałam jej, że Markowi taka się najbardziej podobam, taka zwyczajna, normalna, nieoczywista... Że mówi o mnie „naturalnie piękna kobieta”.

– Bzdura! W naszym wieku kobieta może być ALBO naturalna, ALBO piękna! A zresztą, co z tego, że ON tak mówi? Ty masz się podobać SOBIE i WSZYSTKIM chlapom, rozumisz?

Chyba to do mnie w końcu dotarło. Tak jest! Eureka! Chwyciłam torebkę

i zbiegłam na dół.

– Jadę do miasta! Muszę coś załatwić! Sprawa życiowa! Pa, dziewczyny!

Ivanka i Ewa spojrzały na siebie i chyba po raz pierwszy zobaczyłam jakiś cień porozumienia w ich oczach. Obie w tym samym momencie uznały mnie za niespełna rozumu. Trochę racji w tym pewnie było. Ale to nie była kwestia racji, racjonalizmu, racjonalności. Nie! To było znacznie ważniejsze!

Telefon leżał pod siedzeniem pasażera i pewnie dlatego o nim zapomniałam. Doprawdy nie wiem, jak się tam znalazł. Pokazywał trzy SMS-y i jedenaście nieodebranych połączeń. W tym trzy od Ewy, reszta od Marka, zero od Tima. Wiadomości od Marka wysłane były w dziesięciominutowych odstępach przeplatanych próbami dodzwonienia się. Były konkretne jak on i wróżyły kłopoty. Duże kłopoty! „Jaki jest kod do sejfu?”. „W sejfie jest mój paszport!!!”. „W południe mam samolot do Stanów!!!” – ostatni z nich napisał godzinę temu. Cholera jasna, dochodziła jedenasta. Podobno najlepszą metodą na wiarygodne kłamstwo jest mówienie prawdy. Oczywiście niecałej. Wzięłam głęboki wdech i wystukałam jego numer. Słowa przenajświętszej prawdy same popłynęły mi z ust.

– Byłam na spacerze, dziś wyjątkowo wcześnie rano, bo nie mogłam spać. Telefon zostawiłam w aucie, a potem tak mnie Ewa zagadała, wiesz, jaka ona jest...

– Na szczęście przypomniałem sobie kod... Jestem już na lotnisku, zadzwonię, jak wyląduję! Muszę wsiadać. Pa!

Poszło gładko! W nagrodę podwyższyłam sobie zaplanowany limit wydatków.

RAJ

Biegałam po Paseo de Born, najelegantszej ulicy Palmy. Systematycznie wpadałam do każdego butików z listą zakupową godną pogorzańca.

Potrzebne mi było wszystko; pastelowe, króciutkie sukienki od Blumarine, koronkowa bielizna La Perli, pistacjowa torebka od Prady, czarne bikini od Etro, nowe buty i, ponieważ *you never know*, perfumowane prezerwatywy z apteki... Wszystko było cudowne, piękne, seksowne, leżało jak ulał, a ja się zastanawiałam, gdzie oni przez ostatnie lata chowali przede mną te piękne rzeczy? Gdzie wisiały te zwiewne sukieneczki ledwo przykrywające pupę, gdzie się chowały te wymyślne staniki do, że tak powiem, półsutka? Jak mogłam się bez nich obejść? A pończochy? Ile sezonów ich już nie nosiłam? Byłam zachwycona, nakręcona, wniebowzięta. Zadziwiona ilością wzorów, feerią barw, mnogością materiałów. Czułam się jak po udanej operacji przywrócenia zmysłu wzroku. Oglądałam, dotykałam, przymierzałam, a w lustrach przebieralni widziałam jakąś szczupłą laskę z wypiekami ekscytacji na twarzy. Taką, jaką nie wiadomo dlaczego ostatnie lata nie byłam, a chyba bardzo chciałam być. Cud jakiś!

Z samozachwytu puściły mi wszelkie ekonomiczne hamulce, jak w transie podawałam w kolejnym sklepie kartę kredytową i wychodziłam z jeszcze jedną zdobyczą. Gdyby nie letnie *rebajas*^[11], poszłabym już w trzecim butiku z torbami, a nie triumfalnie kroczyła objuczona eleganckimi pakunkami jak Carrie Bradshaw po zakupach na Fifth Avenue. To porównanie dodało mi endorfin – znowu poczułam się jak prawdziwa singielka w Wielkim Mieście, chociaż czysto technicznie niezupełnie nią byłam, a miasto Palma de Mallorca liczyło najwyżej tyłu mieszkańców, co Bydgoszcz.

Na koniec zostawiłam sobie najlepsze – sklep z butami. Postanowiłam zaszaleć, bo od pamiętnych paryskich zakupów prawie trzy miesiące temu nie kupiłam ANI JEDNEJ pary (klapki ortopedyczne to inna para kaloszy!). Już z wystawy uśmiechały się do mnie cudowne sandałki Diora, a po wejściu dołączyły do nich bajeczne letnie botki z ażurowej skóry w kolorze mojej opalanej nogi. Przecenione o połowę, same powędrowały do kasy razem z sandałkami.

– Transakcja odrzucona! Bardzo mi przykro! – Multiseksualny subiekt

wydał zrobione usteczka i oddał mi kartę. Trzymał ją przy tym w dwóch palcach, a mały paluszek zadarł filuternie do góry.

– Niemożliwe! Proszę spróbować jeszcze raz!

Westchnął i uniósł nabotoksowane brwi. Aż dziwne, że się poruszyły. Gdy walczył z terminalem, zadzwonił mój telefon.

– Tu American Express. Czy usiłuje pani właśnie dokonać zapłaty kartą w kwocie sześćset pięćdziesiąt euro w sklepie Cinderella w Hiszpanii? Zauważyliśmy nagłą zmianę pani nawyków konsumenckich i musimy autoryzować tę transakcję. A poza tym zaraz przekroczy pani miesięczny limit wydatków...

Trudno, wzięłam tylko sandałki za dwieście dwadzieścia po upuście, a sprzedawca popatrzył na mnie z wyższością. Obsługa luksusowych butików to specjalna rasa człowieka. Chyba przez samo obcowanie z drogimi towarami czują się namaszczeni do bycia nadludźmi, a przecież na byle fatalaszek ze „swojego” sklepu muszą w nim harować cały miesiąc.

Najgorzej pod tym względem jest w Wiedniu, może dlatego że to jednak prowincja. Tam, jeśli nie jesteś stałą klientką, najlepiej celebrytką albo szanowaną panią doktorową, nie masz co wchodzić do drogich butików Pierwszego Bezirku. No, chyba że ubierzesz się w ich najnowszą kolekcję i od progu udasz bogatą Rosjankę. Zdecydowanie przyjemniej robi się ekskluzywne zakupy w Nowym Jorku, gdzie nawet u Tiffany’ego z radością obsłużą grubaskę w dresie i wałkach na głowie. W dresie na zakupy tam nie poszłam, a i tak sprzedawca w sklepie Gucciego na Manhattanie, po tym, jak kupiłam zwykłe trampki z literką „G”, przez lata przysyłał mi ręcznie pisane kartki świąteczne, zaczynające się od osobistych słów: „Dear Magdalena”.

ZAWARTOŚĆ BAGAŻNIKA, GODZ. 15.45

1. Sukienka, Blumarine, szmaragdowa, bardzo mini.
2. Tunika, Pucci (bardzo przeceniona), fuksja.
3. Stanik, La Perla (bardzo boski!), czarny + stringi.

4. Stringi, Hanky Panky – 5 sztuk.
5. Bikini, Etro – czarne (dokupić białe!).
6. Płaskie sandały, Zara (ale wyglądają jak Gucci).
7. Sandałki na obcasie, Dior (wyglądają jak Dior!).
8. Torebka, Prada, pistacjowa (mało praktyczna, ale – 70%).
9. Drobiazgi (również te z apteki, więc lepiej nie zapisywać!).

Gdy dojechałam, Ewa dalej leżała nad basenem, przesunięta, wraz z popołudniowym słońcem, o dziewięćdziesiąt stopni względem poprzedniej pozycji. Obok leżaka piętrzyły się polskie gazety i sterta talerzyków po ciastkach z kremem. Jej skóra od rana nabrała koloru przypalonego buraka, co szczególnie wyraźnie było widoczne, gdy szerokie ramiączko ogromnego kostiumu zalotnie zsunęło się z pulchnych ramion, ukazując dziewiczy, kredowobiały fragment. Zniszczenia promieniami UVA na jej twarzy oceniałam na sześć sesji laserem Fraxel, czyli spokojnie równowartość moich dzisiejszych zakupów. Jednym słowem, wychodząc z domu, oszczędziłam i zdrowie, i pieniądze.

– A co to, Święty Mikołaj wrócił? Co tam kupiłaś? Pokażesz? – ziewnęła znad „Pani Domu”.

– Same prezenty dla niegrzecznej dziewczynki. Ładne? – Zamachałam jej przed nosem szmaragdową sukienką.

– Nie za krótka? Ciekawe, co na to Marek powie...

– Nic. Nie zauważy nawet, jak go znam. Zresztą płaciłam swoją kartą, z konta na czarną godzinę.

– Zwariowałaś! Szkoda kasy! – Oceniała, gdy pokazałam jej resztę zakupów. – I gdzie ty w tym pójdziesz?

Jak to gdzie? Do klasztoru Kartuzów w Valldemossie. Z Timem.

ZDRADA

Ivanka była zachwycona moimi nowymi ciuchami. Obiecałam, że pożyczę

jej sandałki (sukienka wydała jej się za długa), a może nawet i stanik do półsutka, choć nie wiem, jak zmieści w nim trzy litry silikonu.

– Musimy poważnie pomówić! – Zachmurzyła się nagle i straciła zainteresowanie moimi trofeami. – Nemam už silu na tuto kavarnu... Widisz, jak wypadam? Stara, nemocna...

Bzdura! Wyglądała całkiem nieźle. Kwiat dojrzałego seksapilu. Ba, kwiat ze sztucznego tworzywa, niepalny, niezniszczalny. Lata doświadczeń, odpowiednie geny i sprawna ręka czeskiego chirurga zrobiły swoje. W zestawie z przedwcześnie postarzałą, choć tylko kilka lat starszą Ewą wyglądały jak choroba dwubiegunowa. Depresja i Mania. Seksmania. Podniesiony push upem biust, talia osy ściśnięta czarnym gumowym pasem, a tuż nad nim i tuż pod nim skrawki streczowego materiału w kolorze piwonii udające sukienkę. Niewiele dalej apetycznie opalone ciało mieniło się brązującym kremem z widocznym brokatem. Na przegubach dzwoniły złote bransoletki, dobrane do złotych włosów i złotych sandałków na cieniutkich obcasach. Dziewięćdziesięciu facetów na stu by się za nią obejrzało. Tym setnym byłby Marek. A może też Tim.

– ...tak si myslim, aby sprzedać Amapole...

– Zwariowałaś? Teraz? Tak dobrze nam idzie!

– Ano! Wolałabym chyba kosmeticky salon... albo solarium... Muszę się do czegoś przyznać... Ja już w maju dałam ogłoszenie o sprzedaży firmy. No i jest ktoś zainteresowany...

– Ivanka! Jak mogłaś? Nic mi nie powiedziałaś! Nie spytałaś mnie nawet! Wakacje na Amapolę poświęcam, tyle pracy w nią wkładam, to bez sensu... – Odczułam trudną do powstrzymania ochotę, by zabić ją tłuczkiem do mięsa, który był na wyposażeniu kuchni.

– Spokojnie! Spotkajmy się tylko z tym kupcem i pogadajmy! A poza tym – zawiesiła głos i prześwidrowała mnie triumfującym spojrzeniem spod przyklejonych rzęs – obie wiemy, po co przejechałaś! Nie dla Amapoli! Od twoich chlapów przejechałaś odpocząć. Ja wszechno wim!

Chyba miała trochę racji. Nawet w kamieniołomach odpoczęłabym od Michasia, a co dopiero tu!

– Amapola dla ciebie to taki pretekst! Wy tłumaczenie dla Marka – ciągnęła. – Tylko że to ja mam tę kawiarnię po cely rok na hlawie. Zitra mamy spotkanie, pogadamy o tym jeszcze. Może spodoba ci się wysoka cena...

– Nie, nic do mnie nie przemówi! Nie chcę sprzedawać Amapoli! Rozumiesz?!

Nie pozbędę się ostatniej deski ratunku, jedyne legalnego pretekstu, żeby tu być, i uznanego usprawiedliwienia ciągłych nieobecności. Przecież nie stanę się nagle badaczem Chopina albo stalaktytów w grotach Porto Cristo! Muszę ratować Amapolę! I moją Majorkę! I moją wolność! Za wszelką cenę!

Pierwszy raz byłam szczerze zła na Ivankę. Wybiegłam z domu, trzasnęłam drzwiami, aż tabliczka z napisem „Cerrado” spadła na ziemię, i poszłam szybkim krokiem w górę ulicy, byle dalej, przed siebie, niesiona desperacją i złymi emocjami. Kluczyłam tak po okolicy bez sensu, ze złudną nadzieją, że ucieknę od losu albo znajdę za następnym rogiem cudowne rozwiązanie – księcia z bajki lub milion dolarów, ale (znając tutejsze ceny) lepiej dwa. Nie znalazłam, lecz ochłonęłam, uspokoiłam się i dla świętego spokoju uznałam, że świat nie kończy się na Amapoli, choć na Majorce, jak dla mnie, czasami tak.

Gdy wróciłam do domu, znalazłam Ivankę we łzach. Leżała na kanapie, wtulona w pulchne ramiona Ewy, która kołysała nią jak dzieckiem do snu. Oczy Ivanka miała czerwone od płaczu, policzki czarne od rozpuszczonego tuszu, a włosy pozlepiane i mokre od łez. Nie przypuszczałam, że aż tak histerycznie zareaguje na jedno trzaśnięcie drzwiami.

– Ivanka, wybacz, nie chciałam... – Uklęłam przed nią jak przed pietą i pogłaskałam ją po ramieniu. Drobiniki brokatu zostały mi na palcach.

– Lena... – zachlipała.

– Lena?! Coś ci zrobiła?

Ivanka zaryczała głośniej, a Ewa wywaliła wymownie oczami i dyskretnie zrobiła ręką gest podcinania gardła. Nic nie rozumiałam, kto miał kogo zabić i dlaczego?

– Lena nie żyje! Od trzech dni, ale dzisiaj ją dopiero znaleźli... – wydukała Ivanka przez łzy.

Faktycznie ostatnio nie widziałam Pofastrygowanej przy stałym stoliku, ale szczerze mówiąc, zniknięcie całego tego towarzystwa nawet mi odpowiadało. Ivanka znacznie mniej piła, a rachunek przestanie na jakiś czas rosnać. Teraz było mi jednak przykro, nie przypuszczałam, że Ivanka aż tak z nią była związana. Może dlatego pozwalała jej nie płacić za wino?

– Jak to się stało? Miała wypadek?

– A jak myślisz? – odezwała się Ewa z nieukrywanym przekąsem. – Garść tabletek i butelka wina. Proste! Dużo człowiekowi do śmierci nie trzeba! Jednak mąż i dzieci to w życiu podstawa dla kobiety, szczególnie starszej! I weźcie sobie to do serca, moje panny! A nie takie śmirdum dyrdum z pierwszym lepszym jak nastolatki. Widać, czym to się potem kończy! Samotność zawsze jest straszna...

– Daj spokój! Nie widzisz, jak Ivana to przeżywa! Nie wiedziałam, że się przyjaźniłyście, tak mi przykro.

– Nie, wcale się nie przyjaźniłyśmy. Ale tylko pomyślcie, jak ona trzy dni leżała tam sama. A jak ja umrę, to mnie też moe nikt nie znajdzie. Zatem, kiedy dzieci na wakacjach... Kto mnie znajdzie? W taki upał...

– No to ja bardzo przepraszam! – oburzyła się Ewa i odsunęła od siebie Ivanę. – Jeśli to jest jej problem, to ja nie mam tu już nic do powiedzenia. Boi się, że jak umrze, to jej się ciało popsuje w ten gorąc!... Czechosłowacka królowna się znalazła! Też coś!

I tak moje krzywe zwierciadło z hukiem upadło na ziemię i rozbiło się w drobny mak. Już nigdy się w nim nie przejrzę...

Dawno, dawno temu, kiedy dopiero co zdałam sobie sprawę, że jestem

ładną dziewczynką, usłyszałam uwagę jakiejś starej ciotki, której twarz i imię zamazał czas, ale ton jej głosu i słowa, które wtedy przy mnie, niby o mnie, a może nie o mnie, powiedziała, zostały mi w pamięci do dziś: „Pięknym kobietom trudniej się starzeć, brzydkie tak bardzo nie cierpią. Nie tracą przecież wiele”.

[\[11\]](#) (hiszp.) – wyprzedaje

DOM TRZECH KOBIEC

Tej nocy dom z fioletowym neonem „Amapola” tylko pozornie pogrążony był we śnie. Minęła druga, światła w oknach dawno już pogasły, ale w każdej z jego trzech sypialń życie toczyło się dalej. W największej, *matrimonio*, sypialni małżeńskiej z oknem balkonowym na ogród i łazienką z okrągłą błękitną wanną, Zdenko Dragojević wywiązywał się z conocnych obowiązków w barterze. Najpierw jednak długo zapewniał Iwanke, że nie pozwoli jej ciała zepsuć się po śmierci, odnajdzie ją w trybie pilnym i zadba o odpowiednie chłodzenie. Musiała mu uwierzyć i w pełni zaufać, bo od pół godziny zza ściany dobiegały mych uszu krzyki rozkoszy, a drewniane łóżko skrzypiało przy tym w rytmie przesuniętym o ćwierćnutę. Teraz przeszły one w jęki, co oznaczało, że niedługo rozlegnie się lwi ryk Zdenka, a potem zapadnie cisza.

Z tego powodu w małej sypialni po drugiej stronie korytarza nie mogła zasnąć Ewa. Korki nie pomagały, gdyż twierdziła, że to nie decybele stanowią problem, lecz wibracje niosące się po ścianach. Leżała w ciemnościach, z rękami na kołdrze i myślała o swoim Wojtku, czy zjadł i czy córki zjadły, czy w ogóle dają same sobie radę, już przecież ponad tydzień nie było jej w domu. Myślała też o ich małżeńskim łożu, z politurowanej czeczotki, zakupionym ćwierć wieku temu w Desie, które przy każdym ruchu skrzypiało podobnie jak to Iwanke, ale wcale nie tak rytmicznie i długo.

W trzeciej sypialni, z telefonem przy uchu i kieliszkiem wina przy łóżku, leżałam ja. Staralam się nie myśleć o tym, że niedługo boleśnie utracę urodę i nikt nie będzie szukał mojego nieładnego ciała po śmierci. Chyba na wszelki wypadek przed pięćdziesiątką ponownie wyjdę za mąż, może nawet za patologa. Dopiero rozmowa z Altosem zbliżyła mnie do spraw bieżących, czyli sprzedaży Amapoli. Według mnie sytuacja była beznadziejna, a moje szanse na dalszą tu egzystencję, choćby z doskoku, żadne. Altos był innego zdania, a na dodatek pierwszy raz wyszedł z niego nie szaman, ale trzeźwo kalkulujący Szwajcar.

– Źle na tej sprzedaży nie wyjdiesz! I będziesz mogła wpłacić pierwszą ratę za swoje własne mieszkanie! Na przykład koło mnie, na Paseo Maritimo. Czyż to nie wspaniałe, *Prinzessin*?

– Nie! Bo z czego zapłacę kolejne? Zresztą Marek w życiu by się na to nie zgodził...

– Przypominam, że nie jest twoim mężem. Choć gdyby był, może zapłaciłby za kolejne raty, kto wie? Mam o to zapytać Moce? A Ivanka? Gdzie ona zamieszka? Bo chyba nie ze mną! – Nie wiedzieć czemu strasznie nakręcił się tą myślą. – Przecież jest Zdenko i te jej dzieci... Fúj, nie lubię dzieci!

– Myślę, że ona wcale nie zamierza sprzedawać całego domu... Może jakoś go przebuduje dla siebie? A sprzeda tylko front z kawiarnią?

– E tam, niczego nie sprzeda! To nie takie łatwe, jest kryzys. Prawda, Wasan? – rzucił gdzieś w głąb pokoju.

– Jak on?

– Jest słaby, ale dusza nie chce jeszcze opuścić ciała. Czymże są twoje problemy wobec nadchodzącej śmierci?

W związku z tym, że chodziło mimo wszystko o nadchodzącą śmierć starego psa, moje problemy chyba wcale nie były takie nieistotne. No i też były egzystencjalnej natury. Wciąż nie mogłam sobie wyobrazić mojego istnienia bez jednej nogi na Majorce. Nogi, która od jutra będzie nosiła piękny sandałek od Diora!

DIEGO DE LA CRUZ

W zaistniałej sytuacji plany rozwoju stosunków polsko-niemieckich z Timem, a co za tym idzie, prezentację wczorajszych zakupów w klasztorze Kartuzów, musiałam odłożyć na później. „Biznes to biznes. Musicie być na spotkaniu!” – orzekła Ivanka i pewnie miała rację. Potencjalny kupiec został umówiony na jedenastą trzydzieści, a tymczasem trwały przygotowania do tego kluczowego wydarzenia. Marisa, która dzisiaj specjalnie wcześniej przyszła do pracy, kończyła polerowanie kuchni, Ewa uznała, że nie warto rozkładać się nad basenem, bo a nuż klient zechce obejrzeć ogród za domem, ja pielęgnowałam w sobie urazę, a Ivanka siebie, w łazience, od samego rana, i to pełną parą, bo jednocześnie włączona suszarka do włosów i prostownica trzy razy wysadzały korki. Gdy w końcu, przygotowana na biznesowe spotkanie, zbiegła na dół, jęknęłam.

– Krasne? – spytała rozpromieniona.

– Nie wiem, raczej nie. Wyglądasz, jakbyś sprzedawała burdel, a nie kawiarnię! Chociaż te loki odczep! I spódnicę włóż!

Parsknęła jak kotka, naciągając elastyczny materiał do połowy uda, ale po dwóch krokach wrócił na swoje miejsce dokładnie tam, gdzie kończą się pośladki i zaczynają nogi. Podeszła do lustra i cmoknęła do własnego odbicia.

– Przesadzasz! Dobrze jest!

– No, ja nie wiem, nie wiem! – wtrąciła się Ewa. – Ja tej wyspy nie rozumiem i nie będę się wypowiadać, ale jak dla mnie, to nie jest dopuszczalne... No i czy to wypada tak się ubrać po śmierci tej Szwedki? Nie powinna mieć żałoby? Może przynajmniej niech rzęsy odklei?

Ivanka pozornie wzruszyła ramionami, ale zabrała się do studiowania swoich oczu za pomocą bocznego lusterka.

– Czy my w ogóle mamy jakąś wycenę? Radziłaś się kogoś? – zapytałam.

– Jesteśmy bezcenne! – zasepleniała, bo trzymała w ustach lewe rzęsy,

które jednak zdecydowała się zdjąć.

– I tak powiesz temu człowiekowi? Bezcenne? Skąd on się w ogóle wziął?

– Rzekła ti, że z ogłoszenia. Pan Diego de la Cruz.

– Diego de la Cruz? Pewnie naprawdę nazywa się Don Pedro, ma czarne włosy, czarne wąsy i metr pięćdziesiąt i mówi „Karramba!”...

– Cha! Cha! Baltazar Gąbka! – roześmiała się Ewa serdecznie. – A ona nawet nie wie, o kim mowa!

Jednak Diego de la Cruz nie okazał się ani Baltazarem Gąbką, ani Don Pedrem z Krainy Deszczowców, tylko wysokim szpakowatym szatynem o piwnych oczach i miłej aparycji. Ubrany był, jakby zszedł z planu brazylijskiego sitcomu: w biały garnitur, różową koszulę i wielki złoty sygnet na małym palcu. („Widelasz ten jeho zlaty persten? Pekny! On może jaki baron albo princ?” – zapyta później Ivanka). Choć Diego najlepsze lata miał już za sobą, na oko dobiegał sześćdziesiątki, zareagowała na niego bardzo emocjonalnie – uśmiechała się głupio i nerwowo nawijała pasma włosów na palec. Diego zresztą też wziął udział w podświadomym tańcu godowym, bo bez przerwy gładził się po zaczesanych do tyłu włosach. Nieraz czytałam w mądrych poradnikach, że bezwiedne powtarzanie czyichś ruchów to ukryta potrzeba zbliżenia się do naśladowanej osoby, a dotykание własnych włosów to gest zasadniczo seksualny.

Gdy w końcu przestali się dotykać po głowach, Ivanka obciągnęła sukienkę do połowy ud, Diego wyciągnął mankiety z rękawów marynarki, przy czym złote spinki błysnęły w słońcu, i zaczęliśmy zwiedzanie od kuchni. Tam de la Cruz najbardziej zainteresował się Marisą, do której puścił oko, oraz włoskim ekspresem do kawy, w którego błyszczącej, chromowej obudowie ukradkiem się przejrzał i poprawił fryzurę. W ogrodzie pochwalił nasze figowce, a w kawiarni zachwycił się amatorskimi rysunkami maków, które zdobiły ściany.

– *Muy bien, muy bien!*^[12] – mruzczał, rozglądając się po pomieszczeniu. –

Bardzo mi się tu podoba!

– *!Gracias!* Spróbuje pan naszego tortu? Proszę siadać! – Ivanka sprytnie pochyliła się nad stolikiem, tak żeby siedemdziesiąt procent biustu wypadło z dekoltu.

Diego oblizwał usta. Ivanka natychmiast pociągnęła swoje błyszczkiem, który zawsze miała w pogotowiu.

– Z pani rąk wszystko będzie mi smakowało. – Podbił stawkę.

– Dołożę wszelkich starań!

– A ile mnie to będzie kosztowało? – brnął.

– Dużo! – włączyłam się do rozmowy. – Rozmawiałam z rzeczoznawcą i biorąc pod uwagę naszą popularność, rosnące obroty, stałą współpracę z hotelami i umowy na następny sezon, wartość naszej firmy Amapola S.L. jest znacznie wyższa, niż przypuszczaliśmy. Do tego dochodzą oczywiście wartość wyposażenia i sprzętu, zasoby ludzkie...

– Dałam to ogłoszenie w czasie emocjonalnego kryzysu, dość dawno temu... Wiele się zmieniło. W międzyczasie zrobiłyśmy wycenę i... – wyjaśniła Iva.

– Ogłoszenie? Jakie ogłoszenie? – zdziwił się Diego.

– Przecież tam mnie pan znalazł, czyż nie?

– Faktycznie, przepraszam, zgłupiałem na pani widok! I na pani też! – W końcu na mnie spojrzał, zaświecił białymi zębami i jednym platynowym.

– Ile tu jest metrów?

– Kawiarnia na dole, razem z kuchnią, zajmuje trochę ponad sto metrów plus drugie sto na tarasie. No i ogród od frontu. Ale czemu pan pyta? Nie sprzedaję przecież domu, tylko kawiarnię!

– Nie rozumiem – mruknął i chyba puścił do mnie oko. A może miał tylko taki tik. – Kawiarnię, czyli właściwie co? Te stare meble? Lodówki? A może tylko same torty?

– Przecież słyszał pan, co tworzy naszą wartość! Mam powtórzyć? Jutro mogę panu wysłać operat szacunkowy, proszę bardzo! – uniosłam się honorem współwłaścicielki.

– *Guapa*^[13]! – Pokręcił głową. – Chyba sobie żartujesz! To nic niewarte!
Nunca y nada^[14]!

– No trudno, w takim razie nie ma o czym mówić. Dziękujemy panu! Do widzenia!

– Niech się panie dobrze zastanowią. – Wstał i skierował się do wyjścia.
– Mógłbym na razie kupić sam parter, z prawem pierwokupu piętra na ustalonych warunkach... Płacę cenę rynkową, łatwo sprawdzić, ile kosztują domy w tej okolicy...

– Niech się pan jednak zastanowi nad kupnem samej marki Amapola!
A parter panu wynajmę na dziesięć lat... – Ivanka próbowała go zatrzymać, ale Diego był już w drzwiach.

Wsiadł do swojego czarnego maserati GT i z piskiem opon odjechał.

Gdy wróciłyśmy do salonu, Ewa czekała na nas wzburzona.

– Co to w ogóle było? Przecież widać gołym okiem, że to jakiś alfons!

– Raczej oszołom.

– Nie będziecie mu nic sprzedawać! Ja czuję, że to jakiś aferzysta. I ten samochód! Pewnie kradziony!

– Tak myslite? – zasepiła się Ivanka.

Akurat tak nie myślałam, ale wdzięczna byłam Ewie za te słowa jak nigdy. Widmo sprzedaży Amapoli jak gdyby trochę zmałało. Ivanka nie była zadowolona z biznesowych rozmów, w milczeniu odpięła loki, nałożyła fartuch i zniknęła w kuchni. Znowu mogłam skupić się na tym, co istotne – na Timie, Chopinie i szmaragdowej sukience od Blumarine.

Teraz ja zamknęłam się w łazience na dwie godziny i to moja suszarka kilka razy wysadziła korki. Nakręciłam włosy, zrobiłam mocniejszy niż zwykle makijaż i – co najważniejsze – włożyłam większość moich wczorajszych nabytków; koronkową bieliznę, króciutką sukienkę i nowe szpilki. Efekt był powalający. Ledwo się sama w lustrze poznałam.

– A ty do klasztoru czy na randkę? – Ewa przyjrzała mi się z nieukrywaną niechęcią.

– Dwa w jednym! Lubię praktyczne rozwiązania!

– No, nie wiem, czy te szpile będą takie praktyczne na bruku... A może bym się z tobą zabrała? Jak widać, autobusem nie mogę się wybrać, a przecież grzech nie zobaczyć takiego miejsca!

– Ale ja... – Ale ja muszę uwieść Tima. Moją sukienką, moimi diorami, całą sobą. I w ogóle jak najszybciej z tego głupiego klasztoru teleportować się nad jego basen.

– Nie martw się! Zajmę się sobą, pozwiedzam miasteczko, na mszę pójdę... A ty sobie pogadasz ze swoim profesorkiem, ja i tak nie znam niemieckiego. – Zarzuciła na ramiona swoją seledynową chustę z aniliny. – A ty? Nie nałożysz sweterka? Chyba tak goło do klasztoru nie pójdziesz? A to się jeszcze zdziwisz!

A KISS IS JUST A KISS

Jechałyśmy do Valldemossy bocznymi drogami, przez wsie i miasteczka, przez Esporles, Son Comes, Ses Rogetes, bo chciałam pokazać Ewie sielski pejzaż, żywcem wyjęty z kiczowatych pocztówek. W każdym miasteczku stały przynajmniej dwa kościoły oraz niezliczone kapliczki, na co nigdy nie zwracałam uwagi. Do dzisiaj. Ewa, zamiast podziwiać architekturę, krajobraz, owieczki i gaje oliwne, kręciła się nerwowo na siedzeniu, jakby cierpiała na chorobę świętego Wita.

– O, tam! Czy to przypadkiem nie był kościół? – pytała. Wzruszałam ramionami, a ona na wszelki wypadek szybko i sprawnie wykonywała znak krzyża jak prymuska na katechezie. Gdybym wyjęła teraz dywanik do modłów i uklękła na nim w kierunku Mekki, ciekawe, jak by to zniosła? Miała szczęście, że jestem ateistką!

– A ty wiesz, że miejscowi chłopcy wygonili zakonników z klasztoru w Valldemossie prawie dwa wieki temu? A cele przerobili na kwatery do wynajęcia. Chopin wcale nie mieszkał u świątobliwych braciszków... Nic świętego tam od dawna nie ma. Nawet mszy.

– No, co ty mówisz? Klasztor zamienili w hotel?!

– Raczej w noclegownię. Patrz, niby tacy zahukani wyspiarze, a jacy postępowi! I to już wtedy! Zresztą zakonnicy pewnie by nie przygarnęli pod swój dach nieślubnej pary, złożonej z kaszłącego muzyka i z genderowo nieokreślonej kobiety o imieniu Jerzy...

Miałam wrażenie, że po tych słowach Ewa straciła trochę entuzjazmu dla górskiej wycieczki, bo zamilkła, obrażona zarówno na mnie, jak i na kartuzów, że łatwo oddali bezbożnikom klasztor. Nawet nieziemski widok Valldemossy, zawieszony na zielonym wzgórzu, jej nie ucieszył. Szła przez cudne wybrukowane uliczki, mijała domy jak z teatralnej dekoracji, wszystkie o zielonych okiennicach i kamiennych fasadach, wlokła się przez bajkową scenerię w tych swoich cielistych birkenstockach, rybaczkach spiętych w pasie agrafką i topiku podkreślającym grube ramiona. Czasem czułam się przy niej jak jedna z jej córek. Dopiero na placyku przed klasztorem wydała z siebie pierwszy dźwięk.

– O, Chopin!

– To rzeźba Zofii Wolskiej, też zakochała się w Majorce, jak ja. Nawet ją tu kiedyś poznałam. Zatrzymywała się w Punta Negra. No, podoba ci się? Pogłaszcz go po nosie, to kiedyś wrócisz do Valldemossy!

Ewa podeszła do głowy z brązu i z całej siły potarła złoty nos Fryderyka, jakby naprawdę bardzo chciała tu wrócić.

– Zdecydowanie wolę dotykać biustu Giulietty w Weronie... –

Usłyszałam znajomy szept za plecami. – Zresztą niekoniecznie Giulietty...

To wystarczyło, bym zamarzyła o staniu się posągiem. Natychmiast!

– O, to pewnie nasz pan profesor! Hełoł, ajem Ewa! – Wyciągnęła rękę. – No, całkiem on niczego sobie! Tylko jaka szkoda, że akurat Niemiec.

Ja tam niczego nie żałowałam!

– Wejdziemy bocznymi drzwiami, muzeum i tak nas nie interesuje.

Drogie panie, tędy!

Za progiem powitał nas przejmujący chłód. No, skoro tak jest w lipcu, to w zimie nieźle musiało tu naszych letników wymrozić.

– A mówiłam, żebyś wzięła coś na ramiona! – Ewa okryła się seledynową chustą, zadowolona z własnej zapobiegliwości.

„Mnie musi rozgrzać coś innego” – pomyślałam i popatrzyłam na Tima.

– Aj goł, ju łerking! – zarządziła wspaniałomyślnie, gdy weszliśmy do ostatniej, niedostępnej dla publiczności celi, w której trzymano niewystawiane zbiory. – Pochodzę sobie, może jakaś kaplica jednak się tu znajdzie...

– Na drugim końcu korytarza coś takiego widziałam... Idziesz tu w lewo, a potem do końca prosto, przy wyjściu z muzeum.

– Daleko! – powiedziała zmartwiona.

– A po drodze masz celę Chopina. Koniecznie wyjdź na taras, miał apartament z widokiem na morze! I pianino obejrzyj! I jego gipsową rączkę rozmiar XS! Malutka jak u dziecka.

Popatrzyła, jakbym mówiła do niej w narzeczu Indian Amazonii, westchnęła, ale sobie poszła.

Nareszcie byłam sam na sam z Timem. Opierał się o jedną z gablot i przyglądał czemuś uważnie. Ja też, a mianowicie jego niesamowicie apetycznemu tyłkowi w jasnych dżinsach, tych samych, które miał wtedy na plaży. Czy moja nowo odkryta wrażliwość na męskie zadki ma coś wspólnego z wiekiem? Kiedyś zwracałam uwagę raczej na szlachetne rysy i piękne ręce. A dłonie miał naprawdę perfekcyjne. Długie, ale nie chude, za to proste i mocne palce byłego pianisty delikatnie stukały w szybę gabloty.

– Zobacz! Te manuskrypty, które chcę rozszyfrować, są napisane bardzo podobnym charakterem i chyba w tym samym języku. Mogą to więc być notatki Chopina albo listy...

Nachyliłam się nad nim, niby niechcący muskając włosami jego szyję i poczułam ciepły, miły zapach. Zaciągnęłam się nim jak nałogowiec pierwszym cugiem po wyjściu z samolotu.

– Przyjrzyj się! Potrafisz coś odczytać? – spytał.

Ni chuja! Może bym i potrafiła, gdybym miała ze sobą okulary, a tym bardziej odważyła się je przy nim założyć. Ale kto to widział – atrakcyjna laska w plusach do czytania? No nie!

– Nie jestem pewna... – Skorzystałam z okazji i przysunęłam się do niego bliżej. – Tu jest chyba napisane... – Niby niechcący dotknęłam policzkiem jego policzka. Miałam ochotę zamknąć teraz oczy i zanurzyć się w tej bliskości, a nie wpatrywać się w jakieś dziewiętnastowieczne bazygroły.

– To pierwsze słowo... czy to nie z-i-m-a?

Cholera wie! Nic nie widziałam. Za to Tim odwrócił głowę i poczułam jego oddech na twarzy. Pomalutku skręciłam wzrok w jego stronę. Dzielily nas już tylko centymetry, milimetry, sekundy... Co za słodka chwila niepewności, za każdym razem jedna, jedyna, niepowtarzalna i najlepsza jak pierwszy kęs makowego tortu. Wszystko jeszcze może się wydarzyć, wszystkie furtki są otwarte. Mogę nie zjeść, spróbować kawałek albo pożreć go całego. Rozkoszuję się tym napięciem. Mogę się jeszcze wycofać, wystarczy, że się wyprostuję, zwiększę dystans i rozbiorę tę chwilową intymność. Wciąż niewinną. Wciąż niby przypadkową. Zastygliśmy na tej granicy, bojąc się ją przekroczyć, ale też nie chcąc się z niej wycofać. Trwaliśmy tak ni tu, ni tam, chwile, minuty, wieczność. I coś mnie pchnęło, siła niewidoczna przesunęła mnie ten brakujący centymetr i nasze usta się odnalazły, najpierw ledwo muskając się wzajemnie, mieszając nasze oddechy, aż w końcu łapiąc się coraz łapczywiej i mocniej...

– Hmmmhmmm! Ja bardzo przepraszam, ale mój telefon jest w twojej torebce... Nie przeszkadzajcie sobie! Ajem sori! Onli tejk telefon.

Ostatni raz się tak czułam trzydzieści lat temu, kiedy matka przyłapała mnie w ogródku z Krzysiem z IIIc. Z tym że wtedy nie było mi tak dobrze, bo nie stopniowałam napięcia, tylko na zimno testowałam technikę całowania z języczkiem. Za to w panikę wpadłam teraz większą i spuszczając wzrok, bez słowa podałam jej torebkę. Miałam ochotę zapaść

się do krypty, która pewnie była pod nami, ale ziemia jakoś nie chciała się rozstąpić.

Płonęłam. Nordyk natomiast zachował zimną krew i przyglądał się nam lekko rozbawiony. Może, według hanzeatów, wszystko jest aseksualne? Nawet namiętność.

– Chyba lepiej będzie, jak jutro pojedę do Warszawy. – Odezwała się do mnie dopiero w samochodzie, gdy zostawiłyśmy Valldemossę i Tima w odległości, którą uznała za bezpieczną. – Nie chcę być świadkiem tego, co tu się dzieje!

– Ale to był niewinny pocałunek... Jakoś tak samo wyszło. Głupota. Wiem, że nie powinnam.

– Jaki tam niewinny! A dalej co? Grzech! Ja nigdy bym Wojtka nie zdradziła. Wyobraź sobie, że on jest najlepszy. I w łóżku, i wszędzie!

O, nie! Wcale nie chciałam sobie tego wyobrażać! A zresztą, skąd ona ma wiedzieć, jak smakuje homar, skoro jadała tylko schabowe?

– I tak zamierzasz z Wojtusiem do końca życia? Bo ja nie wyobrażam sobie, że statystyczne i ostatnie trzydzieści pięć lat, które mi pozostały, będę się bzykać z tym samym facetem! Potrzebuję świadomości, że drzwi się za mną jeszcze nie zatrzasnęły. Pytanie tylko o *timing*, bo po pięćdziesiątce może być trudno o chętnego... Chyba że sobie kupię egipskiego beach boya. Ze skromnej emerytury. Cha! Cha! – prowokowałam i sama śmiałam się z tych szalonych pomysłów. Ale Ewie nie było do śmiechu.

– A jak się zakochasz?

– To mi nie grozi. Panuję nad tym. Czysta technika. Gimnastyka i samo zdrowie.

– Nie wierzę! Zakochasz się i będą kłopoty. A Marek nigdy ci nie wybaczy.

Wiem, dlatego nigdy tego nie zrobię.

Dręczona wyrzutami sumienia zadzwoniłam w nocy do Marka.

Chciał wiedzieć, czy mam coś pilnego, bo pracował właśnie nad czymś „niezwykle ważnym”, nad czymś, co pewnie uratuje cywilizację od zagłady.

– Marek, jest pierwsza w nocy! Kiedy ze mną porozmawiasz?

– No słucham!

– Tęsknię za tobą... Obiecałeś, że przyjedziesz.

– Ja MUSZĘ być w pracy, a ty CHCESZ być na Majorce... więc chyba logiczne, że to ty powinnaś przyjechać, skoro tęsknisz. Nikt ci nie każe tam siedzieć!

– Ja też mam tu pracę...

– Nie rozśmieszaj mnie!

Rozłączyłam się i wyłączyłam telefon.

Niepotrzebnie, rano okazało się, że wcale nie próbował się dodzwonić.

[12] (hiszp.) – Bardzo dobrze, bardzo dobrze!

[13] (hiszp.) – Piękna!

[14] (hiszp.) – tu: Nigdy w życiu!

WPADKA

Ewa wyjechała. Cudem boskim załapała się na ostatnie miejsce w czarterze lecącym, co prawda, do Katowic, ale uznała, że niepatrzenie na moje (potencjalne) grzechy, a w szczególności na łamanie szóstego przykazania, warte jest trudu dodatkowych trzech godzin pociągiem. Zgodziłam się z nią chętnie i cieszyłam, że teraz pozostanę w pobliżu mojego obiektu kuszenia i adoracji sama, bez dodatku nadgorliwej przyzwoitki. Na pożegnanie podarowałam jej dwa wielkie pudła typowych dla Majorki *ensemald*, grubo posypanych cukrem pudrem drożdżowych bułek w kształcie ślimaka, które zje pewnie już w przedziale Intercity do Warszawy Głównej.

Po południu pojechałam do NIEGO. Oczywiście w sprawach służbowych. Tim skopiował rękopisy, które go interesowały, a ja tym razem zabrałam okulary, tyle że fotochromy w oprawkach Chanel, idealne do eleganckiego zamaskowania dalekowzroczności starczej.

Gdy podjeżdżałam pod jego dom, byłam dziwnie zdenerwowana. Nie wiedziałam, czy robię dobrze, czy źle, a tym bardziej nie wiedziałam, co zrobię. Zemszczę się na Marku? Posłucham Marii Pinczerek? Pokażę światu, że nie jestem okropną Ewą, którą zdradza nawet Wojtuś? Udowodnię sobie (i profesorowi), że jestem veRRy sexy?

Serce waliło mi jak młotem, a ręce drżały jak w klasycznym delirium. Wyjęłam ze schowka na rękawiczki dwie małe Brandy de Jerez, wlałam

je sobie do gardła i zagryzłam mentosami o smaku eukaliptusa. Żeby nie było, że jak Polka, to od razu pijąca. Sprawdziłam w lusterku, czy wszystko było na miejscu, spryskałam się perfumami i wyszłam z samochodu. Raz kozie śmierć, teraz albo nigdy! Profesorze Stegmann, uważaj, nadchodzę!

Otworzył mi drzwi i spojrzał na mnie jakby zdziwiony, a przecież byliśmy umówieni na piątą, która właśnie minęła. Chyba nic nie pomyliłam?

– Ładnie wyglądasz... Wejdz, proszę! – wydukał.

No myślę, że ładnie, bardzo się przecież starałam. Włosy upięłam w elegancki kok, zamiast obcasów założyłam płaskie balerinki, a sukienkę zastąpiłam jedwabną tuniką w kolorowe wzory, z przewagą różu i fuksji. To było, oprócz szmaragdowej kreacji od Blumarine, jedyne, co nadawało się na randkę z Timem. Pod warunkiem równoczesnego niezłożenia spodni, co uczyniło z grzecznej tuniki niegrzeczne supermini, ledwo zakrywające moją świeżo opaloną pupę. Nawet Ivanka doceniła odważny *styling* i z aprobatą pokiwała głową. „To je takowe supersexy, Magdalenka!”. Szukałam więc teraz i w oczach Tima podziwu, a znalazłam...

– To jest właśnie nasza Magda z Polski. A to doktor Hauser...

Zza pleców Tima wynurzył się jakiś nobliwy, starszy pan. Zamarłam.

Podaliśmy mu rękę i czułam, że moja twarz nabrała koloru tuniki, zlałam się z nią w jedną pąsową plamę. „Nasza Magda z Polski”, czerwona jak burak, z pupą na wierzchu i z lekko alkoholowym oddechem. No, brawo!

– Doktor Hauser jest właścicielem tego domu, użyczył mi gościny. Też jest wielbicielem Chopina...

Nie mogłam zebrać myśli, poza jedną, której się uczepiłam i która dawała mi nadzieję.

– Jest pan lekarzem, doktorze Hauser?

– W pewnym sensie. – Staruszek się uśmiechnął.

Boże, spraw, żeby okazał się chociaż internistą, profesjonalnie odpornym

na gołe ciało. To być może pozwoliłoby mi poczuć się ciut lepiej.

– Doktor Hauser to guru niemieckiej psychoterapii i właściciel słynnego ośrodka odwykowego w Nadrenii. Ma pacjentów z całego świata i, jak widać, ogromny sukces. – Tim pokazał szerokim gestem na wart milion dolarów widok z tarasu.

No to koniec! Psycholog od uzależnień. To już mnie pewnie zdiagnozował dwa razy. Seksoholizm i alkoholizm. No i ekshibicjonizm pewnie też. I tak właśnie się skończył mój romans z Timem, nim zdążył się zacząć.

Miażdżącą DIAGNOZĄ!

– Napijesz się?

– Wody! Tylko wody! – krzyknęłam.

– Tylko wody? Na pewno?

– Tak! Ja nie piję! Wody poproszę!

– Chodziło mi o kawę! Właśnie robię. Siadajcie! – Dopiero teraz zauważyłam, że cały czas trzymał puszkę z kapsułkami nespresso.

Zniknął w kuchni, a my z doktorem usiedliśmy w wiklinowych fotelach na tarasie. Wybrałam ten, na którym leżał puchaty ręcznik kąpielowy Tima. Pomalutku, centymetr po centymetrze, naciągnęłam go na podolek, przykryłam gołe uda, bo w pozycji siedzącej tunika ledwo przykrywała mi majtki, ale i za to nie dałabym głowy. Doktor obserwował mnie bacznie.

– Troszkę mi zimno... – usprawiedliwiłam się.

– Łatwo pani marznie, mamy jakieś trzydzieści stopni... w cieniu.

– Tak, bardzo łatwo. – Strużki potu leciały mi po skroni. – Mam dreszcze, chyba to letnia grypa, gdzieś złapałam...

Moja wizyta zamieniała się w postępie liniowym w niewyobrażalną katastrofę. Siedziałam jak na szpilkach i marzyłam o tym, żeby stąd zniknąć i to bez konieczności wstawania z fotela. Najbardziej chciałabym na nim odlecieć... Uciec stąd w tej piekielnej kusej tunice z pola widzenia doktorka, dolecieć do szafy i włożyć spodnie. Boże miłościwy, ześlij mi tu spodnie! Albo choć spódnice!

Tim wrócił po kilku minutach, które dla mnie trwały całą wieczność.

Postawił przed nami malutkie filiżanki z espresso, karafkę z wodą, a na środku stołu rozłożył jakieś papiery.

– To właśnie są te rękopisy... to znaczy oczywiście, kopie... Spójrz!

Jak mam spojrzeć? Może podejść do stołu, żeby się im przyjrzeć? Nigdy!

– Podasz mi jeden, proszę? Tak mi się dobrze tu siedzi... Mmmm... – zamruczałam.

– Pani Magdzie jest zimno, musi chować się pod ręcznikiem – skomentował doktor, a ja od razu wyczułam prowokację.

Udowodnię ci, doktoru, że nie mam problemów, kompleksów i fobii! Zresztą do stracenia też nie miałam już nic. Zrzuciłam ręcznik, może zbyt teatralnie, wstałam z fotela i stanęłam między stołem a Timem.

Nachyliłam się nad papierami, zginając ciało pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, a mój zadek, jak z procy, wyskoczył przy tym do tyłu, bardziej, niż tego chciałam, zatrzymując się dopiero na biodrach Tima. No, prawie na biodrach, zabrakło kilku centymetrów.

– Czy chodzi o ten list? – spytałam.

– Chyba tak... – Tim pochylił się nade mną, dotykając mnie ciut bardziej, niż było to konieczne, i gdyby nie obecność moich majtek, jego dzinsów oraz doktora sprawy mogłyby się potoczyć już tylko w jednym kierunku. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– To chyba jest jakaś lista zakupów... albo wydatków... i jakieś liczby, zaraz, pięć franków, pomarańcze...

– Pokaż! – Tim przywarł do mnie mocniej.

Na miejscu doktora w tym momencie bym wyszła. Albo właśnie została. Sama już nie wiem. A on, jak na zawołanie, podniósł się z fotela. Ale zamiast wyjść, podszedł do nas i pochylił się nad stołem z przeciwnej strony. Jego głowa, jak barani łeb, niemalże dotknęła mojej. Doktor z przodu, profesor z tyłu. Jezus Maria, zanosi się na akademickie *ménage à trois*!

– Wiemy z dokumentacji i listów, że Chopin kupował od chłopów pomarańcze... i dziwił się, że takie tanie, w Paryżu kosztowały wtedy

majątek. A to, być może, jest lista zakupów... Ciekawe, bardzo ciekawe... – powiedział doktor od frontu.

– I mleko też kupował. Oszukiwali go zresztą przy tym, dolewali wody... – dodał Tim z tyłu, muskając przy tym ciepłym oddechem moje ucho. – Skarżył się na to w listach do Fontany. I nie tylko na to. Nie był tu ani lubiany, ani zbytnio szczęśliwy... Gdyby tubylcy wiedzieli, jaki majątek na wizycie Sand i Chopina zbiją następne pokolenia, pewnie zachowywaliby się przyzwoiciej.

– Tak, łatwego życia tu nie miał, biedaczek. Ale czego nie robi się dla kobiety! – Hauser westchnął.

– I to dla takiej, z którą podobno nie uprawia się seksu! – postanowiłam dodać coś od siebie.

– Tego przecież nie wiemy – uciał Tim. – Możemy się tylko domyślać i interpretować uwagę Sand, że żyli tam jak w klasztorze.

Wydaje mi się, że „jak w klasztorze” to pojęcie bardzo szerokie, może zawierać wszystko, nawet pornografię, i to dziecięcą, a co dopiero pozamałżeński seks pianisty z francuską emancą, ale postanowiłam nie drażnić tematu. Mnie w każdym razie życie seksualne na drewnianej pryczy w zimnej, wilgotnej celi specjalnie nie kręci. Sypialnia Tima, zapewne z wielkim, wygodnym łóżem, byłaby znacznie lepszym wyborem, nawet jeśli chwilowo tylko teoretycznym.

– A może nam coś zagrzasz, Tim? – Doktor wyprostował się. – Nie męczmy już pani Magdy!

Skorzastałam z zamieszania i szybko wróciłam na fotel. Tim siadł przy fortepianie. Już pierwsze takty mnie zaczarowały i przeniosły w świat pozbawiony problemów z kawiarnią, z brakiem spodni czy doktorem psychologii. Muzyka, którą katowano mnie w dzieciństwie na twardych krzesłach filharmonii, *Polonezem A-dur* w polskim radio w samo południe czy *Preludium e-moll* w scenach romantycznych i *Marszem żałobnym* w filmach powstańczych albo mazurkami na grających warszawskich ławeczkach, teraz lekko płynęła z otwartego salonu, rozlewała się na taras,

ogród, aż do morza. I nagle była piękna, wzruszająca, seksowna. Siedziałam zasłuchana w jej nieskończoną wielkość, zapatrzona w niebieski horyzont, jakby stworzony dla jej ogromu i siły. Doktor słuchał z zamkniętymi oczami, i tylko lekko drgające dłonie zdradzały, że nie śpi i przeżywa każdą nutę.

Tim skończył grać, wrócił na taras i ukucnął przy moim fotelu.

– Podobało ci się? To była *Fantazja-Improptu*. Polaków można kochać już za to, że mieli Chopina... To powiedział Tołstoj, ale coraz bardziej się z nim zgadzam.

Wizyta więc nie skończyła się katastrofą, ale też nie takim akordem, jak planowałam.

C-DUR

Następny dzień zaczął się w całkiem innej tonacji. Ivanka znajdowała się akurat w procesie cotygodniowego wybielania zębów za pomocą silikonowej nakładki z jakimś chlorowanym świństwem, przez co dom pachniał jak pływalnia sportowa w Ołomuńcu, gdy zadzwonił jej telefon.

– To Diego! Odbierz, nie mogę mluvit – zasepleniła i podała mi słuchawkę.

– *Ciao, bellissima!*

– Proszę się tak do mnie nie zwracać! Mówi Magda.

– *Señorita* Magdalena, co słychać? Muszę, niestety, wycofać się z oferty.

Nie jestem już zainteresowany kupnem nieruchomości. Sprawdziłem w urzędzie i okazało się, że dom pani Ivanki jest niewiele wart.

– To wspaniale! Dziękuję za wiadomość!

– Ile daje!?! – zapieniła się Ivanka. Pasta wybielająca spływała niebieską strużką z otwartych ust.

– A mogę wiedzieć, co to znaczy „niewiele”, panie Diego?

– Najwyżej dwieście pięćdziesiąt, może trzysta tysięcy euro, ale wątpię,

czy znajdziecie kupca... Nie sądzę, że ktoś będzie chciał mieszkać przy oczyszczalni ścieków. A tym bardziej prowadzić kawiarnię. Zapach fekałów i wypieków nie łączy się zbyt dobrze. Właściwie jestem zły, że zataiłyście przede mną ten fakt, że *planta de tratamiento de aguas residuales*^[15] będzie zbudowana w bezpośrednim sąsiedztwie!

– Ależ my nic o tym nie wiedziałyśmy! To okropne! Jest pan tego pewien? Nie można tego jakoś zatrzymać?

– No cóż, nie sądzę, ale zastanowię się, jak wam pomóc. Proszę ucałować pannę Iwankę. *Hasta pronto!*^[16].

W tabeli Holmesa i Rahe'a otrzymanie podczas wybielania zębów wiadomości o bankructwie musiałyby znaleźć się bardzo wysoko na liście najbardziej stresujących zdarzeń w życiu, bo Ivanka dygotała jak w febrze. Dopiero co udało jej się, i to z dużym trudem i kredytem, spłacić byłego męża, który swoją połowę domu niesprawiedliwie wycenił na prawie siedemset tysięcy. Biedaczka nie zdążyła z tego wszystkiego nawet dobrze przepłukać ust, pieniała się więc przy tym płaczu straszliwie. Pobiełam do kuchni po szklanek wody i xanax. Gdy wróciłam, nad Iwanką pochylał się przerażony Zdenko, którego szloch ukochanej dosięgły w garażu.

– A mówiłem, żeby nie jechała z dziećmi na ten biwak! Nocowania pod gwiazdami się zachciało, jebenti mater!

Ivanka zaryczała jeszcze głośniejsze. Nic z tego nie rozumiałam.

– On myśli, że netopyr mnie na wiosnę ukousł! I niech tak myśli! Nerzikej mu nic! – załkała w języku, który uważała za polski.

Obiecałam Zdenkowi, że zabiorę ją do lekarza, sama też łyknęłam xanax i zaczęłam działać.

RATUNEK

Nie było wyjścia, musiałam przyznać się do wszystkiego Markowi. Do wszystkiego, co usłyszałam od Diega. W sumie nie wiem, czego się po rozmowie z nim spodziewałam? Że mnie pocieszy? Przybędzie na ratunek,

zatrzyma budowę oczyszczalni, kupi nam nowy dom? Wyremontuje Sant Elm, żebyśmy mogły tam otworzyć Amapolę?

– Zrób coś! Wszystko nam się tu wali! – zaskomlałam na koniec rozmowy, z nadzieją że powaga sytuacji dotrze do niego na koniec świata, gdzie akurat przebywał.

– Mam *jet lag* i jest pierwsza w nocy. Muszę to sobie na spokojnie przemyśleć, ale wydaje mi się, że lepiej sprzedać szybciej i za mniej niż w ogóle. Jeśli to jeszcze da się sprzedać, bo każdy potencjalny kupiec i tak sprawdzi plany zagospodarowania. Obawiam się, że to patowa sytuacja. Rozumiesz teraz, dlaczego w Sant Elm nie inwestuję? Nic w tym hiszpańskim bałaganie zaplanować nie można, jedna wielka korupcja. Wystraciecie, a kto inny zyska. I dziwne, jeśli nie będzie to jakiś miejscowy burmistrz...

Jezu, jak ten człowiek potrafi w TAKIEJ sytuacji zachować spokój i zimną krew? Mój puls już dawno przekroczył dwieście i to na xanaksie.

– To tym jesteś teraz tak zajęta? Nie dzwonisz, nie odbierasz... – chciał nagle wiedzieć.

– Oddzwonię do ciebie, Altos się dobija! Może coś ważnego... Halo!

– Wasan odchodzi...

– Przykro mi, ale tu się wali i pali...

– Czy coś może być ważniejsze od życia i śmierci?

– Aktualnie pieniądze, a właściwie szambiarńia, czyli egzystencja, więc w sumie życie, głównie Ivanki. To skomplikowane. Puść mu może na razie nokturn Chopina... Poczekaj, zaraz sprawdzę... tak, opus dziewiąte, numer dwa... podobno wpływa kojąco.

– On nie lubi muzyki. Tylko gongi tybetańskie, w ostateczności flet. A może byś przyjechała na nocne czuwanie? Obawiam się, że to już ostatnie. Poprosimy też Wysokie Moce o pomoc dla was...

Nie sądziłam, że nocne czuwanie coś psu pomoże, a Moce cokolwiek w naszej sprawie działają. Ale chciałam go jakoś wesprzeć, więc zawiozłam mu dwie sałatki i pół blachy cebulowego placka, który

uwielbiał. Od kilkunastu dni nie opuszczał z domu, by nie przeoczyć momentu wyjścia duszy z ciała Wasana, zdany był więc na dostawców pizzy i łaskę znajomych, w tym moją. Mocno wychudł i w swym ciemnym skórzanym mundurku przypominał wielkiego pająka. „Czarny wdowiec” – pomyślałam, gdy otworzył mi drzwi. Wasan przez szesnaście lat był jego drugą połówką, całym emocjonalnym światem, z ludźmi Altos nie wchodził w bliższe relacje. No, może trochę ze mną.

Pokój psa, oprócz zapachu wonnych kadzidełek, wypełniał smród choroby i śmierci – mieszanina środków dezynfekujących, wymiocin i uryny. Zemdliło mnie jak we wczesnej ciąży, w której na sto procent nie byłam.

– Przepraszam cię, ale nie dam rady tu wysiedzieć. Dzwon o każdej porze dnia i nocy, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

– Pyszny placek! – powiedział, odgryzając kawałek cebulaka jeszcze w drzwiach. – A z tą szambiarnią coś wymodlę, nie przejmuj się! Ale, wiesz co, lepiej sprawdź w gminie! Po co mieliby budować oczyszczalnię w samym Blanes? Czy to nie dziwne?

– Nie wiem... Jesteśmy na końcu miejscowości, za nami jest tylko aquapark, może dlatego?

– Nie sądziłem, że foki tyle korzystają z toalet. Ty to lepiej sprawdź!

Altos zaskakiwał mnie coraz częściej. Na starość robił się coraz bardziej przyziemny.

Nie miałam czasu i w końcu powodu, żeby jechać do jakiegoś urzędu i łamać język po katalońsku, bo niespodziewanie dostałyśmy nową propozycję. Na tym etapie nie można jej było nazwać niemoralną. Diego poinformował Ivankę, że znalazł kupca, który chce wybudować na naszej działce złomowisko, ale gotowy jest zapłacić jedynie dwieście tysięcy. I to nie było wszystko.

– Klient je deweloper na pobrzeżu Costa del Sol! Przitel Diega. Da mi segment w rozliczeniu. Będę musela doplatit trochu, ale on mówi, że

niedużo. Pojutrze letim do Malagi obejrzyć dom. Z Diegu, jeha letadlem!

– Po co ci segment na Costa del Sol?

– No tam zamieszka! Wiesz, jak tam je pięknie! Majorka to je takowy mały ostrov, że nigdzie nie pojedziesz. A tam, wszystko masz, łyżwy w Sierra Nevada, Madryd, Portugalsko w pobliżu...

Coś mi tu śmierdziało, ale Marek odniósł się do tej rewelacji z pełnym spokojem.

– Costa del Sol jest zawałona nowymi osiedlami, słabo się sprzedają, więc pewnie mu się to opłaca... Nie widzę w tym nic dziwnego. Niech z nim jedzie i się przekona. Wszystko zależy, ile będzie musiała dopłacić. Ale i tak robi dobry interes, drugiego wariata, który będzie budował magazyn złomu koło oczyszczalni, szybko nie znajdzie.

– I co? Będę musiała Amapolę w Marbelli otworzyć?

– Chyba żartujesz?! Majorkę musiałem tolerować, bo szanowałem twoje sentymenty. Ale Marbella? Nawet tam nie byłaś. Nie masz do tego żadnego mandatu! Muszę kończyć, mam zebranie. Pa!

Zanim poznałam Marka, mandaty zdarzały mi się wyłącznie za szybką jazdę i nieprawidłowe parkowanie. Doprawdy, nie wiem, jak wielbiciel Nerudy może mówić do mnie mówić takim językiem! Za Tima przynajmniej przemawia muzyka Chopina. To zupełnie co innego!

[15] (hiszp.) – oczyszczalnia ścieków

[16] (hiszp.) – Do usłyszenia!

EL FUNERAL^[17]

W nocy zdechł Wasan. Altos powiadomił mnie o tym telefonem o siódmej rano.

– *Kabhi alvida naa kehna...* Gdy mówisz, żegnaj, możesz już nigdy kogoś nie zobaczyć... Zostałem sam, *Princessa*. Wasan odszedł nad ranem o piątej czterdzieści siedem, Księżyc był w pierwszej kwadrze.

– Przykro mi... Mogę ci jakoś pomóc? – spytałam zaspana.

– Nie, już się modliłem. Otworzyłem okno, by jego dusza spokojnie mogła odlecieć do Wysokich Mocy. Pamiętaj, żeby zawsze tak robić, kiedy ktoś umiera. Okno musi być otwarte, koniecznie... Inaczej dusza będzie się jeszcze długo po ziemi błąkać... czterdzieści dni. Rak, wodny znak, pochówek musi być morski. Chciałbym, żebyś przy tym była. Ivanka i Zdenko też.

– Zapytam ich. Rosa również ma być? Gdzie planujesz ten... pogrzeb?

– Jeszcze nie wiem. Może w porcie przy Paseo. Albo koło Darseny.

Wasan najbardziej lubił to miejsce. Jutro w samo południe, gdy będą były dzwony.

– Oszalałeś? Chcesz wrzucić padlinę do wody w centrum miasta?

W porcie? Przy restauracji? W biały dzień? Zamkną cię za to!

– Nie mów tak! Zasłużył na szacunek i zacy pochówek...

Cudem udało się przekonać Altosa do zmiany lokalizacji. Stanęło na

dzikiej plaży w Portals Nous, tam, gdzie skalny, wzmocniony betonem mur wchodzi dość głęboko w morze na jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów. Nie wiadomo, po co go zbudowano, od lat do niczego nie służył i zdążył już częściowo skruszeć, odsłaniając metalowe pręty trzymające konstrukcję. To Rosa wpadła na pomysł, żeby Wasana wrzucić do morza właśnie w tym miejscu. „To będzie jego morski grobowiec i zawsze będziesz mógł na murze zapalić mu świeczkę” – przekonywała.

Pogrzeb miał się oczywiście odbyć w południe, choć tłumaczyłam mu, że dzwon małego kościółka na skarpie nad plażą nigdy nie bije. A jeśli nawet, to i tak nie będzie go słyszeć nad wodą. „Nie szkodzi, wystarczy mi bliskość świątyni, by oczyścić meridiany”. Nie wnikałam, o co mu chodziło, i w ogóle chciałam mieć to wydarzenie jak najszybciej za sobą, bo doczesne sprawy, i to moje własne, jednak bardziej teraz mnie przejmowały niż jego spirytualne eventy.

Zaparkowałam przy kościółku i zeszłam na plażę kamienistą ścieżką, która prowadziła w poprzek skarpy. Wszędzie leżały śmiecie, zbite butelki, jakieś puszki, a nad tym wszystkim unosił się zapach polowej kloaki. Oby Altos się z tego powodu nie rozmyślił!

Już byłam prawie na dole, gdy zobaczyłam Rosę, szlachetnie smukłą, ubraną jak dawniej, w pomarańczowy sarong i skórzane sandały. Jej ręce zdobiły hinduskie tatuaże, a czoło – trzecie oko w postaci czerwonego bindi. W dłoni trzymała dymiący, gliniany kaganek, a obok niej, na piasku, stał wielki wiklinowy kosz z uchem oplecionym czerwoną szmatką.

– *Namaste!* – Ukłoniła się na mój widok, dotykając czoła rękami złożonymi jak do modlitwy.

– A tobie, co się stało? Znowu zmieniłaś religię czy narzeczonego? Od czasu jej gotycko-metalowej transformacji jakoś nie miałyśmy okazji się spotkać. Ani ochoty.

– Escarabeo podążył za inną duszą, a ja wróciłam do siebie. Skupmy się raczej na pogrzebie! O, Altos już jest!

Podjechał na skraj plaży starym pontakiem na szwajcarskich

numerach, które już dawno przestały być ważne. Ze strachu przed *policia local* rzadko używał samochodu, ale według niego dzisiejsze okoliczności usprawiedliwiały łamanie najsurowszego prawa. Nie wiem, jak udało mu się zjechać tym gratem po stromej skarpie. Być może posiadał jednak nadprzyrodzone moce, o których tak chętnie opowiadał. Zwinny jak Spiderman wyskoczył z auta, pomachał do nas energicznie i podszedł do bagażnika. Długo z czymś się szamotał, a w końcu wyjął z niego spory pakunek owinięty w białe prześcieradło. Ruszył w naszą stronę, niosąc zawiniątko ostrożnie na ugiętych przedramionach, jak ofiarę dla boga. Jego ciężar zdawał się równoważyć czarny plecak, z którego wystawały drewniane pałki.

– Natarłem go wonnymi ziołami... – sapał. – I zawinałem w biały całun...

Delikatnie położył pakunek na ziemi, Rosa natychmiast zaczęła okadzać go mirrą, a ja nie miałam, niestety, dobrych wiadomości.

– Altosiu, nie będziesz go mógł tu wrzucić do wody. Zdenko uważa, że to za blisko brzegu... Musimy go utopić gdzieś dalej. Zaraz podpłyną tu z Ivanką motorówką.

Altos zbladł.

– Z motorówki? Co to za pogrzeb? Może byśmy choć Marka jacht wzięli?

– Nic się nie martw. Będzie bardzo godnie. To ładna łódź jakiegoś klienta, Zdenko ją właśnie serwisuje, jest świeżo umyta. Może to nawet Riva!

Warkot silnika przerwał nam rozmowę. Chorwat, odświętny w pasiastym podkoszulku i kapitańskiej czapce, szukał miejsca do cumowania, a Ivanka, w czarnej koronkowej supermini leżała na dziobie i piła szampana. Przynajmniej kolor dobrała do okoliczności.

– Ahoj, kochani! – zawołała. – Wsiadajcie szybko, bo mam za dwie godziny letadlo!

Staliśmy bezradnie na brzegu, bo w miejscu, gdzie zatrzymała się łódź, woda była prawie po pas.

– A jak się wywrócę i Wasan mi wypadnie? Nie ma mowy! Nigdzie nie

idę!

Ja też nie miałam ochoty na pogrzeb w mokrych majtkach, tylko Rosa odważyła się na pierwszy krok, przekonana, być może, że przejdzie po wodzie jak Jezus.

Zdenko zaklął soczyście, zdjął spodnie, ukazując do bólu ciasne kąpielówki, i zgrabnie wyskoczył z łódki. Po kolei każdego z nas przeniósł z brzegu na łódź, nawet Altosia zabrał na jeden raz z martwym Wasanem. Nie miał zresztą wyjścia, bo Altos nie wypuszczał go z rąk. Policzył nas wszystkich na głos („cztery sztuki plus denat”) i kazał mocno się trzymać.

Zapuścił silniki i z rykiem iluś tam koni szybko weszliśmy w ślizg.

– Nie wiem, czy dobrze robimy! – próbował przekrzyczeć je Altos. – Ten mur był przecież idealny. Można by na nim tabliczkę przymocować... mosiężną.

– To zbyt niebezpieczne, fale wyrzucą ciało na brzeg i ktoś go jeszcze znajdzie i rozpozna!

– Miał czipa? – grzmiał Zdenko.

– No gdzież! Pies królewski z czipem?! Ale faktem jest, że znało go wielu ludzi na wyspie. Wasan był bardzo rozpoznawalny... – zadumał się Altos.

– Tym bardziej musimy odjechać w morze. I trzeba mu coś do szyi przywiązać... najlepiej worek z cementem. – Zarechotał. – Nawet coś podobnego przewidziałem.

– Zdenko! Jak możesz?!

– No co, Iva? Przecież to tylko pies, a na dodatek zdechły! – wrzasnął i jeszcze bardziej przyśpieszył.

Altos nachylił się do mnie i wyznał prosto do ucha:

– Nie powiem już nic przy tym bałkańskim barbarzyńcy!

Sięgnęłam po jego dłoń i czule ją pogłaskałam. Uspokojony złożył łąsą głowę na moim ramieniu. Przynajmniej jemu wiatr nie targał włosów.

Gdy wpłynęliśmy na pełne morze, Zdenko zgasił silniki. Wyjął lornetkę i rozejrzał się wokół.

– Droga wolna, nikogo na horyzoncie. Przygotować się!

O, tak! Chciałam, żeby już było po wszystkim. Łódź była mała, fale mocno nią kołysały i chyba zaczęłam się bać. „Imigranci z całej Europy utonęli podczas nielegalnego pochówku psa. Na pokładzie byli: Andreas Altos Gruetzli, obywatel szwajcarski poszukiwany przez Urząd Skarbowy z Berna, Ivana Purkova-Thomson z Republiki Czeskiej, Rosamunde Weintraub z Wiednia, Zdenko Dragojević, pracownik portowy z Chorwacji, oraz Polka Magdalena Kalińska-Blum”. Taką lakoniczną wiadomość przeczytałby jutro Tim w „Mallorca Daily”. Straszny obciach! Na wszelki wypadek założyłam kapok, tłumacząc się zimnym wiatrem, ale nikt, zdaje się, w to nie uwierzył.

Altos wyjął z plecaka wielki, mosiężny gong.

– Ty go trzymaj, *Principessa*. Zasługujesz na to. Widzę, że bardzo to pożegnanie przeżywasz. A ja tymczasem przygotowuję czakrę serca. – Rosa, oczyść nas ze złej energii!

Rosa zamachała mocniej kadzidłem i słodki, duszący dym zawisł nad pokładem, podczas gdy Altos drewnianą pałką, owiniętą gałgankiem, rytmicznie walił w gong. Bongggg!... Bongggg!...

– Niedobrze mi! – Skrzywiła się wyraźnie podchmielona Ivanka. – I ta okropna muzyka. Ja bym wolała coś bardziej atmosfericki, *Time to say goodbye..* albo *Tears in Heaven...*

– To może już prędzej *Marsz pogrzebowy* Chopina! Druga sonata fortepianowa, b-moll, piękny kawałek...

– Dałabyś spokój z tym Chopinem, Magda!

– Nie mogę, za dobrze mi się ostatnio kojarzy...

– Czy mogę was prosić o ciszę? To jest pogrzeb! – syknął Altos i zamknął oczy. – Pomódlmy się!

– Ale nie za długo, bo nas za bardzo znosi! To wy się módlcie, a ja mu ten ciężarek przywiążę. – Zdenko wyjął z kolorowej reklamówki stare zardzewiałe hantle. – Już mi niepotrzebne, teraz wyciskam znacznie więcej!

Naprężył się jak siłacz w cyrku i pokazał muskuły. Ivanka zachichotała,

a Rosa popatrzyła z niesmakiem.

– To co, panie wdowiec? Wrzucamy denata?

– Czyń swoją powinność! – powiedział Altos, ciągle nie otwierając oczu.

– No właśnie, bo ja mam zaraz samolot! – przypomniała sobie Ivanka.

Zdenko mocował się chwilę z obwiązany hantlami pakunkiem i dość niezgrabnie wyrzucił go za burtę. Na chlust wody Altos otworzył oczy i przemówił w sanskrycie do znikającego w morskiej otchłani całunu, a Rosa sypała na fale białe kwiaty rumianku. Wyglądało to naprawdę pięknie, godnie i uroczyście.

– Żegnaj, przyjacielu! Do zobaczenia w nowym życiu! – dokończył Altos i przez chwilę miałam wrażenie, że skoczy za psem.

Chwyciłam go za rękę. Najwyżej wpadniemy razem, ale ja przynajmniej miałam na sobie kamizelkę.

– Nie płacz! On przecież będzie miał teraz lepsze życie! Będzie tańczył flamenco!

– Właśnie, że nie! – Rozbeczał się na dobre. – Odrodzi się jako pudel! PUDEL! Wyobrażasz to sobie?

Wyobrażałam to sobie nawet łatwiej niż tancerza flamenco, ale i tak nie wierzyłam w reinkarnację ani ludzi, ani tym bardziej chartów afrykańskich, nie miałam więc pomysłu, jak go pocieszyć. Normalni ludzie kupują sobie po śmierci ukochanego psa szczeniaka tej samej rasy i na kilkanaście lat mają problem z głową. A Altos? Czy będzie teraz cierpiał na widok każdego pudła? Czy jednak uczepli się jakiegoś mistrza flamenco?

W tej sytuacji mógł pomóc tylko szampan, którego Ivanka na szczęście miała na pokładzie pod dostatkiem. Choć dobiliśmy do brzegu w znacznie lepszych, a dokładniej w szampańskich humorach, miałam wyrzuty sumienia, że zostawiam teraz Altosa samego, ale obiecałam Ivance, że ją podrzucę do portu, gdzie była umówiona z Diegiem.

– Jak uważasz, *Prinzessin*... – strzelił na koniec focha i wydał usta.

LETADLO

W kilka minut dojechałyśmy do Puerto Portals. Diego czekał oparty o długą białą limuzynę, która bezczelnie parkowała na środku chodnika, dokładnie przed tarasem kawiarni Cappuccino, od rana obleganej przez aspirantów do grona Pięknych i Bogatych. Luksusowy pojazd nikomu tu nie przeszkadzał, w przeciwieństwie do mojej Pomarańczowej Tipostrzały, którą szybko przegoniono na parking za budynkiem. *Señor* de la Cruz do białego garnituru założył tym razem seledynową koszulę i ciemne okulary w złotych oprawkach. Palił *cigarillo* i nerwowo spoglądał na wielki, oczywiście złoty, zegarek. Na tle limuzyny wyglądał jeszcze bardziej alfonsowato niż na pierwszym spotkaniu, ale taki się Ivance podobał najbardziej. Wiedziałam, że tak jest, bo w ostatniej chwili ze cztery razy przeciągnęła usta błyszczkiem. Jeszcze jedna warstwa, a wargi zlepią jej się na amen.

Na nasz widok, a może raczej na widok Ivanki, wyszczerzył za długie białe zęby i jeden platynowy.

– Wskakuj, kotku! Musimy jechać! Mamy slota na start za godzinę!

Ivanka, zalotnie kręcąc koronkowym tyłeczkiem, przedefilowała przed nosem Diega, ciągnąc za sobą małą różową walizeczkę na kółkach.

– Dzień dobry, *señor* de la Cruz!

– O, Magdalena! – Niby dopiero mnie zauważył. – Nie martw się, to będzie dla was superinteres! Dom jest *fantastico*, a życie w Marbelli to bajka. Luksus, piękne kobiety, szybkie samochody! Nie taka prowincja jak tu.

Przytuliłam Ivankę, a ona wycalowała mnie, zostawiając lepkie różowe ślady na moich policzkach.

– Uważaj! Nie wierz nawet w połowę tych opowieści! I nie daj się zrobić w bambuko! To też moja przyszłość! – szepnęłam jej do ucha.

– Nevim, co to je „banbuko”, ale nic się nie martw. Jadę po naszą lepszą przyszłość!

MENU

Nareszcie miałam wolną chatę.

Niepowtarzalna okazja, żeby zrehabilitować się za tunikową wpadkę, a także pokazać nordykowi, że Polska to nie tylko Chopin, panienki i złodzieje samochodów, ale też wspaniała kuchnia, tradycja i narodowa tożsamość. Toteż zaprosiłam go na prawdziwy polski obiad. We francuskiej piekarni zamówiłam okrągły bochen chleba, u irlandzkiego rzeźnika dobrą wołowinę, w niemieckich delikatesach kupiłam kiszone ogórki, i tak zdobyłam wszystkie składniki potrzebne do zrobienia zrazów radziwiłłowskich. W zamrażalniku chłodziła się wódka, nomen omen, Chopin, a stół nakryłam łowickim pasiakiem i ręcznie malowanymi talerzami, które podarowałam kiedyś Ivance. I na tym powinnam była zakończyć, ale zryw patriotyczny pchnął mnie dalej, a nawet o jeden pomysł za daleko. Na ścianach zawiesiłam wycięte z kolorowego papieru koguty, a salon Ivanki, za pomocą makatek, koszyków i resztek wielkanocnej dekoracji przebrałam za skansen imienia Magdy Gessler. Wydawało mi się, że dekoracyjna polszczyzna godnie reprezentuje narodową spuściznę. Do tego włożyłam białą, batystową sukienkę, dodałam ust korale (Guerlain w kolorze *corall intense*) oraz własne, słowiańskie włosy, jasne jak len.

Wieczorem zrazy radziwiłłowskie czekały w piecu, kasza gryczana dochodziła na kuchni, a tort makowy – palce lizać. Zapaliłam świece i włączyłam odpowiedni podkład muzyczny – oczywiście Chopina, ale w nowoczesnej, mojej ulubionej interpretacji Możdzera.

Punktualnie o ósmej pod furtką stał Tim z ogromnym bukietem białych kwiatów, co liczy mu się podwójnie, bo nordycy nigdy kwiatów nie przynoszą.

– Jaka ty jesteś piękna! Wyglądasz jak anioł w tej koszulce...

Sprostuję, że zdecydowanie była to sukienka. Plażowa, ale była.

Przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

– Przepraszam cię za Hausera, zjawił się niespodziewanie, nie zdążyłem

cię uprzedzić. Sam myślałem, że zwariuję, byłaś taka sexy... Ledwo to wytrzymałem... – Całował mnie po całej twarzy, po czole, po skroniach, ustach. – Piękne masz te policzki, takie wysokie, słowiańskie...

– Podobają ci się?

– Cała mi się podobasz! – Zsunął ramiączko mojej sukienki.

– Nie! – Złapałam go za rękę. – Jeszcze nie wiem, czy chcę. I na pewno nie tu! Chodźmy do domu!

Tim wszedł do salonu, rozejrzał się i wybuchnął śmiechem.

– Strasznie zabawna ta wasza kawiarnia!... Wygląda jak... ludowe przedszkole? Cha! Cha! No, słodko tu!

– A tak, miałyśmy imprezę dla polskich dzieci! – nie straciłam rezonu, ale czułam, że płonę. – Jeszcze nie zdążyłam zdjąć dekoracji. Nie zwracaj na to uwagi! Możemy zjeść w ogrodzie, jeśli wolisz. Kawiarnia jest zamknięta, nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Zjedliśmy jednak w tej cepeliadzie, bo Tim wspaniałomyślnie „machnął ręką na takie drobiazgi”, a nawet docenił, że uczymy dzieci imigrantów tradycji kraju ich przodków. Byłam dumna jak paw, bo chwalił polską kuchnię, a i nasza rozmowa ani na sekundę nie zniżyła lotów poniżej tematów uznanych powszechnie za eleganckie i bezpieczne. Za tę kolację powinnam dostać jakieś odznaczenie za godne reprezentowanie ojczyzny.

I gdy część oficjalna dobiegała końca, gdy porzuciliśmy polską wódkę na rzecz hiszpańskiego digestivo, a skansen na rzecz al fresco pod gwiazdami Majorki, gdy leżeliśmy przytuleni w ogrodzie i byliśmy już tak blisko siebie, że dzieliły nas tylko mgiełka batystu mojej sukienki i jego do połowy rozpięta koszula, gdy wszystko wreszcie mogło się wydarzyć, a ja już byłam bardzo pewna, że bardzo tego chcę, w krzakach coś zachrobotać.

– Pewnie jakieś zwierzę... może kot. Nie zwracaj uwagi! Pójdzie sobie. – Zamknął mi usta pocałunkiem.

– Kot? Może to tygrys! Kot nie połamałby gałęzi! – Wydawało mi się, że słyszę, jak trzaskają oleandry.

Wstałam z leżaka i zobaczyłam, ciemną, chudą sylwetkę chowającą się

za fikusem. To nie był ani tygrys, ani kot. Za dobrze znałam te ruchy.

– Altos! To ty?

– *Prinzessin...* – pisnął cieniutko.

– Wyłaż stamtąd, bo mi wszystkie kwiaty połamiesz! Śledzisz mnie, czy co? Nie mogłeś zadzwonić?

– Nie chciałem wam przeszkadzać. Czekałem, aż on sobie pójdzie...

Dzwoniłem po południu, ale miałaś wyłączony telefon! A wiedziałaś, że to nie był dla mnie łatwy dzień! – tłumaczył, otrzepując żałobne czarne legginsy z kwiatowych pyłków.

– Tim, to jest mój przyjaciel Altos. Miał dzisiaj pogrzeb w rodzinie...

– Rozumiem, to może ja już pójdę? Pewnie chcecie być sami.

Nie!!! W życiu, tyle zachodu na nic?

– Dziękuję ci za zrozumienie, ale nie musisz! Naprawdę ciężko mi dzisiaj samemu! Przycupnę sobie na razie w nogach, leżcie sobie! Chętnie z wami trochę posiedzę – wspaniałomyślnie zgodził się Altos.

Położyłam się znów na materac i oparłam głowę o brzuch Tima, który oddychał głęboko i powoli, jakby zaistniałe okoliczności zupełnie nie wytrąciły go z równowagi. Za to ja czułam wyraźną złość na Altosa, który siedział skulony na brzegu posłania, uważając, by nas przypadkiem nie dotknąć, i patrzył w niebo.

– Myślisz, że on już tam jest? W kosmosie? – zapytał.

– Na pewno! – skłamałam, bo przecież ciało Wasana leżało na dnie Morza Śródziemnego. – Może właśnie patrzy na nas z góry? Z tamtej gwiazdy, widzisz? I dziwi się, co my tu we trójkę w nocy robimy?

– Nie żartuj sobie! Ja naprawdę za nim tęsknię. Nie umiem bez niego żyć. Ty masz rodzinę, więc tego nie zrozumiesz.

– W rodzinie też można być bardzo samotnym. I w małżeństwie... – wtrącił nagle Tim, a ja uświadomiłam sobie, że nie zadałam mu jeszcze najważniejszego pytania. Specjalnie, bo wcale nie chciałam znać odpowiedzi.

– Co, ty jesteś samotny? – zdziwił się Altos. – Nie wyglądasz!

- Nie wiem, czasem jestem. Dzisiaj jakby trochę mniej. Dużo nas tu...
- Mam sobie pójść?
- Altos, daj spokój! Wszyscy jesteśmy samotni. Wydaje nam się, że kogoś mamy, a to nieprawda, złudzenie. Nie można nikogo posiadać. Mnie na przykład nikt nie może mieć, za bardzo kocham wolność.
- Zauważyłem! – powiedzieli panowie niemal jednocześnie i wszyscy wybuchliśmy śmiechem.
- Tylko Michaś cię może mieć, prawda, *Ober-Mutter*?
- Michaś to twój syn? Masz syna?
- Nie powiedziałaś mu? To dziwne! – Nachylił się do Tima i szepnął konfidencko: – Zawsze wszystkim mówi! Chwali się nim, choć to straszny łobuz!
- Nie było okazji. Rozmawialiśmy o Chopinie. Ja też nie wiem, czy Tim ma rodzinę.
- Mam.
- Ano proszę! – zawołał Altos, nie wiedząc czemu rozdrażniony. – Oszukujecie samych siebie, siebie nawzajem i w ogóle wszystkich. Mnie też. I już nie wiadomo, czy jesteście samotni, czy nie.
- Gdybyśmy nie byli choć trochę samotni, to pewnie nigdy byśmy się nie odnaleźli... – powiedział Tim.
- Ja, na przykład, jestem osamotnioną matką. Nie samotną, tylko opuszczoną przez dziecko, które się na mnie po prostu wypięło. Po piętnastu latach. Od ponad miesiąca z nim nie rozmawiałam, wyłączając monosylaby, które czasem rzucił parę razy jak ochłap dla psa... Oj, przepraszam!
- Nie szkodzi! Nie martw się! To normalne, jest w głupim wieku. Przejdzie mu. On cię kocha, wiem to, jestem tego pewien. Znam go przecież!
- Kochany Altosik. Pogłaskałam go po łysej głowie, a on głośno zaszlochał:
- To ja jestem nieszczęśliwy, *Prinzessin*, to ja!
- A może powinieneś wyjechać z tej wyspy? Nigdy tu dłużej nie

mieszkałem, ale wydaje mi się, że tu wszyscy są bardzo samotni. Nie wiadomo, skąd przybyli, na jak długo, po co, nie mają tu korzeni, nie chcą poznać kultury, języka. I jeśli im się uda, to żyją w getcie swojej małej rodziny, ale większość szuka tu szczęścia w pojedynkę. A słońce cały rok i pomarańcze na drzewach to może trochę za mało...

– Masz rację, nawet dziwki portowe są tu samotne! – podsumował Altos.

– No i sam widzisz! Proszę! – Podałam mu chusteczkę, bo cały był zasmarkany.

Wydmuchał nos głośno, z całej siły, czym zakończył ostatni akt dzisiejszego dramatu.

^[17] (hiszp.) – pogrzeb

KONCERT

Drugi dzień bez Ivanki zapowiadał się leniwie. Kawiarnię miałam otworzyć po południu, więc po śniadaniu postanowiłam poopalać się nad basenem. Po intensywnej nocy z niedoszłym kochankiem szopenistą oraz z byłym hodowcą psa rasy afrykańskiej głowę miałam pełną bałaganu, musiałam więc trochę w niej posprzątać. Sunblock 30, ciemne okulary, iPod oraz dzbanek lodowatej wody z miętą i cytryną – to wszystko, czego do tego potrzebowałam. Ułożyłam się wygodnie na leżaku, włączyłam *Koncert skrzypcowy* Philipa Glassa i zamknęłam oczy.

Przy nim najlepiej myśli mi się o rzeczach ważniejszych od haluksa, dwóch kilogramów nadwagi czy nowych butów. Musiałam rozważyć wpływ mojego subiektywnego osamotnienia w stałym związku na ewentualne wejście w interakcję natury seksualnej z osobą trzecią, czyli z Timem. Jednym słowem, dlaczego miałam na niego taką jazdę, choć okazał się względnie szczęśliwym ojcem dwójki dzieci i trochę mniej szczęśliwym mężem.

Muzyka Glassa, która zawsze kojarzyła mi się z *Nieskończenie Wielkimi Sprawami Pozaziemskimi*, podsuwała mi niezbyt poprawne odpowiedzi. Czy w kosmosie jakieś międzyludzkie umowy o regułach, wyłączności, wierności mają w ogóle sens? Czy moje szczęście nie jest czymś najważniejszym, wartym wszelkich środków, by do niego dążyć? Życie jest jedno, dlaczego mam je przeżyć porządnie, a nie radośnie? Czy jestem

zobowiązana do wierności?

Marek zdradza mnie notorycznie ze swoją pracą. Codziennie, co noc, całe lata... To jest dopiero Wielka Zdrada Nie Do Wybaczenia! Zdrada obietnicy, że chce się być z kimś, a nie obok, coś z nim dzielić, poza mieszkaniem i kontem!

Krople, które drażą skałę, zrobią więcej szkód niż jedna ulewa. Czyż nie tak? Czy nie zdradza mnie już samym brakiem zainteresowania?

Niemówieniem mi komplementów?

Nie dba o mnie, przyzwyczał się, że jestem w jego życiu, tak jak jego apartament, samochód i tysiąc innych gadżetów. Czy to nie gorsze niż chwilowe zapomnienie?

Czy nie będę kiedyś żałować, że odmówiłam sobie prawa do szczęścia, nawet jeśli miałyby ono być tak ulotne i krótkie jak niepoprawny moralnie, ale gorący seks i jednorazowa nirwana w obcym łóżku? Może nawet nie chodzi o seks, tylko o namiętność, pożądanie, ciepło? Po prostu o emocje, których już dawno nie było w moim życiu. Maria Pinczerek przecież wyraźnie zaleciła: „Niech pani znajdzie sobie kochanka!”. No, to chyba znalazłam...

Koncert Glassa z librettem Pinczerek przerwał dzwonek telefonu.

– Tato?! A co się stało? Coś z Michasiem, z mamą?

Musiało się coś wydarzyć, bo ojciec nie znosił mobilnych telefonów i sięgał po komórkę tylko w najcięższych przypadkach losowych. Jeśli już do kogoś dzwonił, to tylko z domowego numeru, celebrując ten moment w wygodnym fotelu z pudełkiem czekoladek i filiżanką earl greya na secesyjnym stoliku.

– Ty ciągle na Majorce, tak? No i jak tam jest? Długo zostajesz? Bo może bym cię odwiedził... Mogłabyś mi jakiś ładny hotel polecić? Ale taki naprawdę ładny, z klasą.

– Możesz zatrzymać się tu, u Ivanki. Ewa wyjechała, więc jest jedna wolna sypialnia. Ale przecież ty nie cierpisz upałów, a teraz mamy ponad trzydzieści stopni w cieniu!

– Wolę jednak w hotelu. Coś zresztą znalazłem. La Residencia, znasz? Ładnie wygląda, widziałem prospekt.

Tylko mój ojciec mógł oglądać papierowe prospekty w dobie Internetu. Jak na inżyniera, był bardzo niezaawansowany technicznie.

– Znam. To piękny hotel w Deia, ale w sezonie kosztuje siedemset euro za dobę! Matka zwariuje, jak się dowie! Znajdę ci coś tańszego.

– Tylko nic matce nie mów! Przyjeżdżam sam! No, powiedzmy, ze znajomymi. Ale zamów mi jeden pokój, duży. Oni niech się sami martwią.

Po co ta mistyfikacja, przecież się domyśliłam, że nie ma żadnych „onych”. Jest natomiast pewnie jakaś „ona”, nie wykluczam, że Ewelina Kiszka, której udało się w kilka miesięcy osiągnąć to, co matce przez czterdzieści pięć lat nie wyszło. Ojciec, który nienawidził tropików i całe życie jeździł tylko na Pojezierze Augustowskie, bo tam odnalazł biegun zimna, nagle w środku gorącego lata postanowił smażyć się na plaży. Jednej z najgorętszych w Europie! On, który już przy wiosennych temperaturach obficie się pocił, brzydził się piasku, a samolotów bał się panicznie i wsiadał do nich tylko w ostateczności. Chyba też ostatnio słuchał dużo Glassa albo radził się Marii Pinczerek.

– Poszukam czegoś odpowiedniego i oddzwonię. Ale łatwo nie będzie, jest środek sezonu, wszędzie tłumy, ceny wysokie...

– Dzięki. I ani mru-mru matce! Nikomu!

MMS OD IVANKI

Przedstawił dłoń trzymającą kieliszek szampana – w przypadku Ivanki nic nadzwyczajnego.

<pijesz od rana?> odstukałam.

<nevidisz prsten? Zaręczyłam se! Tu je krasnie, jsem rada!>

Szybka jest! W dwadzieścia cztery godziny od pogrzebu na Majorce do przedsionka Urzędu Stanu Cywilnego w Marbelli.

Takie tempo wymagało natychmiastowej interwencji. Byłam już wystarczająco stara, żeby wiedzieć, że ŻADEN normalny facet nie

oświadcza się w ciągu doby. To numer typowy dla alkoholików, psychopatów albo oszustów matrymonialnych.

Odebrała od razu i świergotała do telefonu nakręcona jak na dobrych dopalaczach. Wszystko jej się podobało, Diego oczywiście najbardziej, a jego willa w Marbella Club przebiła wszystko, co Ivanka do tej pory w życiu widziała. „To je na Golden Mile, złata mila” – piszczała. Wyglądało na to, że nawet najmniejsze ziarnko piasku w Marbelli jest drogie, wypasione i oczywiście złote. Morze bardziej niebieskie niż u nas, słońce jaśniejsze, ulice szersze i auta szybsze. Ale i tak najpiękniejsze są butiki w Puerto Banus, gdzie królowała jej ukochana panterka okraszona kryształkami Swarovskiego, a sprzedawczynie mówiły przy drzwiach „Zdrastwujtie”. No i Afrykę miało być widać, ale jeszcze jej nie widziała, bo wołała patrzeć na Diega i jego napędzaną viagrą „velky erekce”.

– A dom, ten segment dla ciebie? Pokazał ci już?

– Tu jest tolik domów, mogę mieć jaki chcę.

– Koniecznie idź zobacz ten dom! Potem okaże się, że to ściema.

– Nie, Diego mluvi, że dla mnie oszalał... ja mu wierze, on jest taki fantasticky!

Skończyłam rozmowę, włożyłam słuchawki do uszu i jeszcze raz puściłam Glassa. Na cały regulator. W moim ziemskim bałaganie potrzebowałam nieziemskiego porządku. Natychmiast.

Ale wieczorem stchórzyłam. Napisałam do Tima, że jednak się dzisiaj nie zobaczymy i wyłączyłam telefon.

POLECONY

Listonosz podobno dzwoni dwa razy. Ten dzwonił non stop od dziesięciu minut, nie zdejmując nawet na sekundę palca z przycisku. Był blady świt – jeszcze nigdy *cartero*^[18] nie pojawił się tak u nas tak wcześnie. Gdy mieszkałam przy calle Llaut, listonosz, gdy miał dla mnie paczkę lub polecony, nawet się nie starał mnie zastać w domu, tylko od razu wrzucił nabazgraną karteczkę z wezwaniem na odległą o trzy miejscowości pocztę. Ten jednak uparcie dzwonił dalej, aż ostatecznie wyrwał mnie ze snu.

– *Momentito!* – wydarłam się przez okno, jednocześnie mocując się z bokerskim szlafrokiem synka Ivanki. Zbiegłam po schodach, gubiąc jeden kłapek, a pocztylion wzmocnił atak dźwiękowy, używając klaksonu swojego skutera. Jeszcze pobudzi całą okolicę! Gdy w końcu dobiegłam do furtki, stał tam z naszą zdenerwowaną sąsiadką Fioną Hope z Essex, tęgą babą w kwiecistej podomce i różowymi lokówkami. Łapała się to za głowę, to za serce, wykrzykując coś do listonosza po angielsku, który to język był jemu całkowicie obcy. Ten drobny młodzieniec stał trwożnie przykurczony, z kudłatą głową schowaną w wąskich ramionach, przez co zrobił się naprawdę malutki, i przerażony patrzył na żywo gestykującą matronę.

– *Look!* – Zamachała mi przed nosem jakimś papierem. – Zobacz, co nam zrobili! Wszystko straciłam, wszystko!

– *Señora* Ivana Purkova-Thomson? – Listonosz odzyskał głos, pewnie na mój widok. – Polecony z urzędu dla pani. *¡Passaporto por favor!*

– Pani Thomson to moja współpracownica, nie ma jej w domu. Nie mogę odebrać w jej imieniu?

– *!No!*

– To pewnie to samo, co ja dostałam – wtrąciła się Fiona. – Cała ulica dziś dostała. Tylko popatrz!

Przeleciałam wzrokiem po urzędowym piśmie. Gmina zawiadamiała *propietarios*^[19], że w związku z planowanym powiększeniem aquaparku i budową większego parkingu oraz lepszej drogi dojazdowej zamierza wykupić wszystkie działki na naszej uliczce. Cena wykupu będzie ustalana indywidualnie dla każdej posesji według wartości rynkowej plus piętnaście procent odszkodowania. Dla pani Hope ustalono cenę jeden milion sto tysięcy euro.

– To gratuluję! Bardzo dobra cena! Ale tu przecież miała być oczyszczalnia...

– Ale ja już sprzedalam mój dom! Cztery dni temu! – Fiona zalała się łzami. – Za trzysta tysięcy! Na złomowisko! Też słyszałam o oczyszczalni...

– Boże święty! Niech pan natychmiast daje mi ten list! – Wyrwałam przestraszonemu listonoszowi kopertę. – Fiona, czy to był może niejaki de la Cruz, inwestor z Marbelli?

Pokiwała głową, wycierając łzy rękawem podomki.

– On tu po wszystkich domach chodził... Ci spod ósemki też mu chyba sprzedali.

– Przecież to ewidentne oszustwo! Na pewno da się wszystko wyjaśnić, musi pani wziąć adwokata.

Pobiegłam ze zdobyczną kopertą do domu. Rozerwałam ją niechlujnie, a ręce trzęsły mi się, jakbym siedziała w kolejce wąskotorowej do Soller. Od razu zauważyłam wyróżniającą się tłustym drukiem sumę – *1.400.000 euros + 15% de compencacion – 1.610.00 euros in total.*

Czułam, jak adrenalina gorącym strumieniem płynie przez wszystkie żyły mego ciała, od paznokci u nóg, poprzez trzewia, aż do mózgu, i z powrotem. Jak w transie sięgnęłam po telefon i wybrałam numer

poszkodowanej.

Ivanka nie chciała mi wierzyć. Była aktualnie bardzo zakochana, bardzo zaręczona i bardzo nielogicznie myśląca.

– Co ty rzikas? Diego mnie wezme na Hawaje. Najpierw małżeństwu w Las Vegas, a potem honey moon.

– Co z umową? Mam nadzieję, że niczego nie podpisałaś?! Nie budują tu żadnej oczyszczalni, rozumiesz! A gmina płaci wszystkim jak za zboże!

– Idziemy dzisiaj do notariusza. Jak się tylko Diego probudzi. –
Ziewnęła.

– Posłuchaj mnie! Nie budź go i niczego nie podpisuj! Ślubu i tak nie będzie, to ściema! Ale koniecznie weź kopię tej umowy. To ważne! A teraz wyłącz mu wszystkie telefony, a jak się obudzi, to zajmij się nim tak, żeby nie wyszedł z łóżka. To na pewno potrafisz. I trzymaj go tam do obiadu. Bylebyś niczego nie musiała podpisywać. Żaden notar, rozumiesz? I tak będziesz bogata!

– No, to zawsze rozumiem!

– I adres. Podaj mi jego adres!

UBIT GADA

Nie wiedziałam, do kogo dzwonić najpierw. Na policję, do adwokata, do Marka czy może do Zdenka? Zdecydowałam się na wyładowanie emocji na tym ostatnim. Zrozumiał w lot, a nawet zaproponował, że osobiście wszystkim się zajmie, co zabrzmiało jak klasyczna bałkańska pogroźka.

– Nic nie rób! Zadzwoń do znajomego adwokata, niech nam najpierw poradzi. Jeszcze się w coś wpakujemy... To pewnie jakaś mafia!

– Jadę tam! Ubit gada! I ta kurwa takoder! – zaryczał po chorwacku.

– Ivanki jednak nie zabijaj! Może już lepiej tam nie leć?!

– Jeszcze mnie nie znasz, *bambina!* Biorę pierwszy samolot do Malagi!

Próbowałam odszukać numer telefonu do Angela, mojego dawnego adwokata, ale w spisie *Abogados de Mallorca* nie figurowało już jego nazwisko. Musiałam więc zadzwonić do Paco, który znał na wyspie

wszystkich i wiedział wszystko.

– DaRRRling! ¿*Que tal*^[20]? Nice to heaRRR fRRRrom you!

– Potrzebuję twojej pomocy, natychmiast!

– Co mogę zRRRrobić? *You want good sex?*

– Nie! Mamy kłopot, zostałyśmy oszukane, potrzebuję adwokata. Co jest z Angelem?

– Przeprowadził się do Miguela do Alicante. Chyba mają wziąć ślub.

FoRRRget him! Ja ci pomogę! Wpadnij do biura!

Przez chwilę moje myśli poszybowały do tego poranka wiele lat temu, może pięć, kiedy Angel Porreras, adwokat z moich maili, telefonów i snów, zamiast okazać się pięknym Adonisem z morskiej fali, objawił się jako dziobaty gej z bardzo atrakcyjnym chłopakiem. Może to właśnie był ten szczęśliwiec Miguel?

INTERMEZZO

Dochodziła jedenasta, a ja wciąż miałam na sobie czarny boksyerski szlafrok ze złotym napisem „Ray Boom Boom Mancini”. Teoretycznie idealny, by złożyć w nim odpowiednie *boom-boom* panu de la Cruz. Robiłam sobie chyba piąte tego poranka espresso, maszyna syczała od wydobywającej się pary, gdy usłyszałam znajomy głos:

– Uwielbiam to, że zawsze jesteś w bieliźnie! Drzwi były otwarte, furtka zresztą też.

Świeży, piękny, a przede wszystkim kompletnie ubrany w bladozielone polo i jasne spodnie Tim wszedł do kuchni, która chwilowo przypominała centrum dowodzenia w MI6. Stół, przy którym siedziałam, zawalony był mapami i papierami, a na nich leżały dwa laptopy, komórka i niepoliczalna liczba pustych filiżanek po kawie.

– Przygotowujesz się do naszej wyprawy? Nie musisz, wiem, dokąd jedziemy... Myślałem, że będziesz gotowa...

– Zmiana planów! Przepraszam, zapomniałam cię uprzedzić. Podrzucisz mnie do Santa Ponsa? Jestem chyba zbyt zdenerwowana, by prowadzić.

Tyle się tu działo! Opowiem ci wszystko po drodze.

– Oczywiście, na którą masz tam być?

– Nie wiem, za chwilę, za godzinę...

– To ukradnę ci z tego pięć minut... Czekałem wczoraj na ciebie... cały dzień, cały wieczór, całą noc... Jesteś bardzo, bardzo niegrzeczną dziewczynką, wiesz?...

Staął za mną i położył ręce na moich ramionach. Delikatnie odchylił moją głowę, zebrał mi włosy z karku i zaczął coś szeptać do ucha. Nic nie rozumiałam, ale te słowa, szepty, oddechy przyjemnie mnie łaskotały, prężyłam się, podsuwałam mu do całowania szyję, ramiona. Szlafrok zsunął się i odsłonił moje plecy. Tim pochylił się, całował moje barki, łopatki, plecy, niżej, coraz niżej, aż uklęknął przede mną...

– Nie! Nie teraz! Nie chcę tak w pośpiechu!

– Więc będzie powoli...

Odwrócił mnie do siebie i nie wstając z kolan, zanurzył twarz w moim szlafroku. Jęknęłam z rozkoszy. Stałam tak oparta o lodówkę, bezwstydnie wygięta, w niedbale zawiązanym szlafroku, z głową geniusza między udami, i dylematem, co powinnam zrobić. Nie teraz! Przestań! Powinnam jechać! Zanurzyłam palce w jego włosach, żeby odciągnąć go od siebie. Nie mogłam. Nie chciałam. Powinnam, nie powinnam. Straciłam rachubę czasu, poczucie obowiązku, wstydu, zatraciłam się, poleciałam, odleciałam... Glass grał w mojej głowie, głośno, coraz głośniej...

I tak niepostrzeżenie, krok po kroku, pocałunek po pocałunku, moja majorkańska kuchnia zamieniła się w amerykański Oral Office, a moja definicja zdrady w bardziej tolerancyjną wersję clintonowską.

Będę mogła potwierdzić swoją niewinność nawet na rządowej konferencji prasowej, a co dopiero przed Markiem.

CZESKI FILM AKCJI

Paco Bandal zdziwił się, gdy do jego mrocznego gabinetu weszłam z wysokim nordykiem.

– To twój bodyguaRRRd? ARRre you afRRRaid of me, guapa?

– Polujesz na komplementy? Taki jesteś groźny?

– Zostawię was samych, to nie moje sprawy. Ale... – Tim popatrzył się na Paco z wyżyn swych prawie dwóch metrów. – Będę niedaleko!

To jeszcze bardziej mi się spodobało niż perfekcyjny oral w kuchni. Jeden samiec i jeden samczyk walczący o mnie, ryczącą CZTERDZIESTKĘ! Gdy tylko Tim zamknął za sobą drzwi, Paco podekscytowany wypalił:

– You look veRRRy RRRelaxed! Like afteRRR good sex! Pięknie! Znam się na tym! To twój loveRR?

– Dziękuję, ale nie o tym będziemy rozmawiać. Mamy z Ivanką duży kłopot, trafiłyśmy na oszusta, i nie wiem, czy nie powinno się powiadomić policji, ale ona właśnie jest z nim, w Marbelli. Boję się o nią, bo sąsiedzi już pewnie poleciecieli na komisariat. Oszukał całą ulicę, nie tylko nas.

– Santa MaRRRia! Opowiadaj!

Paco okazał się teraz równie pomocny jak wtedy, kilka lat temu, gdy pomagał mi rozwiązać tajemnicę matki Marka. Nie chciałam zresztą o tym myśleć ani mówić, choć o niego pytał, bo wolałam, żeby dziś nie było Marka w mojej świadomości. Żeby ten dzień mimo wszystko nie należał do naszego wspólnego życia.

– Teraz jest sjesta, więc niczego się nie dowiem, ale po południu będziesz miała wszystkie informacje. I pilnuj tylko tej czeskiej wariatki, żeby niczego nie podpisała! I żeby nic jej się nie stało.

– Już jej Zdenko pilnuje!

– Joder! To może być jeszcze gorąco! Kiss? ORRR maybe moRRRe?

Cmoknęłam go szybko w policzek. Skrzywił się rozczarowany.

Tim uparł się, żebyśmy zjedli lunch w Palmie, bo w lecie nadmorskie knajpy to żadna przyjemność; „horda turystów, zły serwis i byle jakie jedzenie”. Prawdziwi smakosze i wybredni tubylcy jadają wtedy w mieście.

– Zgadniesz, dokąd cię zabiorę? Na starówce, niedaleko katedry,

elegancka, dobra kuchnia?...

– Tylko nie mów, że Chopin!

– Byłaś?

– Nie byłam. Może dlatego że ciebie nie znałam. Teraz wszystko już będzie Chopinem w moim życiu, czyli tobą, już mi się miesza...

– To miłe!

– To niebezpieczne. Chopin jest wszędzie, więc ty też będziesz wszędzie.

A ja chyba tego nie powinnam chcieć.

Klasyczna paella z marisco, trochę za dużo wina i towarzystwo Tima sprawiły, że dopiero przy deserze uświadomiłam sobie, że nie mam ze sobą telefonu. W takim dniu!

Zostawiliśmy niedopitą kawę, niedojedzone postre i pobiegliśmy do samochodu. Telefon leżał na siedzeniu i informował o piętnastu nieodebranych połączeniach i dwudziestu sześciu SMS-ach. Nie miałam wyboru – włożyłam okulary (Tim uprzejmie udawał, że to normalne) i zabrałam się do lektury. Czytałam na głos kolejne wiadomości, a Tim słuchał z coraz większym zdziwieniem.

Zdenko D. Złotarączka

13.07 <wylądowałem godzinie temu i jade>

Ivana P.T.

13.09 <nevim, co mam dielat>

13.10 <ps blowjob sdielala>

13.15 <odbierz telefon!>

Zdenko D. Złotarączka

13.26<Marbella 8 km!>

Altos

13.27<Moce są z Wami>

Zdenko D. Złotarączka

13.31 <ubiti gada!>

Ivana P.T.

13.33<no kde jesteś?>

Piotruś Big Brother

13.40 < Może bys się zainteresowała, co z matka? Ojciec dal ciała>

Zdenko D. Złotarączka

13.52 <na miejscu. wchodze. Módl sie za nich bambina>

Altos

13.53 <Wasan jest z Wami!>

Tata komórka

13.57 <Powiedz Mamie, że u Ciebie jestem! Wytłumaczę później! Tata>

Altos

13.58 < Hare Kriszna!>

Marek priv

14.02 <nie mogę się dodzwonić. U mnie 5 rano. Co się dzieje?>

Altos

14:15 <Kriszna kriszna hare hare>

Piotruś Big Brother

14.29 <jednak masz wszystko w dupie egoistka>

Michaś

14.33 <cie nie ma, marka nie ma, kasy w szufladzie w kuchni nie ma.

I ty się dziwisz ze jestem jaki jestem>

Zdenko D. Złotarączka

14.51 <miszyn komplited. Wracamy>

Ivanka P.T.

14.51 < :...((>

14.52 <:- ((((>

Altos

15.01 <i co? Mam się jeszcze modlić? Wpadłbym na sałatę>

Ewa

15.07 <Kochana, jest pewien problem. Zadzwoń! PS nie denerwuj się!>

Paco Bandal (sex maniac)

15.10 <dlCruz known to policia fiscal, call u later>

Ivanka P.T.

15.13 <:.....(((((>

Tata komórka

15.21 <Córciu, odbierz! PS od matki nie odbieraj! Tata

– Dom wariatów! – westchnęłam i wrzuciłam telefon do torebki.

– Dum fariatuff? Co to znaczy? – spytał rozbawiony.

– To znaczy, że przez dwie godziny nie odbierałam telefonów, a świat zakręcił się trochę za szybko. Ivanka wraca z Marbelli, ale jest nieszczęśliwa. Podejrzewam, że zdążyła się mimo wszystko zakochać się w tym starym alfonsie. Podobało jej się wszystko, chciała zostać. Podobno jest tam pięknie.

– Nie sądzę, by tobie się tam spodobało. To nie miejsce artystów, nie mają tam swojego Chopina.

– A gwiazdy? Celebryci? Bogacze? *Jet set*? Jeżdżą tam od lat. – Ile to razy na okładce „Hola!” oglądałam uśmiechnięte plastikowe gwiazdeczki na leżakach w Nikki Beach czy milionerki na deptaku w Puerto Banus! –

Im też się tam podoba...

– No właśnie, sama sobie już odpowiedziałaś. Im. Poza tym nie sądzę, że zniosłabyś jako architekt ten urbanistyczny chaos. Uwierz mi, to nie miejsce dla ciebie. Zresztą możesz przekonać się sama. Na jesieni mam w konserwatorium w Maladze kilka wykładów, zapraszam...

– Nie wiem, co będzie na jesieni... W ogóle nie chcę, żeby była jesień. Boję się jej.

[18] (hiszp.) – listonosz

[19] (hiszp.) – właściciele

[20] (hiszp.) – Jak się masz?

MATKA ZNOWU UMIERA

Po takim dniu niełatwo było mi się rozstać z Timem. I wcale nie chodziło o perfekcyjny oral w kuchni, choć był to niewątpliwie najprzyjemniejszy kwadrans ostatnich dwudziestu czterech godzin. Gdy w końcu odjechał, nie odetchnęłam z ulgą, ale poczułam, że mi go brak. Zdziwiły mnie te emocje. A może on ich wcale nie wzbudził, tylko dzisiejszy koktajl adrenaliny zmienił moją percepcję rzeczywistości? W warunkach ekstremalnych, na przykład w sytuacji zagrożenia życia, można podobno zakochać się nawet w policjancie, sanitariuszu, albo i we własnym oprawcy, a co dopiero w uroczym muzykologu. Tak, zdecydowanie nie powinnam się zakochiwać w żadnym z powyższych. Mam przecież Marka...

I już poczułabym pewnie pierwszy wyrzut sumienia, gdyby nie telefon od Piotrusia.

– Nie oddzwoniłaś! Nic cię nie obchodzi, co się u nas dzieje! A matka umiera!

– Przecież nie ma świąt!

– Nie żartuj sobie! Jest w poważnym stanie, dawno nie było tak źle. Właściwie to jeszcze nigdy tak nie było. Dramat. Było pogotowie i przepisali jej tym razem coś więcej niż koniak! Całą masę lekarstw... Uważam, że powinnaś przyjechać!

– A ojciec co na to? Może najpierw z nim porozmawiamy?

– Skoro wiesz, gdzie go szukać, to z nim rozmawiaj! Ode mnie telefonów

nie odbiera. To w końcu jest u ciebie czy nie? Bo coś chyba ściemnia.

– Powiedzmy, że jest w drodze do mnie... Mam mu powiedzieć o matce?

– Ty się jeszcze pytasz? Obydwoje jesteście tacy sami! Egoiści! Radzę ci, żebyś jak najszybciej wróciła do Warszawy! Nim będzie za późno! – krzyczał.

No proszę, bez wyrzutów sumienia jednak się dziś nie obędzie!

Histerię Piotrusia zawsze należało podzielić na pół, ale tym razem, nawet podzielona na cztery, nie dawała mi spokoju. Bo choć umieranie matki nie było niczym nowym ani definitywnym, to zniknięcie ojca nie mieściło się w naszym dotychczasowym rodzinnym schemacie, a cokolwiek by mówić, rutyna uspokaja.

Teraz jednak o spokoju ducha nie mogło być mowy. Telefon ojca milczał, co było dziwne, bo jeszcze kilka godzin wcześniej domagał się kontaktu, żeby uzgodnić ze mną szczegóły swojego zniknięcia oraz oficjalną wersję dla rodziny. Czemu więc nie odbierał telefonu? I gdzież on w ogóle był?

Zabrałam się więc do systematycznych poszukiwań (gdyby nie fakt, że Piotrek ustalił też zaginięcie jego samochodu, wyobraziłabym sobie, jak ojciec „na gigancie” łapie autostop na krajowej siódemce).

W hotelu La Residencia nic nie słyszeli o panu Kalińskim, nie mieli też żadnej rezerwacji, *nada*.

Sołtys z Leszczewa, gdzie znajdował się rodzinny dom letniskowy Brda 2, za obiecaną flaszkę podobno dwa razy sprawdzał, czy ojca nie ma na działce. „Kochaniutka, jak Boga kocham, ni ma szefa! Weznie w sklepie na waszo kreske”.

Marek swoimi kanałami ustalił, że taty nie ma również w Międzyzdrojach. Przepadł jak kamień w wodę.

Na politechnice trwały wakacje, więc prawie wszyscy, w tym jego asystentka i doktorantka Ewelina Kiszka, przebywali na urlopie, a sekretariat nie udzielał bliższych informacji.

Piotruś obdzwonił warszawskie szpitale i posterunki, ale wygadał się

jakiemuś miłemu policjantowi, że ojciec zostawił karteczkę: „Pocałujcie mnie w dupę, wracam za dwa tygodnie”, więc z powodu niezakwalifikowania ojca do kategorii osób poszukiwanych odmówiono nam współpracy.

– Jak to nie będą go szukać?! – nie mogłam uwierzyć.

– Nie spełnia warunków. Ma więcej niż piętnaście lat, nie zachodzi podejrzenie przestępstwa i chory psychicznie też raczej nie jest...

– A „niezadowolenie z sytuacji życiowej i osobistej”? To podobno akceptują!

– Chyba żartujesz, matka musiałaby to potwierdzić...

W tej sytuacji jedynym rozwiązaniem na dziś pozostawała resztką pomarańczowego likieru Angel d’Or. Wypita samotnie w gorący, sierpniowy wieczór.

IVANKA, OSTATNI AKT

Wrócili w nocy. Ivanka w ciemnych okularach i nienaturalnie skromnie związanych w koński ogon włosach, jak duch, bez słowa powitania i ze spuszczoną głową, przeszła przez salon. Dopiero przy schodach odwróciła się i powiedziała, że jest zbyt zmęczona, by rozmawiać, a Zdenko westchnął, że ma wszystkiego dosyć i musi się napić (koniecznie w porcie i z kolegami). Odprowadziłam Ivankę wzrokiem, a potem spytałam Zdenka o czerwone zadrapania na jego twarzy. „Kot się na mnie rzucił”, wyjaśnił. Chyba kotka, choć trudno uwierzyć, że tipsy mogą być takie ostre.

– Mam coś dla ciebie! – Wręczył mi pomięty papier. – O to chodziło, *bambina*? Nie chciał mi dać, ale... powiedzmy, sam wziąłem.

– Spisałeś się na medal! A Diego? Żyje?

– Niestety, tak! Choć miałem taką ochotę go ubić!

Najważniejsze, że mieliśmy kluczowy dowód w sprawie – projekt umowy zamiany domu z ogromną działką w Blanes na segment w stanie surowym

gdzieś pod Marbellą.

Wygooglowałam podany adres i w aplikacji *Satelite* szaro na burym ukazało się betonowe miasteczko szeregowych klocków, wciśnięte między Autopistę de Mediterraneo, autostradę biegnącą wzdłuż całego wybrzeża, a sześciopasmową szosę szybkiego ruchu. Widok z tych koszar roztaczać się musiał na dźwiękochłonne ekrany lub okna sąsiadów, a sąsiedztwo morza było widoczne jedynie na mapie. Ale najbardziej zdziwiły mnie wielkie tiry pędzące autostradą do portów przeładunkowych w Tarifie czy Kadyksie.

To ma być mekka miliarderów? To jest ta słynna Golden Mile i miejsce wakacyjnych pielgrzymek jet setu? Costa de Sol? Chyba Costa de Mucho Trafico!

Rano Ivanka zeszła na śniadanie, o dziwo, bez ciemnych okularów, za to z oczodołem koloru dojrzałej węgierki.

– Tylko nie pytaj, kto to udziela!

– Nietrudno zgadnąć, są tylko dwie możliwości, ale myślę, że Zdenka wkurzyłaś bardziej...

– Nawet tak nie mów!

Wyglądała jak zbity pies. Bardzo jej współczułam i od razu rozgrzeszyłam naiwność, głupotę oraz fascynację tym oszustem Diego, a nawet zachwyty nad Marbellą i butikami w Puerto Banus. Przytuliłam ją, a ona cicho zachlipała w mych ramionach, aż rękaw mojego szlafroka zrobił się zupełnie mokry.

– Wszystko się jakoś ułoży! O Diego zapomnisz, a Zdenko ci wybaczy. Jemu naprawdę zależy, widziałaś, jak cię bronił! – Głaskałam ją po wyjątkowo dziś niezagęszczonych dopinkami włosach.

– A Paco? Teraz myśli, że jestem głupia!

– On tak w ogóle nie myśli o kobietach! Dla niego kobiety dzielą się na sexy albo nie sexy, ale większość jest sexy. Ty też. Nie masz się o co martwić! Najważniejsze, że wszystko się dobrze skończyło.

Tu przesadziłam, bo jej śliwa wysyciała się coraz intensywniejszym odcieniem fioletu z domieszką indygo.

– Połóż się! Zrobię ci okład... I nie płacz już. Dostaniesz mnóstwo pieniędzy za dom i kupisz sobie, co tylko będziesz chciała. Na przykład zamek. Hradczany!

– Nevratim se do Czeske Republiky!

– Wiem, wiem. Żartowałam! Zrobisz, co będziesz chciała. Z kawiarnią też...

– Ano! – ucieszyła się. – Kupię dom i otworzę farmę krasy. Beauty Farm „Ivana”.

– Szkoda!

– „Ivana i Magdalena”!

– Nie o to chodzi. Co ja bym tam robiła? Zaprojektowałabym ci wnętrza, wymalowała szyld, a potem co? Malowała paznokcie? Kucharka amatorka może otworzyć kawiarnię, ale salon piękności? No, raczej nie. Ale wiesz co? Zostanę twoją klientką. Zawsze, jak porządnie zmarznę i zszarzeję w tej Warszawie, wpadnę do ciebie na kilka dni, a ty zrobisz ze mnie bóstwo... Nie, wystarczy, że zrobisz ze mnie zadowoloną kobietę, która się lubi i nie boi lustra. Tak jak zrobiłaś to teraz! No, zobacz, czy nie jestem innym człowiekiem?

– Ale to nie ja sprawiłam! To Majorka! No i ten twój Timovy Chopin...

Chyba miała trochę racji.

Po południu zadzwonił Paco z informacją, że policja otrzymała już nasze dokumenty i na pewno „dobiorą mu się oszustom do dupy”.

Prawdopodobnie umowy zawarte z Fioną Hope i sąsiadami zostaną unieważnione, a sprawa w kilka godzin nabrała takiego rozgłosu, że byli już u niego dziennikarze z „Diario de Mallorca”, a także kilku agentów nieruchomości pytało o kontakt do Ivany Purkovej. Mają dla niej wyjątkowe oferty w potencjalnie interesującym ją przedziale cenowym.

– Ale ona jeszcze ani nie dostała pieniędzy, ani niczego nie szuka! Skąd

oni to już wiedzą? Co za sępy!

– Majorka to mała wyspa, wszyscy wszystko wiedzą!

Gdyby jeszcze wszyscy wiedzieli, co się stało z moim ojcem! Najwyraźniej więc na Majorkę nie dotarł.

MAJORKA, FINAŁ

Im bardziej ojciec nie dawał znaku życia, tym bardziej matka zdecydowana była umrzeć. Im bardziej umierała, tym większy był mój niepokój. W końcu nie był to okres w żaden sposób świąteczny, który by te jej słabości tłumaczył.

– W takiej sytuacji powinnaś jak najszybciej wrócić do Polski, choćby jutro! – rzeczowo stwierdził Marek, jakby to było proste, oczywiste, a przede wszystkim tanie.

– W środku sezonu bilet w jedną stronę? Wiesz, ile to kosztuje?! Na czartery nie ma żadnych miejsc!

– Trudno! Nie masz chyba wyboru, kup, co się da. – podsumował mój kartezyjański stoik niewytrącony z równowagi nawet perspektywą wydania sześciuset euro na rodzinne fanaberie.

Wybrałam połączenie przez Monachium i kliknęłam „kupuj”. W jednej chwili dwie do trzech par superbutów z letniej wyprzedaży odleciały w niebyt dzięki Ewelinie Kiszce. Albo dzięki tatusiowi i jego hormonom. A może jednak to matka była najbardziej winna? W sumie nie powinna od razu umierać i narażać mnie na takie wydatki z powodu rozbrykanego siedemdziesięciolatka! Zadziwiająca, jak można pielęgnować w sobie zazdrość przez pół wieku małżeństwa? Ja jeszcze nie byłam mężatką, a już nie byłam zazdrosna. Choć nie widziałam Marka od ponad miesiąca, a na dodatek przebywał on aktualnie na drugim końcu świata, teoretycznie narażony na pokusy wszelkiej rasy i maści, jakoś nie potrafiłam wygenerować w sobie niepokoju, wątpliwości czy wręcz jadu. Może kochałam go inaczej, doroślej niż rozhisteryzowana dr wet. Dziubak-Kalińska, lat sześćdziesiąt osiem? A może po prostu mniej?

W każdym razie moje miłosne perturbacje nawet w najbardziej gorących okresach, na przykład podczas rozwodu, nie naraziły ani jednego członka rodziny na przerywanie urlopu czy inne straty moralne!

Z poczuciem życiowej krzywdy poszłam do swojego pokoju się spakować. Otworzyłam szafę – nawet niewprawne oko oceniłoby, że jej zawartość za nic nie zmieści się w mojej walizce. To byłoby wbrew wszelkim prawom fizyki. Jak raptem kilka randek z Timem mogło zaowocować taką stertą kolorowych szmat? I trzema pudłami butów? I dwiema torebkami? I depilatorem? Lokówką? Zestawem do manikiuru? I Bóg wie, czym jeszcze?

Zgodnie z przewidywaniami po włożeniu do walizki wszystkich nowych nabytków zostało niewiele miejsca na starą, szaro-biało-gołębią część garderoby. Przeznaczenie widocznie już zdecydowało o losie szlachetnych jedwabi i lnów, a palec boży pokazał, że powinnam się raz na zawsze z nimi pożegnać.

– Dam ci torbę, żaden problem!

– Iva, a może one powinny z tobą zostać? Zmienisz dom, zmienisz pracę, to zmienisz też siebie. Czemu tak się patrzysz? To markowe ciuchy, zobacz, Jil Sander, Marella, Max Mara... Może choć je przymierz...

– Nie mogłabym tego nosić, przepraszam cię Magda... ja se ne chci zmienit...

Szczęśliwa, wiedziała przynajmniej, kim była. A ja? Kim byłam ja? Madonną w lnianej koszuli czy putaną w koronkowych stringach? Czy zawsze musi być albo-albo? Czy nie można być trochę wszystkim? Czy jeśli będę tylko „jakaś”, to nie umknie mi bycie „inną”, nie przegapię czegoś?

– Masz dziwny głos... Przeszkadzam?

– Boże święty, tata? Gdzie jesteś?

– W Dubrowniku. Ale to nie ma żadnego znaczenia, po prostu było lepsze połączenie...

– To ma znaczenie! Matka umiera, a ja przez ciebie kupiłam bilet za

sześćset euro i wracam jutro do Warszawy! Co ty najlepszego wyprawiasz? Jak możesz tak znikać?

– A co miałem zrobić? Powiedzieć jej? Wam? Może powinienem był... ale jak?

– Nie wiem! Trzeba było coś nałgać, o konferencji czy wyjeździe służbowym! A nie skok na główkę! I ta kartka! Co to w ogóle za pomysły w twoim wieku?

– No, a jak nie teraz, to kiedy? Za kilka lat mogę być martwy! A tak, czuję, że żyję! Wiesz, jakie mam ciśnienie? Jak młody bóg!

Dałabym głowę, że w tym momencie usłyszałam w słuchawce perlisty śmiech, prawdopodobnie Eweliny Kiszki. Ojciec natychmiast zakrył mikrofon i wydał z siebie jakieś niezrozumiałe dźwięki.

– Madziu, muszę kończyć. Idziemy właśnie coś zjeść.

– No, ale... co ja powiem matce? I Piotrusiowi? Halo? Tata?

Odpowiedziała mi cisza. I Ivanka.

– To dobrze, że żyje i że wszystko w porządku. Żeby się matka uspokoiła.

– Matka? Chyba żartujesz! To wcale jej nie uspokoi. Raczej umarłaby mu na złość, gdyby się dowiedziała, jak zabalował! Nic jej nie powiem!

– A co s Timem? Spotykasz się z nim? Ostatniego wieczora...

– Nie powiedziałam mu jeszcze, że wyjeżdżam. Nie lubię pożegnań.

TWARDE LĄDOWANIE

Wylądowaliśmy na lotnisku imienia FRYDERYKA CHOPINA w Warszawie” – oznajmił metaliczny głos stewardesy, jakby specjalnie dla mnie. Fryderyk Chopin chyba mnie już do śmierci nie opuści. Przyleciałam z deszczu pod rynnę, z tym że na Majorce wcale nie padało, a tu wręcz przeciwnie.

Zeszłam ostrożnie po mokrych schodkach samolotu w apogeum urwania chmury, a potem przeczłapałam na cienkich obcasach do autobusu, brodząc jak czapla pomiędzy głębokimi kałużami. Natychmiast przemokłam do suchej nitki i przemarzłam do szpiku kości. Łydki miałam obryzgane błotem, buty przemoczone, a zaczerwieniony haluks wyskoczył z lewego sandałka. Zarzuciłam na sukienkę cienki sweter, a potem jeszcze skórzaną kurtkę, która na szczęście nie zmieściła się do walizki, ale i to nie pomogło. Mazowiecki sierpień był dokładnie dwadzieścia stopni zimniejszy od majorkańskiego.

Ciągnęłam mokrą walizkę przez halę przylotów, z każdym krokiem coraz bardziej kulejąc, i rozglądałam się za Piotrusiem.

Wyjątkowo obiecał, że mnie odbierze i jak najszybciej dostarczy do matki, co było założeniem o tyle optymistycznym, że nie posiadał nawet prawa jazdy, ale za to miewał zmotoryzowanych kochanków, i na to też dzisiaj liczyłam. Dostrzegłam go bez trudu w tłumie nielegalnych taksówkarzy, którzy polowali na frajerów za stówę do centrum. Wyróżniał

się, jak zawsze, kolorami. Ubrany był w kanarkową koszulę, turkusowe spodnie i starannie wyżelowany, świeżo farbowany czub *à la* Tintin. Wyglądał jak wielka papuga, nawet sylwetkę miał trochę ptasią – wielki brzuch i dość rachityczne nóżki.

– Nie poznałem cię! Strasznie się wylaszczyłaś – powiedział, ni to z podziwem, ni zdziwieniem, gdy wyrosłam mu przed nosem, i dał mi buziaka o zapachu połowy perfumerii (dział męski i damski).

– Co z matką? Lepiej?

– Niedobrze, pojedziemy prosto do niej. A potem Arek podrzuci cię do domu.

Ach, więc już Arek, nie Adrian. Arkadiusz z Podkarpacia (sądząc po rejestracji) wiózł nas swoim, na drugi rzut oka, spawanym bmw, z nieukrywaną przyjemnością rozbryzgując stołeczne kałuże. Prawej ręki nie zdejmował z kolana Piotrusia, a lewą trzymał kierownicę albo zmieniał biegi. Wnętrze samochodu wypełniały zapach papierosów i słodkawych perfum oraz dźwięk przeboju Garou. *Gitaaaaan!* – zanucili razem refren ulubionego barda i spojrzeli sobie w oczy. A może Arek był Romem? No bo skąd ten „Gitan”, chyba Cygan po francusku? Ech, za nimi nie dojdiesz. Odwróciłam wzrok i włączyłam polską komórkę. Tylko jeden SMS. Od Michasia: „wrocilas? Pszyszedl bym na obiad jutro. Zrób co chcesz. Aha, będę z kims”. Pewnie z tym głupawym otyłym kolegą w brudnych adidasach. Ale i tak uradowane matczyne serce wyrывało się z piersi, a na niebie pojawiła się tęcza i różowe anioły śpiewały, hosanna. Michaś! Zobaczą nareszcie moje obrażone dziecko! I to już jutro! Zaopiekuję się nim, przytulę, odkarmię. Zrobię mu obiad, jego ulubiony. Mielone i podwójny deser.

– Aruś, będziemy gotowi najdalej za pół godzinki! – powiedział Piotr, gdy podjechaliśmy pod dom matki.

– Pa, kochany! Będę czekał! – zaćwierkał Aruś.

Czyż to nie słodkie? Dlaczego Marek tak do mnie nie mówi?

OSTATNIA POSŁUGA

W całym domu panował półmrok deszczowego popołudnia, ale pokój matki dodatkowo zaciemniały zaciągnięte zasłony. Gdy umierała, lubiła izolować się od całego świata. Jej szafka nocna była szczelnie zastawiona pudełeczkami z lekarstwami, przeróżnymi fiołkami i buteleczkami, a na oparciu krzesła wisiał aparat do mierzenia ciśnienia. Otwarty laptop, na którym nałogowo stawiała pasjanse, oświetlał jej twarz na niebiesko. Widok zasadniczo był znajomy, czyli podobny do tego oglądanego dwudziestego czwartego grudnia każdego roku między karpim a kutią. Ale teraz był sierpień, dojrzałe lato, które zwykle spędzała z ojcem na działce i odkąd pamiętam, ani razu o tej porze roku nie stanęła nad grobem.

– No, nareszcie przyjechałaś odwiedzić chorą matkę! – powitała mnie ze znajomą pretensją w głosie.

Od razu poczułam się jak w domu.

– Jak się czujesz? Był lekarz? Powiedział, co ci jest? – Pocałowałam powietrze nad jej niedbale rozrzuconym na poduszce tapirem.

– Lekarz już nic mi nie pomoże. To nie przelewki!

– Czyli co?

– Jak to, co? Serce! Mam słabe serce, dobrze o tym wiecie!

Wykończyliście mnie, ty razem z tym twoim ojcem! – zagrzmiała z siłą całkiem żywego człowieka.

– Próbowaleś mimo wszystko koniakiem? – szepnęłam do Piotrka.

Zwykle średnia butelka wypita małymi łyżkami na noc pomagała lepiej niż tona lekarstw.

– A bo to raz? Zapomnij! Zresztą ten z pogotowia zabronił. – Wzruszył ramionami.

No to pozostawał już tylko szpital, ostateczność ostateczna, nienadużywana częściej niż raz na trzy lata. Pobyt na oddziale kardiologicznym działał na wszystkich dyscyplinująco, a matka zwykle

opuszczała go zaraz po osiągnięciu wcześniej założonego celu. W ten sposób wiele lat temu zapobiegła wyjazdowi Piotrusia na Key West, gdzie czekał na niego jakiś napalony Amerykanin, a później jeszcze skutecznie zablokowała zakup szczególnie dużej plazmy do salonu.

Pochyliłam się nad nią i powiedziałam:

– Zrobię ci Coco Jumbo, chcesz?

Otworzyła oczy i skrzywiła się w uśmiechopodobnym grymasie.

Wiedziałam, że to ją uzdrowi.

Zeszliśmy do kuchni robić jej ulubiony drink. Wyjęłam mleko z lodówki, a Piotr zanurkował w barku z alkoholem.

– Pamiętaj, mało mleka, dużo wódki... – Podał mi butelkę Wyborowej. – Wiesz, że Docent gdzieś się zgubił i futra po babci też zniknęły?

– Razem z ojcem?

– Nie, najpierw futra, już dość dawno, w maju, dlatego nie dostałaś tych soboli na urodziny. Docent uciekł jakieś trzy tygodnie temu. A ojciec po nim, jutro minie tydzień.

– Pewnie UFO porwało Docenta! Sugerowałaś to matce? Pamiętasz, jak kiedyś widziała lądowanie pojazdu kosmicznego w Parku Skaryszewskim? Dwa Coco Jumbo i może uwierzy... – Potrząsnęłam mocno shakerem z wódką, malibu i mlekiem. – Lepsze UFO niż Ewelinka...

– Jaka Ewelinka?

– Kiszka. Głusi i ślepi jesteście! Nie zauważyłeś, że ojciec je sałatę?! I kupił sobie džinsy? Biodrówki! I ostatnie pół roku miał strasznie dużo pracy, chociaż jest na emeryturze? Czy ty w ogóle coś widzisz przez te swoje szmaragdowe soczewki? Chyba świat na różowo?

– Dałabyś spokój, siostra! Lepiej się przyznaj, gdzie ojciec?

Upiłam trochę płynu z shakera.

– Uj! To sam spirytus! Padnie po tym! Ojciec jest bezpieczny. Cały i zdrowy. I chyba wreszcie szczęśliwy. Myślę, że mu się należy. Wróci, tak jak napisał, licząc od dziś, za tydzień. A na razie „pocałujcie go w dupę”,

tak? Zaniesiesz jej to na górę? I wywal te wszystkie lekarstwa do śmieci!

Nalałam Coco Jumbo do wielkiej szklanki, dołożyłam słomkę i wcisnęłam mu drinka do ręki.

– A matka?

– Co matka? Uprawia szantaż emocjonalny, jak zwykle. Czy ty naprawdę nie widzisz, jaka ona jest wściekła, że ojciec dał dyla, więc na złość mu postanowiła umrzeć? Tego się nie leczy. Chyba że psychiatrycznie.

Piotruś musiał zostać na Sadybie z matką, która, coraz bardziej zadowolona, domagała się kolejnych porcji Coco Jumbo, a Arek podwiózł mnie do domu. Przed wyjściem dowiedziałam się, że nowy oblubieniec ma dwadzieścia siedem lat, czyli relatywnie dużo, zgrabny tyłeczek i pochodzi spod Rzeszowa, natomiast na trasie Truskawiecka–Śródmieście, w czasie kurtuazyjnej konwersacji, okazało się, że ma dość wyrobione zdanie na każdy temat.

– Brrr! Co za pogoda! Zimne lato mamy w tym roku, co? – Na początek poruszyłam temat neutralny i bezpieczny, polecany przez każdy savoir-vivre oraz królową angielską.

– Noooo!

– Strasznie leje, jakby przestać dziś nie miało. Prognoza na sierpień chyba nie jest zbyt optymistyczna?

– Noooo!

– Hmm... Fajny masz samochód! To chyba bmw? Taki trochę oldschoolowy model... Ciekawy!

– Noooo!

– Podoba ci się w Warszawie? Wiesz, różnie ludzie mówią, to nie najładniejsze miasto w końcu... Dobrze ci się mieszka? Nie tęsknisz? Zadowolony jesteś?

– Noooo!

Na wysokości Dolnej poddałam się.

– Zatrzymasz się tu na chwilę, proszę? Muszę zrobić zakupy, jutro przychodzi na obiad mój syn z kolegą – pochwaliłam się szczęśliwa i wyskoczyłam z auta przed supersamem.

– Ile ma lat? Blondyn, jak ty? – Niemowa przemówiła.

– Nooo! – puściłam do niego oko.

– No, no! – z aprobatą pokiwał głową.

Nareszcie byłam sama. Natychmiast wyjęłam telefon i zadzwoniłam do Marka. Przechadzałam się między regałami z nabiałem i mrożonkami, co jakiś czas bezmyślnie wrzucając coś do koszyka, jednocześnie próbując mu wytłumaczyć, co się w Warszawie dzieje. Opowiadałam o matce, jej Coco Jumbo i Arku – Cyganie z Podkarpacia. Połączenie było fatalne i Marek ledwo mnie słyszał.

– Tak, dobrze zrozumiałeś! Będziemy codziennie upijać matkę! – krzyczałam do telefonu.

Kasjerka spojrzała na mnie zdziwiona.

W DOMU

Uwielbiam, po długiej podróży, wracać do pustego mieszkania. Cieszę się nim, przyglądam uważnie jak staremu przyjacielowi spotkanemu po latach, sprawdzam, czy coś się zmieniło, i uspokajam widokiem tego, co znajome.

Mam swoje rytuały i nie lubię, jak mi ktoś w nich przeszkadza. Chodzę po mieszkaniu, jakbym zwiedzała je pierwszy raz, zaglądam w każdy kąt, a potem idę do pralni, zdejmuję ubranie przesiąknięte smrodem samolotu i goła biegnę do łazienki pod gorący prysznic.

Nie chcę, żeby ktoś mi w tej powitalnej celebrze przeszkadzał, zakłócał jej intymność, od lat ustalony porządek. Nie chcę, żeby pytał o podróż, wrażenia, robił herbatę, upewniał się, czy tęskniłam. Wolę cieszyć się tą chwilą w samotności i ciszy.

Drzwi wejściowe były zamknięte na wszystkie zamki, co oznaczało, że

ostatni był w mieszkaniu Marek, tylko on miał cierpliwość do zacinających się antywłamaniowych zasuwek. Swieta niby ciągle o nich zapominała, a Michaś z lenistwa jedynie szybko i bezmyślnie zatrzaskiwał drzwi za sobą.

Zaparkowałam walizkę w przedpokoju, zdjęłam przemoczone sandały od Diora, raczej nie do uratowania, i rozpoczęłam mój zwyczajowy obchód. Bilans nie był pozytywny. Taras zamienił się w wyschnięte roślinne cementarzysko, w lodówce znajdowały się wyłącznie piwo i kawałek spleśniałego parmezanu, a pokój Michasia wyglądał, jakby się ktoś z niego dawno temu wyprowadził. Na biurku nie było jego komputera, łóżko zostało pozbawione pościeli, łącznie z ulubioną poduszką z termicznej pianki, szafy stały puste, a okna szczelnie zasłonięto, by „stiany się nie utleniały” – jak twierdziła Swieta. Smutny był ten pokój i czym prędej z niego wyszłam.

Łazienka, jak po każdym powrocie, wydała mi się jasna i ogromna. Mam obsesję na punkcie światła, co wyraźnie widać, gdy włącza się naraz wszystkie dwadzieścia halogenów w suficie i sześć jarzeńówek nad umywalką.

Zdjęłam z siebie ubranie i zadowolona obejrzałam się w lustrze. Dopiero teraz dostrzegłam całą przemianę ostatnich pięciu tygodni. Było nieźle! Od biedy mogłabym, mimo czterdziestu lat, wystartować w wyborach Miss Mokrego Podkoszulka. Tylko co z tego? Marek i tak niczego nie zauważy, nie powie, że moje ciało jest piękne, seksowne, że mu się podoba, że go chce i pożąda. Nie powie nic. Nie doceni, jak Paco, że mam długą szyję, nie zachwyci się, jak Tim, moimi ramionami.

No właśnie, Tim!

Natychmiast pomyślałam o torebce, w której znajdował się przedmiot ważny i niebezpieczny zarazem. HISZPAŃSKA KOMÓRKA! Ewentualny dowód zbrodni i jedyny potencjalny łącznik z Timem. Mały czarny telefon z kartą movistar, którego używałam wyłącznie na Majorce. Na wszelki wypadek wyłączyłam ją już wczoraj, żeby nie kusić losu, ale od rana

korciło mnie, żeby sprawdzić, czy dzwonił albo przysłał wiadomość, czy szukał mnie ostatniego wieczora, czy denerwował się, że zniknęłam, czy powiedział coś, co stałoby się moją nową mantrą. Strasznie byłam ciekawa. Na wszelki wypadek od razu weszłam pod prysznic. Lodowaty, żeby ostudzić emocje. Pomogło.

Zawinęłam się w wielki, puchaty szlafrok i w kuchni, z kubkiem gorącej czekolady dla osłody, przejrzałam stertę listów, które przysły przez ostatni miesiąc i które Marek posegregował wedle wielkości. Dwanaście długich kopert z wyciągami z konta, dwie szare i krótsze, od straży miejskiej ze starym mandatem za parkowanie, a w największej znalazłam zaproszenie na bezpłatne badanie słuchu. Dziękuję, nie skorzystam. I tak za dużo słyszę.

Na samym spodzie leżała, niewymiarowana, wymięta pocztówka. Boże święty, odkąd wymyślono maile i SMS-y, czyli od jakichś stu lat, nie dostałam żadnej pocztówki! Ostatnią chyba od babci z sanatorium pod koniec dwudziestego wieku.

Na obrazku były jakieś chińskie domki na tle ośnieżonych gór. Na odwrocie znajomy charakter pisma – bazgroły Malwiny.

Kochana,

jestem w bazie w Namche (Nepal), jeszcze nie wiem, kiedy wrócę, bo Ganesh ma teraz high season. Jest mi dobrze i chyba się odnalazłam. Co u Ciebie? Możesz pisać pod ten adres, ale spróbuj też na maila, może uda mi się złapać Internet. Całujemy Cię, ja i moja nowa rodzina.

„Rodzina” podpisała się własnoręcznie, częściowo „robaczkami”, ale kilka imion udało się rozszyfrować jako Pradib, Krishna czy Amita. Nawet ładnie – Amita – ciekawe, czy to żona, czy siostra Ganesha. A zresztą, czy takie drobiazgi mają znaczenie na sześciu tysiącach metrów nad poziomem morza?

CUD NAD WISŁĄ

Nie ma to jak własne łóżko. Wygodne, szerokie, pachnące figową wodą do prasowania, a przede wszystkim całe dwa na dwa metry dla siebie. Można spać wzdłuż, w poprzek, w pozycji rozgwiazdy albo na samym środku. Nie ma też jak deszczowa sierpniowa noc, której chłodne wilgotne powietrze usypia głębiej niż gorące noce Majorki. Na tyle głębiej, że spałam bez pardonu do jedenastej z minutami i nie zostało mi wiele czasu na przygotowanie ani siebie, ani obiadku dla wybrednego jedynaka. Jego ulubione kotlety mielone z cielęciny, odrobiny wieprzowiny, mączki migdałowej i zmrożonego kawałeczka masła w każdym pulpecyku, wymagały czasu, a przede wszystkim maszynki do mielenia mięsa. Ta okazała się zepsuta, musiałam więc *ad hoc* zmienić koncepcję na ulubione danie numer dwa – steki wołowe. Chwyciłam torebkę (wraz z hiszpańską komórką) i pognałam do sklepu.

Oczywiście połównicy nie było! Jak może nie być najdroższego, a jednocześnie dość chodliwego mięsa w delikatesach, które śmia świą nazwą pretendować do Europy, co prawda w formie mini, ale zawsze. Wpadłam w panikę, bo dochodziła pierwsza, a ja już nie miałam ani czasu, ani pomysłu na danie numer trzy.

Gapiałam się bezradnie na zawaloną różnymi kawałkami martwych zwierząt lodówkę i już byłam bliska wzięcia napakowanego hormonami broilera z rożna, gdy mój wzrok padł na zdrowo wyglądające przepiórki,

z nóżkami figlarnie podniesionymi, jakby tańczyły kankana. Wzięłam sześć girlasków, choć istniało niebezpieczeństwo, że panicz takich gnatów nie jada. „I połówkę kurczaka z rożna” – poprosiłam na wszelki wypadek.

Za to zupa pomidorowa zawsze była pewniakiem, zrobiłam ją błyskawicznie i nim wybiła druga, przetarta pomidorówka pyrkotała na kuchni, a przepiórki dochodziły w piekarniku i wyglądały teraz jak tańczące Mulatki. To przypomniało mi o istnieniu Markowych Mulatów, przez co nerwowo i bezmyślnie obskubałam do łysego pęczek bazylii wprost do garnka z zupą. To duży błąd, bo Michaś zielska nie zje, więc od razu zabrałam się do wyławiania listeczków, ale w tym momencie drzwi wejściowe energicznie trzasnęły, zwiastując przybycie delfina. Wytarłam ręce w fartuch i wyszłam mu na spotkanie.

Był jakiś większy, szerszy i doroślejszy niż trochę ponad miesiąc temu. I pachniał inaczej. Nie salą gimnastyczną! Perfumami!

– Cześć, mamó! Fajnie, że już jesteś! Dawno się nie widzieliśmy!

Zaniemówiłam z wrażenia. Te słowa zapiszą się w historii mego macierzyństwa złotymi zgłoskami. Natychmiast je sobie zanotuję.

– Synku, ja też się za tobą stęskniłam! – Objęłam go, a on, o dziwo, wcale się nie bronił, tylko najpierw, jak goryl, poklepał mnie po plecach, a potem tak mocno przytulił, że chyba usłyszałam trzaskanie własnych żeber... Mimo dotkliwego bólu powitanie wydało mi się bardzo przyjemne.

W końcu poluzował uścisk, a ja za jego szerokimi plecami zobaczyłam coś niedużego i bardzo kolorowego. Żywy baner chińskiej hurtowni! Apaszka z napisem „Versace”, bluzeczka z logo LV, pasek z kłamrą w kształcie litery H, spódniczka z metką Dolce & Gabbana i kilka innych brandów zgromadzonych na pewnie półtorametrowym kawałku, licząc minikoturn srebrno-złoty trampek.

– Mamó, to jest Klaudi! Siostra Roksany, też mieszka teraz u taty! Tak jak ja. Zje z nami obiad, dobrze?

– Klaudia jestem! – powiedziało dziewczę, a spod grubej warstwy makijażu wyłonił się niepokalany ingerencją ortodonta przodozgrzyz.

Obrandowane chucherko wyciągnęło do mnie dłoń, którą, starając się trzymać pion, fason i pokerową twarz, serdecznie uścisnęłam. Kątem oka zerkałam na Michasia, a ten przybrał właśnie minę rozanielonego debila. Takiego zachwytu nie wyraził od czasu otrzymania pierwszego playstation na pamiątkę ukończenia przedszkola.

Usiedliśmy do stołu. Ja z dziećmi. Albo ja z synem i (chyba) jego dziewczyną bądź nawet ciocią. Technicznie rzecz biorąc, Klaudia była przecież potencjalną szwagierką ojca Michasia. Cóż, *it's complicated*, ale to też znaczy, że jest bardzo nowocześnie, czyli *cool*. Współczesne rodziny właśnie takie są. Może powinnam porozmawiać o tym z matką? Mogłaby stworzyć z Ewelina jakąś postępowy model patchworkowy.

– Smacznego! – powiedziała dziewczyna i chwyciła za łyżkę mocnym nadchwytem. Lewą rękę schowała skromnie, pod stołem, na kolanach.

– No, to zaczynajmy! – zmieszał się Michaś, aż zrobiło mi się go żal.

– Mam nadzieję, że będzie wam smakowało! Trochę za dużo bazylii dodałam, przepraszam. Nie musisz jeść, Michasiu!

– No co ty? Przecież ja uwielbiam bazylię!

– Ja też, proszę panią, dużo ziół używam. Nauczyłam się w zeszłe lato, jak pracowałam w Italii! – powiedziała zgarbiona ciocia-dziewczyna znad zupy.

– Klaudia teraz gotuje u ojca, bo Roksy nie ma czasu, odkąd studiuje *modeling* – wyjaśnił Michaś. – Pycha! Uwielbiam włoską kuchnię! Mogę prosić o dokładkę?

– Może od razu naleję ci większą porcję?... Na drugie są przepiórki... Steków, niestety, nie dostałam! I ktoś zepsuł malakser, więc nie ma mielonych... Ale mam jeszcze kurczaka z różną, ale wolałabym, żebyś go nie jadł, bo pewnie jest na hormonach...

Michaś popatrzył na mnie zdziwiony.

Bez słowa pochłonął resztę pomidorówki, całkiem zielonej od bazyliowych liści, a potem dwie pieczone przepiórki, które schrupał w całości, łącznie ze skórą i z mniejszymi kostkami. Z rozpędu spożył

nawet odrobinę sałaty, którą, znając jego gusta, w zasadzie nałożyłam mu tylko dla dekoracji. Gdy na deser zjadł jeszcze lody bakaliowe, bez tradycyjnego wydłubywania z nich rodzynek, których od dziecka nie cierpiał, myślałam, że śnię. Od tej chwili gotowa byłam codziennie przyrządzać wielodaniowe obiady i stać na zmywaku. Serce urosło mi pod sam podwieszany sufit.

– To kiedy, synku, wracasz? Wakacje się kończą, czas chyba do domu? Ja już nigdzie w tym roku nie wyjeżdżam...

– Przecież mieszkam z ojcem! Myślałam, że wszystko z nim ustaliłaś?

– Owszem, uzgodniłam, że spędzisz z nim wakacje na Helu, cały miesiąc, a nie, że zamieszkasz na stałe!

– Ale nie byłem na Helu, tylko w Wilkołaskach. Wiesz, jaka to orka była! Nauczyłem się kosić i jeździłem traktorem!

– Michał naprawdę ciężko pracował na gospodarce! Nawet sołtys chwalił! – wyjaśniło dziewczę.

– Nie wyobrażam sobie, że mógłbyś nie mieszkać w domu... Masz dopiero piętnaście lat!

– Misiu, smutno będzie bez ciebie! No, i kto by mi wtedy ten ciężki odkurzacz nosił? I po krosenty rano chodził? – Klaudia POGŁASKAŁA po rękę MOJEGO syna, a co gorsza, JEJ MISIA.

W takiej sytuacji mogłam już tylko dostać uderzenia gorąca, ale nie dostałam. Perimenopauza też jakoś ulotniła się na Majorce.

– No dobrze, niech tak zostanie do końca sierpnia, a jak się zacznie szkoła, to pogadamy! – wzniosłam się na absolutne wyżyny tolerancji.

– Mam nadzieję, że pozwolisz mi z nimi mieszkać. Ale jeśli chcesz, to będziemy z Klaudią w każdą niedzielę przychodzić na obiad! Tata i Roksana na weekendy jeżdżą do SPA, więc spoko.

Z natłoku wrażeń zjadłam bez sensu całe lody. Milion kalorii!

– Ja pani chętnie pomogę gotować! Ta kuchnia jest strasznie *cool*, widać, że to włoski dezajn! Sama pani projektowała? Michał opowiadał, że jest pani bardzo znanom projektantkom – powiedziała dziewczyna, siorbiąc

z meissenowskiej filiżanki czarną herbatę, którą posłodziła trzema łyżkami cukru.

– Klaudi będzie ci pomagać, a ja mogę robić zakupy... jeśli będziesz chciała... – dodał spersonifikowany cud nad Wisłą.

Omal nie popłakałam się ze wzruszenia.

Gdy tylko wyszli, zadzwoniłam do Roberta w sprawie niepojętej metamorfozy naszego delfina. Żądałam wyjaśnień. Nie wierzę, że sam wypas świń działał aż tak terapeutycznie.

– Przekupiłeś go czy może on coś bierze? Sprawdzałeś jego rzeczy?

– Cha! Cha! Znalazłem tylko prezerwatywy! Nieużywane! Heee! – ryczał, a to wcale nie było śmieszne. – Nie martw się, wszystko jest pod kontrolą! Naprawdę ciężko pracował u rodziców Roksany, wstawał o piątej rano, nie miał nawet laptopa ze sobą. No, i tam śmiertelnie zakochał się w Klaudii. Teraz będę ją musiał trzymać w Warszawie, aż zrobią maturę. Ona ma lekki poślizg, więc będą w jednej klasie.

No to sobie eksmałżonek wziął na głowę niezły zestaw!

Dwudziestotrzyletnia narzeczona, studiująca *modeling*, jej osiemnastoletnia siostrzyczka, powtarzająca gimnazjum, i rodzony syn, piętnastolatek. Robert Blum, stary playboy, jako wychowawca młodzieży trudnej i wiejskiej. Ha, dobrze mu tak! Ale, swoją drogą, tym jego ewentualnym przyszłym teściom z Wilkołasek udało się naprawić piętnaście lat wychowawczych błędów w jeden miesiąc tylko za pomocą traktora i młodszej córki. Jutro wyślę do nich kierowcę Marka z prezentami! Myślę, że skrzynka Château Lafite i jedwabna apaszka od Hermèsa będą odpowiednie.

Jak to możliwe, że lekiem na całe zło dojrzewania okazała się zwykła orka i mała, oblepiona podróbkami Klaudia? Nasze ciągnące się od lat wizyty u najdroższych psychologów dziecięcych, setki przeczytanych poradników, noce spędzone w Internecie, wsparcie rodziny i koleżanek, kilkaset tabletek deprimu i parę litrów nervosolu... wszystko to okazało się

tak żałośnie nieskuteczne w porównaniu z wilkołaskową terapią pracą i... no, właśnie, jednym CZYM? Chyba wolę nie wiedzieć, ale namówię Roberta, żeby zaaranżował wizytę domową naszego wieloletniego pediatry i obydwójce ich przebadał. *Sicher ist sicher.*

Pod wieczór poleciałam na skrzydłach nieustającej euforii, najpierw na pocztę wysłać dziesięciostronicowy list do Namche Bazaar, a potem do umierającej matki. W obecnym stanie ducha byłabym gotowa przytulić taliba, pocałować trędowatego i pójść do łóżka ze Shrekiem, a co dopiero złożyć wizytę na Truskawieckiej. Rozpierała mnie pozytywna energia i także właśnie myślenie.

Matka, o dziwo, też dzisiaj była w lepszej formie – żywsza i bardziej zainteresowana światem, kazała odsłonić okna, a ciepłe promienie słońca padały na jej łóżko jak jutrzeńka lepszego jutra. Fiolki z lekarstwami wyparowały z szafki nocnej, a w ich miejsce pojawił się srebrny kubek z lodem, używany jak dotąd wyłącznie na sylwestra. W nim chłodziły się dwie butelki mleka, w tym jedna prawie już pusta. Białe przyschnięte wąsy nad górną wargą doktor Dziubak-Kalińskiej zdradzały, że już dłużej sączyła tę ambrozię.

– Przeszłaś na mleczną dietę czy znów masz problemy z nadkwasotą? Pewnie po tych lekarstwach! To mleczko magnezjowe na żołądek? – spytałam troskliwie.

– Lekarstwo leczy, a Bóg zdrowie daje! I ta pychotka! Nie widzisz, że lepiej się czuję?!

Wyjęłam z lodu butelkę z resztką mleka, odkręciłam zakrętkę i powąchałam. Aż zaświdrowało mi w nosie, a oczy zaszyły łzami.

– To przecież Coco Jumbo! Znowu? W takich ilościach? Co to ma znaczyć? Mamo!

– Piotruś mi rano przygotował. Przepyszne! No, i przynajmniej głodna nie jestem, bo to ma dużo białka. Tylko pasjans mi jakoś nie wychodzi, kurka wodna!

Nie dziwię się, że po psychotce nie odróżnia damy od waleta.

Zesłam do kuchni i wydzwoniłam tego idiotę, mojego brata. Warknął do telefonu: „Nie interesujesz się chorą matką, to się nie wtrącaj. Uzgodniłem z doktorem Biernatem, że do powrotu ojca będziemy ją podtrzymywać w stanie lekkiego rauszu, to zdrowsze niż te wszystkie tabletki. W lodówce jest jeszcze flaszka na wieczór! Możesz jej dać, wychodząc”.

Posiedziałam z nią jeszcze godzinę, pomogłam postawić pasjansa, pozwoliłam na jedną szklaneczkę Coco Jumbo, a gdy zasnęła, po cichutku wyszłam. W kuchni wylałam pół butelki gotowego napoju do zlewu, a resztę uzupełniłam mlekiem. Nie zorientuje się, a przynajmniej przeżyje. Pogasiłam światła i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

MAREK

Otwarta walizka w przedpokoju, porozrzucane papiery, pomięte gazety, dwa szampany z *duty free*, paszport na stole i odgłos leżącej się wody do wanny znaczyły jedno – Marek wrócił. A przecież miał przylecieć dopiero jutro! Niespodzianka całkiem w jego stylu...

Nie zdążyłam się nawet ucieszyć, bo w mojej głowie od razu włączył się czerwony alarm – gdzie jest hiszpańska komórka i jak ja mu się w tej mini do półdupka pokażę?

W sumie nie wiem, co gorsze, mini czy komórka? W tak kusej sukience nie widział mnie od lat, a SMS-ów od potencjalnego kochanka nigdy. Wyobraziłam sobie, jak wchodzę do łazienki, a tam Marek w wannie, czerwony ze złości, wpatruje się w mój telefon i krzyczy: „Zdradasz mnie, ty dziwko! I zobacz, jak ty wyglądasz!”... Następnie dostaje apopleksji i ginie tragicznie w pachnącej pianie. Przykro mi, że musiałam utopić go w myślach, ale tylko taki koniec załatwiłby sprawę moich kajań i tłumaczeń.

Trudno, wchodzę!

Wzięłam głęboki wdech i otworzyłam drzwi do łazienki. Marek siedział goły na toalecie i wertował „The Economist”. Wyglądał bezbrinnie

i pokojowo.

– *Sorry!* – bąknęłam i wycofałam się do sypialni.

– No, chodź, chodź! Tylko sobie tu czytam, bo woda za gorąca... – Odłożył gazetę i wstał na powitanie.

– Stęskniłam się za tobą... – Przytuliłam się do gołego ciała. Wydało mi się jakieś obce. – Zmieniłeś plany? Czemu nic nie powiedziałeś?

– Chciałem ci zrobić niespodziankę! Przyleciałem na jedną noc...

W mojej zatrutej bajkami dla dziewczynek głowie niespodzianka nie polegała na powitaniu ukochanej kobiety przez siedzącego na wucecie gołego rycerza.

– I tak sobie w łazience siedzisz? A kwiaty? A kolacja przy świecach?

– Naprawdę ci to potrzebne? To może zamów sushi, akurat zdążę się wykąpać, pogadamy...

No pewnie! Oczywiście, że mogę zamówić sobie sushi, kwiaty, świece. Wszystko! Także wibrator albo call boya z Internetu. Moje wyrzuty sumienia sprzed kwadransa zmalały do rozmiaru nano. A moja sukienka? Moja mini? Moja figura? Co on ślepy? Czy nie widzi, jak się zmieniłam?!

Nawet na mnie nie spojrzął, tylko wszedł do wanny i schował się za gazetą. Usiadłam na krawędzi i włożyłam rękę do ciepłej wody.

Pogłaskałam go delikatnie po brzuchu.

– Wiesz, Michaś dziś był na obiedzie! Muszę ci to opowiedzieć... Nie zgadniesz, kogo ze sobą przyprowadził!

– A możemy to odłożyć do jutra? – przerwał mi. – Daj mi się dziś zrelaksować! Miałem ciężkie negocjacje!

Zamówiłam więc u Japończyka dwa zestawy numer pięć i nakryłam stół na tarasie. Sushi lubię serwować na czarnych łupkowych płytkach, koniecznie z szarymi pałeczkami do kompletu i czarno-szarym kubeczkiem do zielonej herbaty. Kubeczek jest jeden, i dla mnie, bo Marek pije japońskie piwo Kirin prosto z butelki. Zdecydowanie wolę, jak facet pije whisky, bo ma wtedy taki czysty, a jednocześnie seksowny oddech. Trudno!

Gdy wszystko było gotowe, zanurkowałam w naszych zbiorach w poszukiwaniu odpowiedniej muzyki.

– Może Rod Stewart? – Marek wyszedł już z wanny i stanął właśnie za moimi plecami.

– Co? Tej starej, zachrypniętej kozy chcesz słuchać? Szukam czegoś specjalnego... Mieliliśmy gdzieś tyle płyt Chopina...

– Przecież ich nigdy nie słuchaliśmy! Oddałem panu z ochrony! Bacha, Mozarta, całą klasykę. Tylko zawałało regał.

Jakby mi ktoś dał w twarz! Słowo daję! Odwróciłam się wściekła i zobaczyłam za sobą czerwonego Marka, po którego rozgrzanym obliczu płynęły krople potu. Mój mózg natychmiast odszukał w archiwum pendant do tego obrazka: Tim w szlafroku i strużki wody z basenu płynące po jego twardej piersi. To koniec. Nic już nie będzie takie samo.

– Poczekaj, przypomniało mi się coś!

Pognałam do swojego biura. Tam, w nierozpakowanej jeszcze podręcznej torbie leżał zapomniany skarb. Płyta od Tima. Wróciłam z trofeum w rękę i na początek włączyłam *Impromptu*. Nasz warszawski balkon wypełniły te same dźwięki, co kiedyś taras nad Valldemossą. Poczułam się jak w niebie i sfrunęłam do Marka uduchowiona jak anioł.

– Pszraszam... strasznie jestem głodny – powiedział z ustami pełnymi tuna nigiri. – Siadaj! No to, jak tam było? Koniec już twojej przygody z Ivanką? Znalazła coś?

– Obiecała, że beze mnie nie zdecyduje. Swoją stary dom i tak może zatrzymać minimum do końca roku, a znając hiszpańskie tempo, to i dłużej. W każdym razie wkrótce ma dostać część pieniędzy od gminy. Nawet nie wiesz, jak cię cieszę, że tak się to skończyło. Choć Amapoli będzie mi żal... Właśnie zaczęłam się rozkręcać. Tyle nowych dań wymyśliłam. Wiesz, jakie teraz mamy menu? Sałaty, polne kwiaty...

Nie słuchał, więc zamilkłam i żułam surową rybę w rytm *Preludium e-moll*. Marek też nic nie mówił. Chyba naprawdę był głodny, bo zjadł jeszcze większość mojej porcji.

– Podobał ci się ostatni kawałek? Mam na myśli Chopina, nie tuńczyka!
– spytałam, gdy odłożył pałeczki i wypił łyk piwa Kirin z drugiej buteleczki.

– Przyjemna muzyka.

– A co sobie przy tym myślałeś? Co czułeś? Widziałeś coś, może jakieś obrazy, kolory?

– No, ciebie widziałem! – powiedział i przyjrzał mi się uważnie, jakby chciał zobaczyć jeszcze więcej. Czyżby tak przeżywał Chopina? Czy raczej się czegoś domyślał?

– Jakoś inaczej wyglądasz!... Hm... opaliłaś się chyba!

– Też.

– No, włosy masz takie same...

– Jaśniejsze...

– Hm. Reszta taka sama...

– Mam pięć kilo mniej...

– Hm. Może coś jest na rzeczy...

Marek! Marek, kurwa mać! Na jakiej rzeczy? Masz powiedzieć, że jestem megasexyatrakcyjnasuperlaska! Jednym tchem! I że chcesz mnie *fuck tonight!*

– To co? Idziemy do łóżeczka? Trochę jestem zmęczony po tej podróży, ale może coś z siebie jeszcze wykrzeszę.

– Wychodzę!

– Teraz? Dokąd? Oszalałaś? Nie widzieliśmy się pięć tygodni!

– No właśnie! Może za krótko? Muszę to przemyśleć. I tobie też trochę refleksji polecam!

Chwyciłam torebkę i wyszłam. Nie wiedziałam, dokąd i po co, tak naprawdę, ale nie mogłam patrzeć na rozkład mojego związku na puste atomy. To ma być powitanie po pięciu tygodniach? Romantyczny wieczór? Wyraz miłości i tęsknoty?

Na parterze zatrzymałam się koło stróżówki.

- Słucha pan muzyki poważnej, panie Heniu?
 - Można powiedzieć, że tylko. I wiadomości na Jedyńce.
- Może powinnam się z nim związać?

Usiadłam na ławce na osiedlowym skwerze i wyciągnęłam z torebki hiszpańską komórkę. Trzymałam ją ostrożnie, jakby to był odbezpieczony granat, bo chyba był. Wystarczy nacisnąć jeden przycisk i będzie wielki wybuch. Jeden przycisk...

Mijały minuty, potem kwadransy, a ja wciąż patrzyłam się na nią i nie wiedziałam, co zrobić. Obracałam ją w rękę, dotykałam, głaskałam. W końcu pocałowałam w sam ekran, schowałam do kieszeni, a z polskiego telefonu wysłałam do Marka SMS-a.

„<nie tak sobie to wyobrażałam. Przy TOBIE nie czuję się kobietą! nie chcę tak żyć!>”

Natychmiast wyłączyłam telefon. Niech pokisi się w swoim sosie, może w końcu coś zrozumie.

Wróciłam do domu, ale nie wjechałam windą na ostatnie piętro, tylko cichutko prześlizgnęłam się przed nosem śpiącego pana Henia i poszłam na basen. Zasnęłam na ratanowej leżance, przykryta ręcznikiem, którego ktoś zapomniał.

CUD NA BOND STREET

Gdzie byłaś całą noc? Czekałem na Ciebie! Wracam jutro wieczorem, obiecuję „romantyczną kolację, pamiętaj, że cię Kocham!” – napisał Marek na odwrocie wczorajszego rachunku za sushi i zostawił ten miłosny list obok pustego kubka z kawą, której nie dopił, śpiesząc się rano na lotnisko. Przynajmniej dorysował w rogu jeszcze kanciaste serduszko i coś, w czym dopiero na drugi rzut oka rozpoznałam kwiat, oczywiście JEGO ulubioną kalinę. Mogę się założyć o trzy pary butów, że do jutrzejszego wieczora:

- a) zapomni o obietnicy,
- b) albo będzie zbyt zmęczony, by ją zrealizować,
- c) zrobi aferę, gdzie byłam w nocy.

Postanowiłam się tym nie przejmować i myśleć pozytywnie. Było lato, świeciło słońce, Michaś zmądrzał, matka, spacyfikowana, dochodziła do siebie, Ivanka będzie bogata, ja jestem zdrowa. A facet jak facet, czego tu się spodziewać? Mój własny ojciec wcale nie jest lepszy, ba, nawet skandalicznie gorszy. Posprzątałam po Marka pośpiesznym śniadaniu, jego pisemną obietnicę schowałam do szuflady i zjadłam moje dietetyczne muesli, które smakowało najlepiej, gdy nie towarzyszył mu aromat wody po goleniu i smażonych jaj na boczku. Te przygotowała dziś Markowi jakaś stewardesa, a Michasiowi Klaudysia. Jakie szczęście, że są na świecie kobiety od „brudnej roboty”! I wcale nie chodzi o Svięto szorującą na kolanach bieloną podłogę, tylko o rzeczy, które nam, prawowitym

właścicielkom mężczyzn, wcale nie sprawiają przyjemności, a których oni od nas oczekują. Ten temat należałoby omówić z matką (gdy wytrzeźwieje).

Może powinna spojrzeć na wybryki tatusia, nie tyle po chrześcijańsku, ile czysto pragmatycznie, jak ja na masażystkę, która masuje Markowi spięty kark, co oszczędza mi czas, paznokcie i frustrację, bo nie potrafię tego robić dobrze, albo na panią, która artystycznie ceruje mu ukochane kaszmirowe szaliki. Matka nie mogła ojca całe dekady odchudzić – proszę bardzo, jak szybko przy Ewelinie zeszcupłał i zaczął nosić dzinsy! Nie mogła przekonać go do jedzenia sałaty, a Ewelinie już prawie się udało! Przez pół wieku nie zaciągnęła go nad ciepłe morze, a tu, niespodzianka, do Dubrownika pojechał! Ja prychałam na stare futra po babci, a Ewelina nosi je z dumą! Same zalety, czysta wygrana.

Gdy wypiałam już drugie latte macchiato z kosmicznego ekspresu i zagryzłam je migdałowymi ciasteczkami, nadszedł moment, by zmierzyć się z rzeczywistością. Włączyłam telefon. Polski. Jak szalony piszczał, wibrował i wypluwał z siebie kolejne SMS-y. Na zmianę od Ewy, Marka i operatora sieci informującego o nieodebranych połączeniach. <gdzie jesteś?>, <Marek cię szuka, odbierz!>, <nie wygłupiaj się, wracaj!>, <Magda, sorry, musiałam mu powiedzieć!>, <musimy porozmawiać!>, <ciągle mi uciekasz!, tak nie załatwia się spraw!>, <kto to jest Tim?>. Ostatni o piątej trzydzieści rano.

Żołądek podszedł mi do gardła, a przed oczami zrobiło się ciemno. Więc wiedział o Timie? Ale mnie mimo wszystko kocha? I zaprasza na romantyczną kolację? Ja już nic z tego nie rozumiem. Natychmiast dzwonię do Ewy!

Ale ojciec był szybszy.

– Córeczko, musimy porozmawiać! Natychmiast! Jesteś w Warszawie? Ja też. Rano wróciliśmy. Okrutnym czarтером bladym świtem, o piątej, ledwo żyję. Wolałbym dziś nie wsiadać do samochodu... Czuję się jakiś osłabiony. Mogłabyś podjechać do mnie?

– Do ciebie, to znaczy dokąd? Bo to chyba skomplikowane...

– Spotkajmy się w parku... Parku Rzeźby na Bródnie. Wiesz gdzie?

O czwartej? Teraz jest za duży upał na spacer...

Co pan profesor robi na Bródnie? Ostatni raz był widziany w tej okolicy dziesięć lat temu, gdy wylądował w pobliskim szpitalu na Kondratowicza z powodu guza prostaty. I gdzie dokładnie będzie do tej czwartej po południu przebywał? Może na urologii? Trochę się zdenerwowałam i nie bardzo wiedziałam, z kim się tym stanem mogłabym podzielić. Sytuacja ojca była zbyt skomplikowana albo zbyt intymna, albo zbyt niejasna, by rozmawiać o niej z kimkolwiek, nawet z Ewą czy z Piotrusiem, a do Kathmandu się nie dodzwonię. Chyba że?... Zaryzykowałam. Boże spraw, żeby nie pytał o Tima! I o ostatnią noc.

– Wiem, że jesteś zajęty, ale to naprawdę ważne. Chodzi o ojca. Może w czasie lunchu znalazłbyś pięć minut? – zapytałam Marka, który pewnie znajdował się już w trakcie Bardzo Poważnych Pertraktacji z Bardzo Poważnymi Ludźmi w londyńskim City, więc szansa, że nie będziemy teraz prac naszych osobistych brudów, była ogromna.

– Dobrze, że dzwonicz! Jaki ty masz rozmiar w tej angielskiej numeracji? Bo się pogubiłem...

Tak mnie zatkało, że zupełnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zapomniałam, jak się nazywam, a co dopiero, jaki mam rozmiar czegokolwiek, i to w brytyjskiej numeracji. Czy oni, Poważni Ludzie, na biznesowych spotkaniach, pomiędzy prezentacją w power poincie a zamykaniem dealu na miliard dolarów, rozmawiają o rozmiarach ubrań swoich żon??? Niewiarygodne! Chociaż pewien związek rozmiarowo-ekonomiczny przyszedł mi do głowy, podobno na Park Avenue mówi się, że im większy masz apartament, tym chudsza żonę... Nasze mieszkanie ma dwieście metrów, to jaki powinnam mieć *size*?

– Masiu? Jesteś tam? Bo stoję tu na New Bond Street w jakimś sklepie i nie wiem, co mam zrobić.

– Dziesięć. Noszę brytyjską dziesiątkę. Ale jeśli numeracja jest włoska, to czterdzieści dwa, ale uważaj, czy nie niemiecka, bo wtedy trzydzieści sześć, a jeśli amerykańska, to sześć, ale może być i osiem... Ale co ty w ogóle robisz na Bond Street o tej porze?

– Jezu, jakie to skomplikowane. OK, kupię na oko, najwyżej się wymieni.

– Ty mi ubranie kupujesz? Zwariowałeś?! Nawet nie wiesz, co ja teraz noszę...

– Wiem, wiem. Ewa mi opowiedziała, co ci się podoba. Nie martw się, wezmę dwie do wyboru. Zobaczyłem na wystawie i pomyślałem o tobie. Chcę, żebyś podobała się sobie, mnie, no i... wszystkim w Warszawie. Nie tylko jakimś Timom na Majorce. A właśnie, dobrze ci się spało? I nie rób już, proszę, takich numerów, bo cały dom huczy od plotek... Na basenie jest przecież kamera!

Poczułam, że robi mi się gorąco. Jak ja się teraz w holu pokażę? Zamarłam. Mijały długie sekundy palącego wstydu.

– Halo, jesteś tam? To co z ojcem? Wrócił już do domu z podkulonym ogonem?

– No właśnie, że nie! Jest w Warszawie, na Bródnie! Wyobrażasz sobie to? No i nie wiem, czy nie jest w szpitalu... Martwię się, czy mu nowotwór nie wrócił, no bo, co by tam innego robił? Umówiłam się z nim na popołudnie.

– Hm... faktycznie poważna sprawa. Odezwij się potem koniecznie. Wyjdę najwyżej ze spotkania.

No, nie! Cud numer dwa. Wczoraj syneczek, dzisiaj narzeczony! Odebrał w ciągu dnia telefon i jeszcze w takich okolicznościach. Na shoppingu, dla mnie! Przestraszył się mitycznego Tima? (Jak później ustaliłam, Ewa powiedziała jedynie, że „jakiś Tim, z którym zwiedzałyśmy klasztor, był mną bardzo ZAUROCZONY”. Czy może być coś bardziej niewinnego?). Co prawda, jak go znam, przywiezie mi szlachetny worek z jedwabiu w kolorze bez koloru, w którym zatracę moją nową figurę bez reszty, ale

liczą się przecież dobre chęci. Może to ja powinnam tę romantyczną kolację ugotować?

SPOTKANIE NA BRÓDNIE

Bez nawigacji nigdy bym tam nie trafiła. Po prostu nie jeżdżę na drugą stronę Wisły, bo po co? Nie ma tu nic ciekawego, poza kamieniarzem koło cementarza, u którego zamawiam czasem kuchenne blaty, bo jest tańszy niż kamieniarska elita lewobrzeżnej Warszawy.

Zaparkowałam na małej uliczce graniczącego z parkiem osiedla, które stoi tu od lat siedemdziesiątych, i wtedy wydawało się stać gdzieś daleko za miastem. Teraz to żabi skok, osiedle wrosło w miejską tkankę, aż się zdziwiłam, jak szybko tu dojechałam.

Na ławce pod blokiem leżał miejscowy żul i pił coś amerykańskim sposobem, czyli z butelki schowanej w papierowej torebce. *Chapeau bas!* Światowiec!

– Popylnowadź ałtka, kerowniczo? – zapytał uprzejmie i nadstawił dłoń.

Dałam mu piątaka, a on powinszował mi „szczęścia i zdrófką”.

Dwie ławki dalej siedziało kilku ogolonych na pałę wyrostków, już nie tak kulturalnych jak żul, za to bardzo hałaśliwych i żywo moją osobą zainteresowanych, co wyrażało się głównie gwizdem, cmokaniem i bezpośrednimi komunikatami typu: „Lala, bucik ci się rozwala”. Odruchowo spojrzałam na swoje buty. Na tych obcasach nie mam szans uciec nawet kuternodze!

Na dodatek park okazał się całkiem spory, przeszłam odczuwalne dwa kilometry alejek, nim zobaczyłam siedzącego na ławce nad małym stawem ojca. Był opalony jak bułgarski sprzedawca pomidorów, na nosie miał złote ray-bany aviatory, o jakich marzył Michaś, a poza tym nie nosił żadnych śladów urlopu, wręcz przeciwnie. Wyglądał na zmęczonego i wychudzonego. Nie zdążyłam się z nim przywitać, gdy skoczył na mnie oszalały z radości Docent. Oparł się o mnie przednimi łapami i lizał po

rękach.

– Psiula kochana, znalazłeś się! No co, co, co, ty łobuzie jeden, ty! –
Drapałam go po głowie, co uwielbiał.

– Nie zgubił się przecież! Był ze mną, cały czas! No w Dubrowniku oczywiście nie, ale też miał swoje wakacje, na Mazurach. Prawda, Docencik?

Pies jakoś tych słów nie potwierdzał. Może nie podobało mu się na przymusowym urlopie u rodziny Eweliny pod Ełkiem? Nie wiedziałam, od czego zacząć rozmowę, pytań miałam do niego milion, więc zaczęłam od neutralnego tematu psa.

– Dlaczego nie powiedziałaś matce, że zabierasz Docenta? Właściwie, jak to się stało, że zniknął przed tobą?

– Moja asystentka... – chrząknął. – Bo musisz wiedzieć, że Ewelina i ja...

– Wiem. Domyślałam się od pół roku!

– I nic nie powiedziałaś? – Wybałuszył oczy zza swoich awiatoarek.

– Komu miałam powiedzieć? Mamie? Raczej się ciesz, że milczałam.

– Nie mamie, mnie! Mogłaś uprzedzić, że nie jestem wystarczająco ostrożny!

Westchnęłam tak głośno, że aż kaczka, która dreptała koło ławki, zerwała się do lotu.

– No dobra, to co z psem? Oddasz go matce?

– Właśnie o to cię chciałem prosić. Mogłabyś powiedzieć, że go po prostu znalazłaś na ulicy. Co uważasz. Ale weź Docenta, bo Ewelina już go nie chce. To miała być nasza wspólna maskotka, nasza rodzina...

– Co?! – wrzasnęłam na całe gardło i wypłoszyłam resztę ptactwa.

– Myślałem, że to jej wystarczy, ale nie... Teraz chce mieć dziecko.

– Z kim? Mam nadzieję, że nie z tobą? Co? No, nie! Chyba nie oszalałeś do reszty? Masz siedemdziesiąt dwa lata i wnuka, który ma już dziewczynę! – Ze złości spociłam się jak mysz, a moje mokre uda przykleiły się do chropowatej, sto razy malowanej ławki.

– Michaś ma dziewczynę? A ja nic nie wiem. No, proszę, we mnie się

wdał! – Uśmiechnął się zadowolony.

– Najlepiej umówcie się na piwo w jakimś klubie i wymieńcie doświadczeniami!

– Nie potrafisz cieszyć się cudzym szczęściem?!

– A jesteś szczęśliwy? Bo, szczerze mówiąc, nie wyglądasz! I co zamierzasz z tym zrobić? Będziesz tak to ciągnął w ukryciu czy załatwisz sprawę po męsku? Matka to strasznie przeżywa i pewnie się domyśla, choć nic nie mówi, wiesz, jaka ona jest. Na swój sposób cierpi... Pewnie przez ciebie nie umrze, ale na pewno się rozpije. Będziesz miał ją na sumieniu! Nie możesz z nią po prostu porozmawiać i rozstać się po ludzku? Może zrozumie?

Zdjął okulary i schował twarz w dłoniach. Z przerażeniem zauważyłam metalowy pierścień na serdecznym palcu, typowy souvenir z nadmorskiego deptaka. Jak on może to nosić?! Siedział tak bez słowa i ciężko oddychał. Objęłam go ramieniem.

– Wszystko będzie dobrze! Zobaczysz. Matka ci wybaczy, powiemy jej, że byłeś na pielgrzymce, bo w tajemnicy się nawróciłeś... albo że byłeś w sanatorium i nie chciałeś jej denerwować... albo w szpitalu wycinali ci hemoroidy...

– Nie o to chodzi! Ja po prostu nie wiem, czego chcę. To jest problem!

– Aaaa... rozumiem! – zabrzmiałam być może sarkastycznie, ale nie to było moją intencją. Rozumiałam jego problem, bo był dokładnie taki sam jak mój. Spokojna przystań o letniej temperaturze czy ahoj, przygodo? Tylko że mój problem dał się trzymać w ryzach za pomocą niewłócznie komórki, a jego? On poszedł na całość. W tym wieku! A może w tym wieku jest łatwiej? – No to, co zrobimy z matką?

– Nie wiem. Oddaj jej na razie psa! Chodź, odprowadzę was do samochodu...

– A ty? Zostajesz tu jeszcze? Może cię gdzieś podrzucić?

– Ja tu mieszkam. O, tam! – Pokazał na wysokie piętro pobliskiego bloku. – Ewelina ma tu kawalerkę. Dziękuję, że przyszłaś. I że nic nie

powiedziałaś!

Zrobiło mi się go strasznie żal. Przez tę kawalerkę w wielkiej płycie, przez Ewelinę z prowincji, przez spaloną skórę na twarzy, przez banicję, na którą się skazał. Przez spustoszenie, jakie sieje ostatnim porywem dziesiątej młodości. Dlaczego mieszka w tej norze, nosi tandetny pierścionek, porywa po kryjomu psa? Dlaczego pali mosty i daje się wodzić za nos jakiejś przebiegłej Kiszce? Dlaczego nie słucha Chopina na tarasie w Valldemossie? Z czystą przyjemnością i bez zobowiązań?

Gdy dojeżdżałam na Truskawiecką, Docent zaczął niecierpliwie skomleć i drapać w szybę. Skoro wie, gdzie mieszka, to czemu nie nawiał z tego Bródna i sam nie wrócił do domu? Był wygodny jak jego niewierny pan, pozwalał sprawom się dziać, zamiast nimi kierować. Pod tym względem kobiety są znacznie mocniejszą płcią. Z nielicznymi wyjątkami, z których jeden miałam za chwilę zobaczyć. Koło szóstej po południu matka była już zapewne po dwóch litrach Coco Jumbo.

Otworzyłam drzwi do domu, a Docent jak wariat przeleciał między moimi nogami, wpadł do salonu, zakręcił koło i pognał na górę. Pobieglam za nim. Gdy weszłam do sypialni, on już skakał po łóżku, szturchał matkę nosem, a w końcu zaszczekał.

– Cicho, głupolu! Obudzisz panią!

– Co? Co jest? Co się dzieje? – Matka otworzyła jedno oko. – O, Docencik, oddali cię nareszcie!

Czyli wiedziała, że był u NICH? Domyślała się? Aż tak dobrze zna ojca!?

– Pokaż się no, czy ci krzywdy nie zrobili, kosmici przebrzydli... Gdzież oni cię tyle czasu trzymali?

Już mi się prawie wyrwało, że w kawalerce na Bródnie, ale *primo* to była tajemnica, *secundo*, matka najwyraźniej wolała jednak swoją wersję wydarzeń, bo za chwilę dodała:

– Eksperymenty pewnie na nim robili! A jak widziałam UFO w Skaryszewskim, toście mi nie chcieli wierzyć!

Dwie puste litrowe butelki po mleku w kubelku z roztopionym lodem tłumaczyły wszystko. To chyba jednak nie jest leczenie zalecane przez WHO. Muszę pogadać z doktorem Biernatem.

– Może chcesz pójść z nim na spacer? Przejdę się z wami... \00\00 –
O nie, na spacer to ja jestem za słaba. Ale do ogrodu może wyjdę, później, z Piotrusiem. Powinien już tu być, która jest?

– Po szóstej. Poczekam na niego. I zrobię ci coś do jedzenia, nie możesz tylko płynami się odżywiać!

Hm! „Płynami”! Elegancko to nawet ujęłam! Niejeden alkoholik by mnie za to pokochał!

LATAJĄCE SPODKI

Piotruś, mimo danego słowa, nie pojawił się tego wieczoru na Truskawieckiej, przez co zostałam skonfrontowana z megakacem matki. Stanowczo odmówiłam podania jej trzeciej butelki Coco Jumbo, nawet w wersji superlight, czyli pewnie dwudziestoprocentowej, choć bardzo się tego domagała. Zamiast koktajlu zrobiłam jej jajecznicę z pięciu jajek, do której zażądała ogórków konserwowych i piwa, ale stanęło na czarnej herbacie i kromce razowego z miodem.

Do północy wysłuchiwałam rozmaitych scenariuszy porwania Docenta i jego przeżyć „tam”, czyli chyba w kosmosie. Wolałam nie dociekać, gdzie dokładnie, a tym bardziej nie wypowiadać słów, takich jak: „UFO”, „E.T” czy „latający talerz”, ani też takich jak: „tata” i „asystentka”, by niepotrzebnie nie pobudzać jej wyobraźni. Najważniejsze, że nie spytała o ojca, bo wtedy to ja musiałabym opowiadać niestworzone historie z innych galaktyk.

Wieczór był wyczerpujący, choć zakończony sukcesem, bo po jajecznicy matka nabrała optymizmu i apetytu na życie. W pierwszej kolejności postanowiła obejrzeć wszystkie (nagrane przezornie przez Piotrusia) odcinki *Mody na sukces*, które przez chorobę przegapiła, a następnie zabrać Docenta do kliniki i osobiście go przebadać. „Prześwietlę go. Nie wiadomo, czy w niewoli jakiegoś świństwa nie połknął albo mu czegoś nie wszczepili?” – zapowiedziała. Na przykład *Alliena, ósmego pasażera*

Nostramo?

Gdy wychodziłam, skupiona oglądała odcinek cztery tysiące siedemdziesiąty szósty ulubionego serialu, a Docent spał w jej nogach.

Dotarłam do domu przed pierwszą, a do własnego łóżka jeszcze później, bo Marek, o dziwo, znalazł nie tylko czas, ale też sporą porcję empatii, by wysłuchać przez telefon moich szczegółowych relacji z patologicznego dnia. Mało tego, obiecał spotkać się z ojcem na męską rozmowę, a także zobowiązać Michasia, by zajął się babcią. Gdyby nie piekielne zmęczenie, skakałabym ze szczęścia po różowych chmurkach, ale tylko ziewałam.

– Padam już! Dobranoc!

– Jutro sobie odpoczniesz. Już ja się o to postaram! – powiedział na pożegnanie i rozłączył się.

Heloł! O co chodzi? Mam odpocząć przy tej obiecannej kolacji przy świecach? To seksu znowu nie będzie?

ŚPIĄCA KRÓLEWNA

Obudził mnie telefon z nieznanego numeru i w pierwszej chwili pomyślałam, że to może ojciec dzwoni z kawalerki na Bródnie. Ale nie! Cieniutki głosik zapytał, czy rozmawia z Magdaleną Kalińską, co, trochę zdziwiona, potwierdziłam. Czyżby Kiszka odważyła się do mnie zadzwonić?

– W takim razie, pani Magdo, zapraszam panią na piętnastą trzydzieści na rytuał Kleopatry. Zna pani nasz adres?

Jestem osobą dość otwartą, ale trochę mnie to zaskoczyło. Mam z nimi odbyć jakiś rytuał? Co za perwersja! I dlaczego akurat rytuał Kleopatry? Nie bardzo potrafiłam powiązać jej postać z motywem ojcowskiej zdrady – z historii nigdy dobra nie byłam. Edyp, Otello, Makbet, tych bym jakoś przyporządkowała do rodzinnych problemów, ale Kleopatra? I jeszcze „rytuał”?! To brzmi jak krwawe składanie owieczki w ofierze...

– Nie jestem pewna, czy znam adres... – Zagrałam na zwłokę.

– Makowskiego róg Kalickiej. Day Spa Sleeping Beauty, mamy własne miejsca parkingowe. Czekamy na panią! Proszę zarezerwować cztery godziny. Wszystko jest oczywiście opłacone, małżonek pewnie panią uprzedził. – Do zobaczenia – zapiszczał uroczy głosik i rozłączył się.

Małżonek?! Czy on naiwnie myśli, że mnie przekupi jakimś masażem, i to nie własnoręcznym? Ktoś wymasuje mu małżonkę, a on „zobaczy później”... Jak zwykle zamówił *outsourcing*. Tym razem czułości!

Połowę z tego rytuału przespałam. Coś musi być na rzeczy, skoro nazywają się Sleeping Beauty, Śpiąca Królewna. Nie wiem, czy to przez zapach tłących się w gabinecie świec, ciepło miękkiego fotela, na którym leżałam, czy delikatne ręce (aż cztery), które masowały mi jednocześnie plecy i nogi, ale szybko odleciałam w nirwanę absolutnego relaksu. Gdy na chwilę budziłam się z drzemki, ledwo zauważałam, co się dzieje z moim klepanym, kąpanym, nawilżanym, ujędrnianym, odmładzanym i, diabli wiedzą, co jeszcze, ciałem. Po czterech godzinach rytuału, z różową buzią, czerwonymi paznokciami, gładkimi piętami, aksamitną skórą, delikatnym makijażem i ułożonymi włosami, zdecydowanie młodsza i wypoczęta opuściłam puchaty szlafrok i pachnące pomieszczenia.

– I jak się pani teraz czuje? – spytała recepcjonistka, gdy wychodziłam z tej świątyni cielesnej, ale moralnie poprawnej, rozkoszy.

– Fantastycznie! Nie wiedziałam, że tyle czasu można spędzić na nicnierobieniu...

– Ma pani dobrego męża! Uparł się, żeby to było dzisiaj. Musiałyśmy ściągać dziewczyny z innej zmiany!

Uśmiechnęłam się do niej. I do Marka, gdzieś w mojej wyobraźni.

Ochroniarz siedział w swoim kantorku i jak zwykle słuchał muzyki.

– Dobry wieczór, pani Magdo. Pan dyrektor już jest! – Tytułował tak większość mieszkańców naszego domu bez względu na faktycznie zajmowane stanowiska. Marek jako mężczyzna został panem dyrektorem,

a ja bywałam panią inżynier, co ceniłam sobie bardziej niż bycie dyrektorem jak inne mieszkanki apartamentowca.

– Czego pan dzisiaj słucha, panie Heniu?

– Puccini! Piękne, prawda? Pan dyrektor dopiero co mi podarował. Niech pani patrzy, ile tego jest! Te są dla państwa, ale nie miał jak się zabrać, bo miał dużo rzeczy ze sobą. A może pani inżynier weźmie to na górę? – Pokazał na otwarty karton z napisem „Księgarnia Muzyczna”. W środku było kilkadziesiąt płyt. Oszałał ten „pan dyrektor”? Wykupił cały sklep?

Wysiadłam na ostatnim piętrze i weszłam do mieszkania. Światła w przedpokoju były pogaszone, a na podłodze ułożona droga z małych świeczek i herbacianych róż. Ja chyba śnię? Czy jestem we właściwym lokalu? A może kręcą tu jakiś film? Nie wierzę, że to dzieło Marka. Czegoś takiego nie widziałam nawet w amerykańskich filmach, więc on tym bardziej!

Pewnie wynajął agencję eventową. *Outsourcing* niespodzianki.

Świetlna trasa zaprowadziła mnie wprost do garderoby.

Na środku stały dwie wielkie torby: biała z granatowym napisem „Prada” i różowa z czarną kokardką. Z pierwszej wyjęłam sukienkę, klasyczną małą czarną, grzeczną i akurataną. Poprawną i nudną. Cały Marek! Zajrzałam do drugiej... Niemożliwe! On TO kupił?

Musiałam natychmiast przymierzyć. Koronkowy stanik, którego praktycznie nie było, ale za to na wyposażeniu miał dwa samoprzylepne kapsle z fikuśnymi troczkami. Niezłe! Do tego pozornie staromodne wysokie majtki, z praktycznym pęknięciem w strategicznym miejscu. Nie zapomniał nawet o pasujących pończochach! Leżało jak ulał! Założyłam jeszcze najwyższe w mojej szafie czarne szpilki z czerwoną podeszwą i kolie z błyszczących kamyczków. Wyglądałam jak Dita von Teese, gwiazda artystycznego striptizu. Nic, tylko wykąpać się w wielkim kieliszku szampana! Jeśli teraz Marek nie rzuci się na mnie jak małpa na banany, to chyba pójdę do zakonu.

Już miałam sprawdzić zabójcze działanie mojego outfitu, ale pomyślałam, że dopiero trencz będzie brakującą kropką nad „i”, pikantnym kontrastem do lekko perwersyjnego neglizżu. Nie zapięłam guzików płaszcza, ale mocno związałam go paskiem w talii. Rewelacja! Marlene Dietrich. Jeszcze dajcie mi fikę! Stanę przed Markiem, patrząc mu prosto w oczy, rozwiążę pomału pasek, zsunę płaszcz z ramion i zawiruję frędzelkami na piersiach. Prawdziwa bogini seksu, pożeraczka męskich serce i *femme fatale* w jednym.

Erotyczny sen nocy letniej w centrum Warszawy. Czułam, że świat, a w szczególności Marek, będzie mi leżał u stóp. Innej opcji po prostu nie było. Rozetniemy ten nasz węzeł gordyjski jednym ostrym numerkiem. Szybkie i efektywne rozwiązywanie problemów zawsze mi się podobało.

Serce waliło mi z podniecenia, więc wzięłam głęboki wdech i ruszyłam wzdłuż ustawionych na podłodze świeczek. Stukając rytmicznie cieniutkimi obcasami o bielony parkiet, dotarłam na taras, gdzie przy nakrytym stole siedział Marek i sączył szampana.

– Witaj, kochanie! – starałam się wyszeptać te słowa sensualną chrypką. Spojrzałam mu w oczy, najgoręcej jak umiałam i powoli rozsuptywałam pasek. Zaraz trencz zsunie się ze mnie, a Marek na widok piersiowej burleski z frędzelkami dostanie erekcji drugiego tysiąclecia.

– Jusz biohe od pani puaszć. – Usłyszałam za sobą głos z mocnym francuskim akcentem.

Natychmiast oprzytomniałam, a Marek cicho westchnął. Odwróciłam się i zobaczyłam uśmiechniętego kucharza.

– Dobry wieczór, Michel! Jednak chłodno jest na tym tarasie, zostanę w płaszczu...

– Phosze... oto *champagne!* – Podał mi kieliszek i zniknął w kuchni.

– Zatrudniłeś Michela? Na romantyczną kolację?

– A nie jesteśmy tego warci? Ty i ja? *Salut!*

– No tak... Masz rację! Dziękuję za prezenty! Piękne!

– Widzisz, jednak się trochę znam na zakupach. Wypijmy za nowy

sezon! To znaczy chodzi mi o nowy sezon naszego związku! Po rozmowie z Ewą dużo o tym myślałem...

– Widziałam jej wpływy w garderobie! Dobrze, że nie kupiłeś balerinek z motylami!

– Nie, mówię poważnie. Byłem wtedy zmęczony po podróży... Może powinienem był się inaczej zachować... przepraszam!

– Wspaniałe przeprosiny...

– *Madame, Monsieur! Coquille de St. Jacques* na lekkim sosie szafhanowym! – Michel wkroczył z przystawką.

– To już wszystko dobrze... między nami?

– Chyba nie... Myślisz, że jednorazowym zrywem załatwisz sprawę? Całe miesiące, a może już i lata? Przecież widzisz, jak jest... Nigdy nie masz czasu, nie interesujesz się, nie ma cię... Nawet nie zauważyłeś, że się zmieniłam, że schudłam pięć kilo i znowu chodzę na obcasach! A to dla mnie ważne! Chcę czuć się kobietą, być adorowana, przeglądać się w twoich oczach jak w lustrze... A ja chyba jestem przezroczysta?

– Przesadzasz! Ja nie znikam, tylko ciężko pracuję! I to chyba kobieta powinna adorować mężczyznę, gdy zmęczony wraca do domu!

Omam nie udusiłam się przegrzebkiem. Co? Ja jakaś Barbórka jestem, a on górnik, przodownik pracy?

– Walę chyba głową o beton...

– Masz przecież wszystko, co można mieć...

– Czyli co? Mieszkanie, konto, samochód? A czas? A spokój, słońce, życzliwych ludzi, a adorację, komplementy, chociażby gwizdy na ulicy?

– Oszalałaś? Gwizdy na ulicy? Tego ci brakuje? Pyszne te przegrzebki!

– To było symboliczne! Chodzi bycie kobietą, o tę atmosferę, genius loci... Jak na Majorce! Tam czuję się kobietą i jestem po prostu szczęśliwa. Tam został kawał mojego serca, mojego „ja”, tęsknię za nim!

– O, już się nie nakręcaj! Chcesz dokładkę?

– Nawet tego nie traktujesz poważnie! A ja mówię serio, piekielnie serio i zastanawiam się, czy... teraz, kiedy Michaś wydorósł i chce zamieszkać

z ojcem, moglibyśmy tam się wreszcie przenieść. Kiedyś mi to obiecywałeś... Sant Elm... Casa Magdalena... Zapomniałeś?

Nie odpowiedział, tylko dalej bez słowa jadł małże. Więc podbiłam stawkę, z całą świadomością, że igram z ogniem.

– Jak nie chcesz, to sama się przeprowadzę! Już to raz zrobiłam, wiesz, że potrafię!

Marek milczał tak długo, że Michel zdążył zebrać talerze i zaserwować nam danie główne.

– *Cotelettes d'agneau* z puhee z zielonego ghošku i chipsy z buhaków...
Bon appetit!

Wznieśliśmy niemy toast czerwonym winem, ciemnym i ciężkim jak atmosfera przy stole. Zaczęłam żałować swojego wystąpienia, ale wtedy przemówił. Przemówił jak to on, czyli prawie jak na zebraniu rady nadzorczej, śmiertelnie poważnie i rzeczowo.

– Przemyślałem to. Posłuchaj! Trochę racji pewnie masz, jestem bardzo zajęty i pewnie nie poświęcam ci tyle czasu, ile powinienem. Szanuję też twoje emocje i przywiązanie do Majorce. Dlatego jeszcze w tym roku zaczniemy remont Sant Elm. Pozwolenia ciągle są ważne, sprawdzałem to niedawno. Jeśli chcesz, możesz trochę popilnować budowy na miejscu, ale nie powinnaś Michasia zostawiać na dłużej samego. A potem, zobaczymy, może będziemy mieszkać trochę tu, trochę tam, dopóki Michaś nie pójdzie na studia. I obiecuję ci, że nie będę już tak często wyjeżdżał.

Pisk, jaki z siebie wydałam, obudziłby umarłego. To, co powiedział, było lepsze niż milion toreb w garderobie. Nareszcie! Po tylu latach obietnic będziemy mieli dom! Na Majorce! Mój wyśniony, wymarzony, własny! Koniec pomieszkiwania u Ivanki, koniec wynajętych segmentów z karaluchami, koniec mieszkań z grzybem! Dom moich snów staje się rzeczywistością. Życie moich marzeń staje się moim życiem! Moim tu i teraz!

– Coś nie tak z moimi *cotelletes*? – Michel przyleciał z kuchni.

– Tak, oddaj fartuch! Nie, nie, żartuję! Wszystko jest przepyszne! Jak

zwykle! I w jaki dobry nastrój wprowadza!

– To się bardzo cieszę i już sobie idę, bo deseh pan Mahek sam chciał podać. Dobhanoc!

Na deser były kolejne przeprosiny, obietnice i seks stulecia. No, z tym stuleciem może przesadziłam! Ale ostatniej pięciolatki na pewno! Pyszny, gorący, flambirowany, słodki i ostry zarazem. Delikatny, ale chrupiący, prosty, ale wymyślny. Coś dla konesera i dla obzartucha. Znajomy smak, ale jednak podany dziś inaczej. Na srebrnej tacy, celebrowany. A jaka ogromna porcja! Pułk nimfomanek by się zadowolił.

Gdy tylko zrobiło się jasno, ostrożnie wyswobodziłam się z jego ramion i wstałam z łóżka.

– Co się dzieje? Wybierasz się gdzieś? O tej godzinie?

– Tak! Muszę coś ważnego załatwić. Śpij!

Włożyłam dres na nocną koszulę i zjechałam na dół. Pan Henio drzemał w stróżówce, można by go było ukraść razem z budką i całym domem. Wyszłam na zewnątrz.

Powietrze w parku pachniało dojrzałym latem. Stałam nad brzegiem stawu, wyjęłam z torebki hiszpańską komórkę i cisnęłam ją do wody.

Następny dzień upłynął jak w disnejowskiej bajce dla dorosłych. Prawie nie wychodziliśmy z łóżka, nie licząc telefonów Marka. Czułam się jak cztery lata temu na Majorce, jakbyśmy się właśnie spotkali i nie mogli sobą nacieszyć.

Idylla skończyła się drugiego dnia rano. Kiedy wstałam, Marek już kończył śniadanie. Był w garniturze, obok stała mała torba podróżna.

– Co to ma znaczyć? Coś mi chyba obiecałeś?

– Obiecałem i słowa dotrzymam, ale teraz muszę lecieć. O dziesiątej mam samolot. Nie martw się, dużo czasu to mi to nie zajmie.

Pocałował mnie i wyszedł.

Stałam wściekła i myślałam o swojej naiwności. I po co wyrzucałam tę komórkę?!

Włączyłam Chopina i łyknęłam stilnox. W tej sytuacji tylko tak mogłam przetrwać ten dzień. Nie chciało mi się o tym wszystkim myśleć. Tabletki szybko zaczęła działać i smutne nuty preludium odpływały dalej i dalej.

Obudził mnie uśmiechnięty Marek. Był wieczór. Przespałam cały dzień.

– Już wróciłeś? Tak szybko?

– Tak. Przecież obiecałem.

HAPPY END

Dwa tygodnie później zadzwoniła matka. Była zadziwiająco pozytywnie nakręcona, zupełnie jakby się właśnie dowiedziała, że spodziewam się pięcioraczków, a przecież nie spodziewałam się niczego, poza tym że Marek tym razem dotrzyma obietnicy danej mi na tarasie w sprawie Sant Elm.

– Mam same dobre wiadomości, córeczko! Sama nie wiem, od czego zacząć, może od Docenta... – zaszczębiotała do telefonu radośnie, zupełnie jak nie ona, a na dodatek trzeźwa jak osesek. Liczbę promili potrafiłam rozpoznawać u niej nawet telepatycznie, a co dopiero przez telefon.

– No i co z nim, zdrowy jest?

– Nie jest źle! Ma dobrą morfologię i żadnych ciał obcych. Jedynie glisty znalazłam. Mam nadzieję, że nie jakieś nadzwyczajne paskudztwo...

Nadzwyczajne? Czyli jakie? Kosmiczne? A w takim razie ojca też trzeba będzie odrobaczyć? Jeśli w ogóle kiedyś wróci.

– Na pewno to nic poważnego i szybko go z tego wyleczysz. A poza tym co słyhać? Dobrze się czujesz?

– Michaś był u mnie, jak wiesz. Jak on zmeźniał i wydorósł! I mądry się zrobił, wszystko wie o świecie. Bystry chłopak. A jaki był miły i opiekuńczy! Przyniósł mi kwiaty i torcik wedlowski. Pamiętał, że lubię! Bo przecież Robert by tego nie wymyślił, wiadomo, jaki on jest. A ta Klaudysia, to dopiero jest dobre dziecko! Wyobraź sobie, że zrobiła mi obiad, choć ja już przecież wcale nie jestem chora! Ja ci radzę, ty lepiej

o nią dobrze dbaj, to skarb nie dziewczyna!

– Przyproceedził ją? Nie wierzę! Nic mi nie mówił. To mi wygląda na poważną sprawę!

– Otóż to! Wreszcie będzie jakaś dziewczyna w rodzinie!

Na te słowa niemal zakrztusiłam się kawą. Co to znaczy „wreszcie”? A ja?

– Bo, sama wiesz – ciągnęła – na Piotrusia to chyba nie ma co liczyć... Prędeej mamut przejdzie przez uszko igielne...

– Wielbłąd! Cieszę się, że jesteś w lepszej formie...

Powinnam ją zapytać o ojca? Może jednak za wcześnie.

– Tak, jestem w znakomitej formie! Nigdy w lepszej nie byłam! Dlatego chciałam was zaprosić na niedzielny obiad, w naszym małym rodzinnym gronie. Michaś już potwierdził i Piotruś też. Mamy taką specjalną okazję do świętowania... O drugiej, jak zawsze! Do zobaczenia pojutrze!

Małe grono? Czyli ona, Michaś, Piotrek i ja z Markiem. No, tak, rodzina skurczyła się nam do pięciu osób.

Niedzielny obiad na cześć psa... Trochę to smutne. I typowe dla zdziwaczałych samotnych kobiet, które popijają Coco Jumbo.

Ubrałam się odświętnie w grzeczną białą sukienkę do kolan i limetkowy kardigan, do tego balerinki oraz skromny kucyk. Wyglądałam jak zrealizowane marzenie każdej matki o idealnej córce. Totalnie bez jaj.

– Pięknie wyglądasz! – zachwycił się Marek, ostatnio rozrzutny w komplementowaniu, choć do wyznań, że jestem „bardzo sexy i nieprzytomnie go kręcę” jeszcze, niestety, nie dojrzał.

Na ten wielki dzień zaleciłam mu klubową marynarkę i solidny bukiet żonkili, bo matka uwielbiała zarówno złote guziki granatowych marynarek, jak i żółte, z braku złotych, kwiaty. Mieliśmy dla niej jeszcze jeden prezent – zrobiony na specjalne zamówienie torcik wedlowski o półmetrowej średnicy, z okolicznościowym napisem: „Witamy Docenta!”. Z dumą pokazałam Markowi przewiązany czerwoną kokardą tort.

– Nie lepsza byłaby w tym wypadku kość? – zdziwił się, bo jako sierota dalej niewiele rozumiał z rodzinnej dynamiki i matczynej nadwrażliwości.

Wystrojeni jak stróże w Boże Ciało podjechaliśmy pod dom na Truskawieckiej kilka minut spóźnieni, bo Marek oczywiście miał pilną rozmowę służbową, w niedzielę!, co było pierwszym krokiem do popsucia mi nastroju. Drugim będzie świąteczny indyk z brzoskwiniami z puszki. Lekko nadąsana wysiadłam z samochodu. Nie miałam ochoty na ten naciągany cyrk, szczególnie że od rana dziwnie się czułam.

Matka czekała na nas przy furtce.

– No co to się dzisiaj stało? Wszyscy się spóźniają? A punktualność jest grzecznością lwów! No, wchodźcie, wchodźcie! – powitała nas, ubrana w nieśmiertelną garsonkę z jedwabnej surówki, tym razem w kolorze bladej jajecznicy. Jej kok był dzisiaj wyjątkowo wysoki, natapirowany aż po sufit, a wieńczył go jedwabny żonkil. – Mareczku, pięknie wyglądasz! – Ucałowała ulubionego zięcia *in spe*. Mnie i moich starań jak zwykle nie zauważyła. Ale torcik wedłowski już tak.

– Dla mnie? Dziękuję, kochani!

– Magda zamówiła z okazji powrotu tego łobuza... ale, oczywiście, tort jest dla pani...

– „Łobuza”? No, wypraszam sobie! Nawet tobie, Mareczku, nie wolno tak o nim mówić! No, no, no! – Pogroziła Markowi palcem, wyraźnie przewrażliwiona na punkcie starego pudła. – A ty, coś taka zła? Jakby cię mucha ubodła!

– Włożę go do lodówki, bo nam się trochę w aucie rozpuścił – burknęłam i pomaszerowałam z tortem prosto do kuchni, ale pocałowałam klamkę, bo drzwi były zamknięte od środka. Zapukałam.

– Nie wpuszczamy nikogo! Jeszcze tylko dziesięć minut! – usłyszałam Michasia i metaliczny dźwięk krajalnicy.

– Młodzież gotuje! – wyjaśniła zachwycona matka. – Robią dziś cały obiad, od a do zet. I to jak! Osa nie siada! Co za kochane dzieci!

Gorzej niż moja matka nie można gotować, co zostało naukowo udowodnione i było fizycznie niemożliwe. Jest więc szansa, że dzisiaj się najemy, chociażby kanapkami i makaronem z keczupem.

– W jakim sensie młódzież? – obruszyłam się. Miała tendencję do odmładzania Piotrusia, jak i do postarzania mnie, a tego nie cierpiałam.

– No, Klaudysia jest! Nasz czarny kucyk! – odparła rozpromieniona.

– KONIK, mamó, jeśli już! Klaudio, proszę natychmiast otworzyć drzwi! Muszę się dostać do lodówki! – powiedziałam tonem zidiociałej nauczycielki, ale pomogło.

Widok Michasia w lateksowych rękawiczkach profesjonalnie krojącego polędwicę na przezroczyste plasterki okazał się bezcenny. Omal nie popłakałam się ze wzruszenia. Mój rodzony syn!

– Przyniosłaś tort? Już jeden mamy... – Pokazał na nieco koślawo udekorowane ciasto z dwiema świeczkami-cyferkami ułożonymi w liczbę czterdzieści pięć.

A więc to tak! Zostaliśmy zwabieni na urodziny Piotrusia! No proszę, dla niego znalazły się odpowiednie świece!

Wróciłam do salonu pogrążona w ponurych myślach o żenujących czterech, zwykłych świeczkach na moim ostatnim torcie oraz w pytaniach bez odpowiedzi, dlaczego dzisiaj, w końcu sierpnia, świętujemy urodziny Piotrka, a nie piętnastego grudnia, kiedy się naprawdę urodził? Może wybiera się w zimie na antypody, na Love Parade? Nie, on tak daleko nie latał. To nie było dobre na cerę, bo „samolotowe powietrze strasznie wysusza i powoduje zmarszczki”. Na Mykonos, Majorkę czy na Ibizę dał się czasem namówić, ale dwadzieścia godzin w samolocie uważał za zbrodnię na swojej cennej twarzy. A może matce już wszystko się pomyliło? Pies z ojcem, sierpień z grudniem?

– Będą jeszcze jacyś goście? – spytał Marek, bo pewnie nie zgadzała mu się liczba talerzy na stole. Zawsze wszystko liczył i z rezultatów wyciągał wnioski. Taki wewnętrzny przymus ekonomisty i biznesmena.

Faktycznie talerzy było aż osiem, a nasza rodzina liczyła razem

z Markiem ledwie sześć osób, a odkąd ojciec się ulotnił, to już tylko pięć.

– Taaak, kochani, mam dla was niespodziankęęęę! Ktoś z nami będzieee! Ale nie wywołuj misia z lasu, lepiej napijmy się winkaaa! – zawołała matka głosem śpiewnym i o oktawę wyższym niż zwykle, jakby występowała w operetce *Wesoła wdówka*.

– „Nooo, przecieeeeż Klaudysiaaaa jest!” – starałam się jak najwierniej sparodiować matkę.

– Dalej się nie zgadza! – Marek pokręcił głową, mocując się z butelką chardonnay.

Matka gorliwie podstawiła kieliszek, patrzyła, jak Marek nalewa wina i nie czekając na nas, wypila do dna. Zaczyna się tradycyjnie!

– O co chodzi z tym tortem ze świeczkami? Myślałam, że to miał być obiad z okazji powrotu Docenta...

– Co tam Docent! – prychnęła. – Dla mnie tylko mój profesor się liczy!

Oj, wchodzimy na minę. Zaraz jej się przypomni, że ojciec dał dyla z Ewelinką.

Marek wykazał się refleksem i natychmiast uzupełnił jej kieliszek.

– Mam się upić jak dzik? O nie, kochany! Dzisiaj nie piję! To przecież wielkie święto!

Wydawało mi się, że w oczach Marka na sekundę pojawił się wyraz przerażenia, ale może było to tylko złudzenie. Tymczasem w przedpokoju stuknęły drzwi, a potem podzelowane obcasy na dębowym parkiecie. Piotruś przyjechał. Tylko on nosił podbite blachą buty, jakby zawodowo stepował. Ja tam miałam swoją teorię – stukanie tych zelówek było jego ukrytą tęsknotą za prawdziwymi obcasami, takimi minimum piętnaście centymetrów. Raz się nawet wygadał, że kobietom najbardziej zazdrości butów.

– Już są! – Gospodyni zerwała się z fotela.

Do pokoju wszedł wystrojony jak dyrektor cyrku Piotruś, w śliwkowych spodniach i atłasowej granatowej marynarce, o kroju zmutowanego surduta, a na nogach miał dwukolorowe buty, jak ja do golfa. Jego brwi

były nienaturalnie przyciemnione, właściwie czarne, a oczy podkreślone eyelinerem. *Gitan?* Czy może świeża henna?

Za nim, zwinnie i cicho jak kotka, skradał się Arkadiusz z Podkarpacia. Cały na białło, w elastycznych rurkach, ściskających mu pupeczkę i coś tam jeszcze z przodu (skarpetkę?), oraz w opiętej koszuli typu *slim cut* wyglądał na jeszcze mniejszego i chudszeo niż ostatnio, gdy wioził mnie sklejanym bmw z lotniska. Arek, wzorem Piotrusia, też rzucił się do rozdawania perfumowanych buziaków, co matka odparła z reflekssem, nadstawiając do pocałowania dłonie wykończone perłowymi paznokciami, ja wymieniłam z nim całusa w powietrzu, a Marek na wszelki wypadek uciekł do ogrodu.

Co tu się w ogóle dzieje? Czyżby pozwoliła Piotrusiowi przyprowadzić do domu kochanka? I to na urodzinowy obiad? Tego nie było jeszcze w całej, długiej historii rodziny Kalińskich! *O tempora, o mores!*

– Żarcie gotowe! – Michaś wyłonił się z kuchni. – Możemy siadać. O, jubilat już jest! Cześć, wujek! To kiedy dokładnie kończysz czterdzieści pięć lat?

– Coooo? Co on mówi? Ja wcale nie mam tylu lat! Kto mu takich bzdur naopowiadał!? I nie jestem żadnym jubilatem! – zdenerwował się Piotruś, aż poczerwieniał na okrągłych od wypełniaczy policzkach.

– Przecież masz trzydzieści osiem! No już się nie denerwuj, Pysiu! – Arkadiusz pogłaskał Piotrusia po ramieniu.

– Zaraz wam wszystko wyjaśnię! Ale najpierw usiądźcie! Marek, ty koło mnie, jak zwykle, dalej posadzimy Klaudię i Michasia, proszę, Madziu ty koło niego, pan Areczek, Piotruś, ty tutaj... No, to wszyscy mają swoje miejsca...

– Babcia, a to puste, to dla wędrowca czy dla Docenta?

– To jest specjalne miejsce. To jest miejsce dla Najważniejszej Osoby, na razie nieobecnej! Bo trzeba wam, kochani, wiedzieć, że dokładnie czterdzieści pięć lat temu, ja i wasz ojciec, a twój, Michasiu, dziadek,

braliśmy ślub. Miałam wtedy bukiet z żółtych żonkili... – Pokazała zalotnie na plastikowy kwiat na czubku tapiru.

Boże święty, co za makabreska! Oszalała! To skończy się szpitalem jak nic. Może od razu zawiadomię Biernata, że mamy problem? Ratunku!

– Eeee, to nie są urodziny wujka? – zmartwił się Michaś. – A my tort zrobiliśmy, no i matka drugi ze sobą przyniosła.

– Tak, ale mój tort był dla Docenta! To znaczy dla babci! Jak wspaniale, że Docent wrócił i jest z nami, cały i zdrowy! To też świetna okazja do świętowania! – Próbowałam uratować sytuację oraz matkę od zawału.

– Kochani, wracając do uroczystości... – nieustraszenie kontynuowała matka nienaturalnie podniosłym tonem.

– Babcia, to jak to jest? Skoro wujek ma urodziny w grudniu, to znaczy, że urodził się cztery miesiące po waszym ślubie, tak?! To znaczy, że byłaś... Auć! Co mnie, Klaudi, szczypiesz?

– Nie dajecie babci dojść do słowa, a ja mam już dosyć ukrywania się we własnym domu! – z góry doleciał do nas zniecierpliwiony głos ojca.

– Co ty tu robisz?! – krzyknęliśmy wszyscy prawie jednocześnie.

– Mieszkam! Od trzydziestu ośmiu lat mieszkam w tym domu! – wyjaśnił, schodząc wolno po schodach w wyglansowanych trzewikach.

– Czyli od twojego urodzenia! – szepnął Arek do Piotrusia, który w podzięcie słodko się do niego uśmiechnął.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? Ani ty, mamó? Kiedy wróciłaś?!

– Nie będziemy dzisiaj o takich rzeczach rozmawiać! – uciął. – Chcieliśmy wam zrobić niespodziankę! Prawda, moja Ptaszynko?

„Ptaszynko”? O, cholera! Dawno tak pieśczośliwie się do matki nie zwracał. Pewnie ze czterdzieści lat. Podobno nazywał ją „Ptaszynką” w związku z jej panieńskim nazwiskiem Dziubak, nim została banalną Krysią Kalińską, a potem mamą i babcią.

– Chodź, Stasiulku, siadaj tu z nami!

– Może jednak należy nam się parę słów wyjaśnienia? – nie

odpuszczałam.

– Daj spokój! Miłość ci wszystko wybaczy... – Piotr zarechotał, jakby coś wiedział.

Wiadomo, starszy brat, choć (głupia) ciota. Znowu wszystko rozegrało się za moimi plecami, jednak wciąż uważali mnie za dziecko. Rozstawali się, schodzili, godzili i nawet nie raczyli mnie o tym poinformować. Ale popsuć mi wakacje (i romans) na Majorce, to potrafili, i owszem! Wszyscy się do tego przyłożyli! I co, nawet się nie dowiem, czy to Ewelinka pogoniła ojca, czy matka jakimś tajemnym sposobem zwabiła go do domu?

– Tato?!

– Nie wkładaj ogona w nie swoje gniazdo, bo cię osy pogryzą! – pisnęła matka. – Zobacz, Stasiu, co wnuki ugotowały! Proszę, kuchnia śródziemna!

– Śródziemnomorska, babciu!

– To ja może nadmienię, że na zakonske jest carpaccio z oliwom z truflami, czabata, którym sama piekłam. Smacznego! – przemówiła Klaudia i wszyscy zaniemówili, każdy z innego powodu.

– Zaraz, zaraz! Zanim zaczniemy, proponuję wzniesić toast za... za...! – Marek zaciął się jak płyta winylowa.

– ...za to, że wszystko dobrze się skończyło? – próbowałam dyplomatycznie dokończyć.

– Za to, że znowu wszyscy jesteśmy razem... i to w powiększonym gronie! – niezwykle rezolutnie jak na swoje możliwości dorzucił Piotruś. – Bardzo jestem z tego powodu szczęśliwy! Dziękuję ci, mamó!

Co za okropny lizus! Upiekł swoją pieczeń z Areczka na rodzinnym ogniu domowego ogniska.

– Właśnie, ja też się cieszę, że ojciec z nami jest! – Posłałam mu jadowity uśmiezek. – I Klaudia!

– No, to wypijmy za wszystkich! – przytomnie podsumował Michaś. – No i za to, że dziadek zmądrzał!

Zażenowani szybko wypiliśmy do dna. Michaś i Klaudia też.

– Sto lat! – powiedziałam trochę bez sensu, nie wiadomo do kogo.

Natychmiast dolałam sobie więcej szampana.

I wtedy ojciec wstał, zapiął marynarkę i poprawił fular. Zamarłam.

– Droga Krysiu, mam coś dla ciebie... na naszą rocznicę... taki drobiazg...

– Wyjął z kieszeni małe pudełeczko i podał matce.

Sekundę później Krystyna Dziubak-Kalińska walczyła z trochę za małym pierścionkiem z karatowym szafirem. Gdy w końcu wsunęła go na najmniejszy palec, wszyscy nerwowo zaczęli bić brawo, a Arek nawet zagwizdał na palcach, zdobywając tym szacunek Michasia.

– Ale... ale, o co tu chodzi? To wy już... no... wszystko między wami aż tak dobrze? Nagle?

– Tak, córeczko, z nami już wszystko dobrze, i już tak zostanie. Do końca! To wam tu wszystkim uroczyście obiecuję!

– No, właśnie! A ja tego przypilnuję! – podsumował Michaś, a Klaudia uśmiechnęła się do niego szeroko aż po tylne śrubki aparatu ortodontycznego, który ufundował Robert. – Możemy już jeść czy będą jeszcze jakieś niespodzianki?

– Jeszcze tylko jedna. Mam prezent dla twojej mamy. – Teraz Marek podniósł się z krzesła i wręczył mi wiśniową teczkę ze złotymi okuciami.

Chyba zwariował! Na co mi coś takiego? To w ogóle do mnie nie pasuje! Nawet nie jest markowa! A myślałam, że zmądrzał i będzie kupował mi tylko seksowne *dessous*!

– A co, matka do pracy idzie? Chyba w jakimś urzędzie... – zainteresował się junior.

– Zobacz, co jest w środku!

Otworzyłam teczkę i zaczęłam czytać. Łzy same popłynęły mi po twarzy. Przy stole zapadła grobowa cisza.

– Mama, co jest? Czemu ryczysz?

– Marek podarował mi dom na Majorce... – Rozbeczałam się jeszcze głośniej, bo zobaczyłam datę aktu notarialnego. Dokładnie dwa tygodnie i dwa dni temu. A ja, głupia, naćpałam się wtedy ze złości stilksem

i przespałam ten historyczny dzień!

– To prezent zaręczynowy – powiedział Marek.

Przy stole przeszedł szmer niedowierzania i podziwu, a Arek znowu zagwizdał. Matka przestała wpatrywać się w swój nowy pierścionek, i teraz, jak cała reszta, bez słowa patrzyła na mnie. Co jest? Czy nie o to im chodziło? Marek się przecież oświadczył! Może trochę dziwnie, ale co za różnica? Czemu tak się gapią?

Czułam, że robi mi się słabo. Strasznie mnie mdliło, a przecież nie tknęłam jeszcze jedzenia.

– Córeńko, jesteś strasznie blada! – zaskrzeczała w końcu matka.

Wybiegłam do łazienki i dwa kieliszki Dom Perignon zwymiotowałam do umywalki.

GRUDZIEŃ

MagdalenaKalinska<magda@interioris.pl
15 december, 4.37 pm
To: Ivana Purkova<ivadiva@hotmail.com
Subject: High heels ;))))

Iva, kochana,

Wasan chyba nad nami czuwa ;), bo najpierw u mnie wszystko tak dobrze się ułożyło, a teraz, jak właśnie dowiedziałam od Altosa, Ty znalazłaś dom! Super, cieszę się bardzo!!!

Ale, wiesz, że długo jeszcze nie będę mogła przylecieć, żeby go zobaczyć i oblać to z tobą (Życie bez kropli alkoholu jest STRASZNE!).

Ciągle nie pozwalają mi wstawać (podobno w moim wieku to już nie przelewki), więc robię projekty w łóżku, a Marek próbuje przetłumaczyć je wykonawcy. W styczniu zaczynamy remontować Sant Elm (najpiękniejszy prezent zaręczynowy, jaki można sobie wyobrazić, ciekawe, co dostanę na ślub, hi, hi). Energia mnie roznosi i nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wezmę sprawy w swoje ręce.

W Warszawie wszystko OK.

Odkąd ojciec wrócił do domu, matka jest jak nowa. Zrobiła remont kliniki, mnóstwo zarabia i uszyła sobie nowe garsonki, tym razem z kaszmirowej wełny!!! ;). A ojciec codziennie wozi ją do pracy.

Michaś nadal zakochany, ale na szczęście mieszka z nami (no dobra, trochę go wzięłam na litość...) i nawet zaczął się przyzwyczajać. Chyba najgorsze już za mną! Najśmieszniejsze, że ciągle

uważa, że to dzięki „męskiej rozmowie”, którą odbył potajemnie z dziadkiem, zakończył się romans z Ewelina ;) Wypytywałam go o szczegóły, ale milczy jak grób, raz tylko powiedział, że „wie, gdzie jest dziadka słaby punkt”. No patrz, a ja wciąż tego nie wiem! :))

Piotrek mi pozazdrościł i też chce wziąć ślub – ze swoim chłopakiem, którego matka traktuje już jak trzecie dziecko.

Marek oszalał na punkcie tego, co się dzieje, podróże służbowe traktuje jak dopust boży i zwozi mi z nich drogie prezenty. Mam już trzydzieści osiem apaszek od Hermès... (Powiedział, że „okoliczności wykluczają kupowanie butów i bielizny”!!! Kolejny dowód na to, że jestem leżącą foką!).

Niedługo święta... Ale chyba pierwszy raz się na nie cieszę. Jedzenie robi Michaś z ukochaną, więc wyjątkowo nie zakończy się to karpim i zawałem matki.

Będzie oczywiście Piotrek z Arkiem i może zaproszę Malwinę z Ganeshem. Jej rodzina nadal nie może pogodzić się z faktem, że przywiozła ze sobą nepalskiego tragarza (analfabeta, ale, wierz mi, prawdziwe ciacho...).

Co u Was? Zdenko zaakceptował garnitur czy wciąż upiera się przy stroju kapitańskim? Datę już macie? Czy Altos będzie świadkiem?

A co Ty na to, żebyśmy zrobili podwójny ślub na Majorce? Dla nas maj byłby idealny.

Całuję Cię mocno i tęsknię.

Magda

PS Załączam zdjęcie z ostatniego USG. To będzie jednak dziewczynka! (Marek się śmieje, że rozpoznali płeć po wysokich obcasach ;))

Powrót na Majorkę

Spis treści

Karta tytułowa

MARZEC

WIELKANOC

CZESKO-HISZPAŃSKIE PROBLEMY DAMSKO-MĘSKIE

KOŃSKIE ZALOTY

KWIECIEŃ

MULATY

OSIEŁ

MAJ

BOTOKS

PRAWIE KONIEC

PODOLOGIA

CZERWIEC

HORMONAUTA

LIPIEC

WAKACJE

DRUGI TYDZIEŃ

SIERPIEŃ

AMAPOLA

PRAWDA

DOM TRZECH KOBIEC

WPADKA

EL FUNERAL

KONCERT

POLECONY

MATKA ZNOWU UMIERA

TWARDE LĄDOWANIE
CUD NAD WISŁĄ
CUD NA BOND STREET
LATAJĄCE SPODKI
HAPPY END

GRUDZIEŃ

Karta redakcyjna

Projekt okładki
Stefan Star

Redakcja
Teresa Duralska-Macheta

Korekta
Jadwiga Piller
Bogusława Jędrasik

Zdjęcia na okładce
Shutterstock / Dudarev Mikhail
Claudio Arnese / E+/ Getty Images
Swapam-Fotolia.com

Zdjęcie autorki
Beata Jarzębska


Copyright © Anna Klara Majewska, 2014
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2014

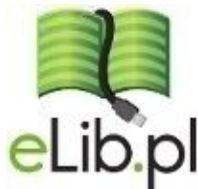


Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

ISBN 978-83-64142-73-4

www.wielkalitera.pl

Odwiedź
nas na 



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl